

# Wiedza radosna

## Przedmowa do wydania drugiego

Tłumaczenie: Leopold Staff

1.

Książce tej potrzeba może nie tylko jednej przedmowy; a w końcu zostałyby zawsze jeszcze wątpliwość, czy przedmowy mogą tę książkę, jako przygodę przeżyta, uprzystępnić komuś, kto nic podobnego nie przeżył. Zdaje się ona pisana w mowie powiewu odwilży: jest w niej swawola, niepokój, przekora, pogoda kwietniowa, tak że ustawicznie przypomina się zarówno sąsiedztwo z zimą, jak zwycięstwo nad zimą, które nadchodzi, nadejść musi, lub już może nadeszło... Wdzięczność wytryska ustawicznie, jak gdyby stało się właśnie to, czego człowiek najmniej oczekiwał, wdzięczność ozdowieńca – bo ozdowienie było tym, czego się najmniej oczekiwało. "Wiedza radosna" to znaczy saturnalie ducha, który opierał się cierpliwie straszliwemu, długiemu uciskowi – cierpliwie, surowo, zimno, nie poddając się, lecz i bez nadziei – i którego teraz opada nagle nadzieja zdrowia, upojność ozdowienia. Cóż za dziw, że przy tym wiele nierozsądku i szaleństwa na jaw wychodzi, wiele swawolnej tkliwości, trwonionej nawet na problematy, które mają sierść kolczatą i nie wydają się, jakby chciały, by je pieścić i wabić. Cała ta książka nie jest właśnie niczym innym, jeno wesołością po długim niedostatku i niemocy, radowaniem się z powracających sił, z budzącej się na nowo wiary w jutro i pojutrze, z nagłego poczucia i przeczucia przyszłości, bliskich przygód, mórz znowu otwartych, znów dozwolonych, znów wiarą darzonych celów. Cóż bo nie leżało teraz poza mną! Ten szmat pustyni, wyczerpania, niewiary, zlodowacenia pośród młodości, ta starczość nie na swoim miejscu, ta tyrania bólu, prześcignięta jeszcze przez tyranie dumy, która odrzucała wnioski bólu – a wnioski są pocieszeniami – to radykalne osamotnienie, jako konieczna obrona przeciw pogardzie dla ludzi, która chorobliwie jasnovidząca się stała, to zupełne ograniczenie się do tego, co w poznaniu gorzkie, cierpkie, ból sprawiające, jak to je zalecał wstręt, wyrosły stopniowo z nieostrożnej diety duchowej i rozpieszczenia smaku – zwą je romantyką – och, któż by to wszystko mógł odczuć ze mną! Kto by to jednak mógł, wybaczy mi na pewno więcej jeszcze niż nieco szaleństwa, pustoty, "wiedzy radosnej" – na przykład tę garść pieśni, które książce tym razem przydano – pieśni, w których poeta w sposób trudny do wybaczenia z wszystkich poetów żarty sobie stroi. – Ach, bo nie tylko na poetach i ich pięknych "uczuciach lirycznych" musi ten zmartwychwstaniec złość wyrzucić swoją: któż wie, jakiej szuka sobie ofiary, co za potworność parodii wkrótce nęcić go będzie? "*Incipit tragoedia*" – napisano przy końcu tej niebezpiecznie beztroskiej książki: miejcie się na baczności! Zapowiada się coś hultajsko złego i złośliwego: *incipit parodia*, nie ma wątpliwości...

2.

– Lecz dajmy pokój panu Nietzsche: cóż nas obchodzi, że pan Nietzsche wrócił do zdrowia? Psycholog zna niewiele tak pociągających zagadnień jak stosunek zdrowia do filozofii, a w razie gdy sam zachoruje, całą swą naukową ciekawość wnosi w swoją chorobę. Posiada się bowiem, ma się rozumieć, jeśli się jest osobą, koniecznie i filozofię swej osoby: jednak istnieje tu ważna różnica. W jednym filozofują jego braki, w innym bogactwa jego i

siły. Pierwszemu jest filozofia jego potrzebna, czy to jako podpora, uspokojenie, lekarstwo, wyzwolenie, podniesienie, zobojętnienie na samego siebie; u drugiego jest ona pięknym jeno zbytkiem, w najlepszym razie rozkoszą tryumfującej wdzięczności, która w końcu jeszcze siebie wielkimi głoskami kosmicznymi na niebie pojęć wypisać musi. W innym jednak, zwykleszym wypadku, gdy filozofię uprawiają braki, jak u wszystkich chorych myślicieli – a być może, że w dziejach filozofii przeważają chorzy myśliciele – czymże stanie się sama myśl, która dostała się pod ucisk choroby? Oto pytanie obchodzące psychologa: i tu możliwy jest eksperyment. Podobnie jak podróżny postanawia obudzić się o oznaczonej godzinie, a potem spokojnie powierza się snu: tak my, filozofowie, skoro nas choroba opadnie, poddajemy się na pewien czas z duszą i ciałem chorobie – zamykamy niejako oczy przed sobą. I jak ów wie, że coś tam nie śpi, coś liczy godziny i obudzi go, tak też my wiemy, że rozstrzygająca chwila zastanie nas na czuwaniu – że coś wówczas wyskoczy i chwyci ducha na gorącym uczynku, to znaczy na słabości lub nawrocie, lub poddaniu się, lub stwardnieniu, lub sposepnieniu, lub jak tam zwą się te chorobliwe ducha stany, które za zdrowych dni mają przeciw sobie dumę ducha (bo jak mówi stara zwrotka: "dumny duch, paw i koń – to przecie najdumniejsze zwierzęta w świecie"). Takie badanie samego siebie, takie doświadczenie na sobie uczy nas bystrzejszym spoglądać okiem na wszystko, co w ogóle dotąd wyfilozofowane zostało; odgaduje się lepiej niż przedtem, mimowolne manowce, boczne uliczki, miejsca spoczynku, miejsca słoneczne myśli, ku którym cierpiący myśliciele, właśnie jako cierpiący, dają się wodzić i uwodzić; wie się odtąd, dokąd chore ciało i jego potrzeba nieświadomie prze ducha, popycha i nęci – ku słońcu, ciszy, łagodności, cierpliwości, lekarstwu, pokrzepieniu w jakim bądź sensie. **Każda filozofia, stawiająca pokój wyżej od wojny, każda etyka o zaprzecznym ujęciu pojęcia szczęścia, każda metafizyka i fizyka znająca finał, stan ostateczny jakiego bądź rodzaju, każde przeważnie estetyczne lub religijne pożądanie jakiegoś ubocza, zaświata, jakiegoś poza, ponad – pozwala zapytać, czy to nie choroba właśnie była filozofa natchnieniem.** Nieświadome przebieganie potrzeb fizjologicznych w płaszcze obiektywne, idealne, czysto duchowe sięga zastrasząco daleko – i dość często zapytywałem się, czy na ogół biorąc filozofia nie była dotąd przeważnie tylko tłumaczeniem ciała i złym tłumaczeniem ciała. Poza najwyższymi ocenami wartości, które dotychczas dziejami myśli kierowały, drzemią ukryte złe rozumienia cielesnego ustroju, czy to jednostek, czy to stanów, czy całych ras. Można wszystkie owe śmiałe szaleństwa metafizyki, zwłaszcza jej odpowiedzi na pytania dotyczące wartości istnienia, uważać przede wszystkim zawsze za symptomy pewnych ciał; a chociaż tego rodzaju potwierdzenia lub zaprzeczenia świata, wzięte ryczałtem, nie mają, mierząc miarą nauki, najmniejszego znaczenia, to dają one jednak dziejopisowi i psychologowi tym cenniejsze wskazówki, jako symptomy, jak się rzekło, ciała, jego udaności lub nieudaności, jego pełni, tężyzny, jego wielmożności w dziejach lub też jego zatamowań, znużeń, zubożeń, jego przecucia końca, jego żądy końca. Oczekuję ciągle jeszcze, że jakiś filozoficzny lekarz, w wyjątkowym tego słowa znaczeniu – taki, który ma śledzić problemat powszechnego zdrowia narodu, czasu, rasy, ludzkości – zdobędzie się raz na odwagę, by podejrzenie me na ostrzu miecza postawić i zdobyć się zuchwale na zdanie: we wszelkim filozofowaniu nie chodziło dotychczas wcale o "prawdę", lecz o coś innego, powiedzmy o zdrowie, przyszłość, rozwój, moc, życie...

3.

– Zgadujecie, że nie bez wdzięczności wziąłbym rozbrat z owym ciężkiego niedomagania czasem, którego korzyści i dziś jeszcze nie wyczerpałem: tak jak wcale dość świadom jestem, czym w ogóle w moim bogatym w zmiany zdrowiu wszystkie kłody duchowe przewyższam.

Filozof, który przez różne zdrowia wędrował i ciągle jeszcze wędruje, przewędrował także tyleż filozofii: nie może właśnie nic innego, jak tylko stan swój każdym razem przenosić w najbardziej duchową formę i dal – ta sztuka transfiguracji jest właśnie filozofią. Nie wolno nam filozofom oddzielać duszy i ciała, jak lud oddziela, tym mniej wolno nam oddzielać duszę i ducha. Nie jesteśmy wcale myślącymi żabami, ani obiektywizującymi i rejestrującymi aparatami o zimno wyregulowanych wnętrzościach – musimy ustawicznie myśli swe ze swego rodzić cierpienia i po macierzyńsku obdzielać je wszystkim, co w sobie samych posiadamy z krwi, serca, ognia, rozkoszy, namiętności, męczarni, przeznaczenia, fatalności. Życie – to znaczy dla nas ustawicznie w światło i płomień przemieniać wszystko, czym jesteśmy; wszystko, co nas spotyka; nie możemy zgoła inaczej. A co się tyczy choroby: nie kusiż nas prawie pytanie, czy nie jest nam w ogóle niezbędna? Dopiero wielki ból jest ostatecznym ducha oswobodzicielem, jako nauczyciel wielkiego podejrzenia, które z każdego U robi X, prawe, szczere X, to jest przedostatnią głoskę przed ostatnią. Dopiero wielki ból, ów długi powolny ból, który potrzebuje czasu, w którym spalamy się niejako z zielonymi gałęziami, zmusza nas filozofów do zstąpienia w swą ostateczną głęb i do odrzucenia od siebie wszelkiej ufności, wszystkiego, co dobroduszne, zasłaniające, łagodne, średnie, w co włożyliśmy może przedtem swoje człowieczeństwo. Wątpię, czy taki ból "polepsza" – lecz wiem, że nas pogłębia. Czy to więc uczymy się przeciwstawiać mu swoją dumę, swoje szyderstwo, swoją siłę woli i postępujemy w tym jak Indianin, który, choćby jak strasznie nawet dręczony, w złości swego języka znajduje odszkodowanie na swym dręczycielu; czy to przed bólem w ową orientalną chronimy się nicość – zważ ją nirwana – w owo nieme, tępe, głuche poddanie się, zapomnienie o sobie, zgaszenie siebie: to jednak z takich długich, niebezpiecznych ćwiczeń w panowaniu nad sobą wychodzi się innym człowiekiem, z kilku znakami zapytania więcej, przede wszystkim z wolą pytania nadal więcej, głębiej, surowiej, srożej, złośniejszej, ciszej, niż się dotąd pytało. Zaufanie do życia szczezło: życie samo problematem się stało – nie trzeba tylko sądzić, że człowiek koniecznie przez to stał się posepnikiem! Nawet miłość ku życiu możliwa jest jeszcze – kocha się jeno inaczej. Jest to miłość ku kobiecie, która w nas budzi wątpliwości... Powab wszystkiego, co problematyczne, radość z X jest jednak u takich bardziej duchowych, przeduchowionych ludzi zbyt wielka, by nie miała ciągle na nowo, jak jasna pożoga, wybuchać ponad wszelką nędzę problematyczności, ponad wszelkie niebezpieczeństwo niepewności, nawet ponad zazdrość kochającego. Poznajemy nowe szczęście...

4.

Wreszcie, aby niepowiedzianym nie pozostało, co najistotniejsze: z takich otchłani, z takiego ciężkiego niedomagania, także z niedomagania ciężkiego podejrzenia, powraca się nowo narodzonym, z obłuszczonej skórą, bardziej łaskotliwym, złośliwszym, z wytworniejszym smakiem do radości, z delikatniejszym językiem dla wszystkich dobrych rzeczy, z weselszymi zmysłami, z powtórną, niebezpieczniejszą niewinnością w radości; powraca się dziecinniejszym zarówno i stokroć bardziej wyrafinowanym, niż się kiedykolwiek przedtem było. Och, jakże wstrętne jest odtąd użycie, grube, tępe, ciemne użycie, jak je zresztą pojmują używający, nasi "wykształceni", nasi bogaci i panujący! Jak złośliwie przysłuchujemy się odtąd jarmarcznemu bum-bum, którym "człowiek wykształcony" i wielkiego miasta mieszkaniem zmusza się dziś gwałtem przez sztukę, książkę i muzykę do "rozkoszy duchowych" przy pomocy gorących napojów! Jakże nam teraz ranić będzie uszy teatralny krzyk namiętności, jakże obcy stanie się smakowi naszemu cały ten romantyczny zgiełk i rozgardiasz zmysłów, w którym wykształcony lubuje się motłoch, wraz ze swymi aspiracjami

do wzniosłości, podniesienia, wyśrubowania! Nie, jeśli my ozdowieńcy w ogóle jakiejś jeszcze potrzebujemy sztuki, to jest nią inna sztuka – drwiąca, lekka, lotna, bosko nieskazitelna, bosko artystyczna sztuka, która jak jasny płomień w bezchmurne strzela niebios! Przede wszystkim sztuka dla artystów, tylko dla artystów! Znamy się teraz lepiej, także jako artyści, na tym, co jest do tego przede wszystkim potrzebne, pogoda, wszelkiego rodzaju pogoda, przyjaciele moi! – Mógłbym tego dowieść. Wiemy niejedno teraz za dobrze, my wiedzący: och, jakże się odtąd uczymy dobrego zapominania, dobrego niewiedzenia, jako artyści! Co się zaś tyczy naszej przyszłości, to trudno nas będzie odnaleźć znowu na ścieżkach owych egipskich młodzieńców, którzy nocą świątynie niepewnymi czynią, ramionami obejmują posągi i wszystko w ogóle, co ze słusznych powodów trzymane jest pod zakryciem, odsłaniają, odkrywają, w jasnym postawić chcą światło. Nie, ten zły smak, ta żądza prawdy, "prawdy za wszelką cenę", ten obłęd młodzieńczy w miłości prawdy – obmierzyły nam. Na to jesteśmy za doświadczeni, za poważni, za weseli, za poparzeni, za głębcy... Nie wierzymy już w to, że prawda jeszcze prawdą pozostaje, jeśli z niej pościągamy zasłony; żyliśmy dosyć, by w to nie wierzyć. Dziś uważamy za rzecz przyzwoitości, by nie wszystko chcieć widzieć nago, nie przy wszystkim być obecnym, nie wszystko rozumieć i "wiedzieć". "Czy to prawda, że Pan Bóg jest wszędzie obecny? – pytała dziewczynka swą matkę. – Ależ to nieprzyzwoicie". – Wskazówka dla filozofów! Należy mieć większy szacunek dla sromu, z jakim przyroda ukryła się za zagadki i pstre niepewności. Może prawda jest kobietą, która ma powody nieodsłaniania spojrzeń swych głębi? Może imię jej, mówiąc z grecka, jest Baubo?... [mit. gr. – bogini obsceniczności, swawolna i bezwstydna, nosząca przydomek "Przemawiającej spomiędzy nóg"] Och, ci Grecy! Rozumieliż się oni na życiu: na to trzeba dzielnie zatrzymywać się przy powierzchni, przy fałdzie, przy naskórku, uwielbiać pozór, wierzyć w kształty, dźwięki, słowa, w cały Olimp pozor! Ci Grecy byli powierzchowni – z głębi. I czyż nie powracamy właśnie ku temu, my śmiałkowie duchowi, którzyśmy się wdarli na najwyższy i najniebezpieczniejszy szczyt myśli obecnej i stąd się obejrzeni, którzyśmy stąd w dół spojrzeli? Czyż nie jesteśmy w tym właśnie – Grekami? Wielbicielami kształtów, dźwięków, słów? Właśnie dlatego – artystami?

Ruta pod Genuą na jesieni roku 1886

## **Wiedza radosna**

### **Żart, chytrość i zemsta. Przygrywka rymowana**

1.

#### **ZAPROSZENIE**

Na moją strawę odważcie się, proszę!  
Jutro wam lepszą się wyda, smakosze,  
Pojutrze już będzie smakować!  
Zechcecie potem więcej – to mi fraszki  
Stare dodadzą odwagi, zaprażki,  
By nowe wam fraszki zgotować.

2.

#### **MOJE SZCZĘŚCIE**

Odkąd szukanie mnie unużyło,  
Jam się znajdować nauczył nagle.

Odkąd mi wiatr się sprzeciwił siłą –  
Z wszystkimi wiatry płyną me żagle.

3.

#### ŚMIAŁO

Tam, gdzie stoisz, kop do głębi!  
Źródło jest tam snadnie!  
Niech cię czerni krzyk nie gnębi:  
"Tam jest – piekło na dnie!".

4.

#### ROZMOWA

A: Czym był chory? Teraz zdrów?  
Kto był mym lekarzem? Mów!  
Zapomniałem... znikło z głowy!  
B: Teraz wierzę, żeś jest zdrów:  
Zapomina tylko zdrowy.

5.

#### DO CNOTLIWYCH

Niechaj cnotom też naszym lekko podnoszą się stopy:  
Równie wierszom Homera winny przychodzić i iść.

6.

#### MĄDROŚĆ ŚWIATOWA

Nie ostawaj wśród równiny!  
Nie wspinaj się za wysoko!  
Najpiękniejszy świat na oko  
Ot tak z pół wyżyny.

7.

#### VADEMECUM – VADETECUM

Wabię cię słowem swym i wzorem,  
Idziesz mym śladem, moim torem?  
Idź w ślad swój jeno z wiarą całą: –  
A pójdziesz za mną – śmiało! śmiało!

8.

#### PRZY TRZECIM LENIENIU

Już skóra pęka mi a wciąż  
W żarłocznej żądy sile,  
Wciąż ziemi łaknie we mnie wąż,  
Choć ziemi strawił tyle.  
Zgłodniały pełzną w kręty ślad

Pomiędzy głazem, trawą,  
By jeść cię, jakim dotąd jadł,  
O ziemio, węzów strawo!

9.

#### MOJE RÓŻE

Szczęście me – chce na was spływać –  
Szczęście chce obdarowywać!  
Chcecie moje róże zrywać?  
Chylać się musicie, skrywać  
Wśród skał, cierni, rzeszo płocha,  
Często palce oblizywać!  
Szczęście me – chce droczyć trocha!  
Szczęście me – przekorę kocha!  
Chcecie moje róże zrywać?

10.

#### GARDZĄCY

Wiele miotam precz i ronię,  
Więc wy mnie gardzącym zwiecie,  
Z czar przepelných pijąc trwonię,  
Wiele miotam precz i ronię, –  
Niemniej wino cenię przecie.

11.

#### PRZYSŁOWIE MÓWI

Czymś szorstkim i łagodnym, czymś chamskim i grzecznym,  
Czymś swojskim i czymś dziwnym, czystym i wszetecznym,  
Miejscem, gdzie błazen z mędrcom schadzki sobie czynią:  
Tego wszystkiego jestem i pragnę być skrzynią,  
Zarazem gołębicą i węzem, i świnią!

12.

#### DO PRZYJACIELA ŚWIATŁA

Chcesz myśl i oko ustrzec od znużenia,  
Więc i za słońcem biegnij pośród cienia.

13.

#### DLA TANECZNIKÓW

Gładki lód  
Raj i cud,  
Komu tańczyć żaden trud.

14.

DZIELNY

Raczej nieprzyjaźń z całego polana,  
Niżeli przyjaźń łatana.

15.

RDZA

I rdzy trzeba: być ostrzem nie dość! A powody?  
Bo ciągle mówić będą o tobie: "za młody"!

16.

WZWYŻ

"Jak na szczyt ten najlepiej wejść, jakich dróg zwrotem?" –  
Postępuj jeno ciągle wzwyż i nie myśl o tem!

17.

DEWIZA GWAŁTOWNIKA

Nie proś nigdy! Nie skomlij jak zwierz!  
Bierz, ja proszę ciebie, zawsze bierz!

18.

CIASNE DUSZE

Dla ciasnych dusz nienawiść tylko mam:  
Ni dobra, ni zła prawie nie ma tam.

19.

MIMOWOLNY UWODZICIEL

Wyrzucił puste słowo na wiatr: ot podnieta  
W nudzie – a jednak przez nie upadła kobieta.

20.

ROZWAŻCIE

Podwójną boleść łatwiej jest znosić i lżej  
Niż jedną: czy spróbować chcesz odwagi swej?

21.

PRZECIW PYSZE

Nie nadymaj się w pychy bezbrzeżu:  
Małe ukłucie – a pękiesz, pęcherzu.

22.

KOBIETA I MAŻ

"Bierz przemocą kobietę, gdy ci w serce wpadnie!"

Tak myśli mąż; kobieta nie bierze, lecz kradnie.

23.

#### INTERPRETACJA

Tam, gdzie wykładam siebie, siebie wkładam:  
Na wykładacza swego się nie nadam.  
Lecz kto wzwyż jeno pnie się ścieżką własną,  
Ten też mój obraz wnosi w światłość jasną.

24.

#### LEK DLA PESYMYSTÓW

Skarżysz się, druhu, że ci nic nie w smak?  
Wciąż dąsy stare, wciąż masz w nosie muchę?  
Cierpliwość rwie mi się i serce kruche.  
Bo ciągle stękasz, klniesz i plujesz tak.  
Posłuchaj, druhu! Wstrętom swym na wspak,  
Odważ się połknąć tłusciuchną ropuchę.  
Szybko, nie patrząc nawet, wzbudź otuchę! –  
A niestrawności zniknieć wszelki znak.

25.

#### PROŚBA

Istotę wielu ludzi znam,  
A nie wiem, kim ja jestem sam!  
Za blisko mnie źrenica ma –  
Com widział, widzę, to nie ja.  
Lepiej bym radził swej potrzebie,  
Gdybym mógł dalej się od siebie,  
Nie aż tam, skąd mój wróg mnie śledzi!  
Już bliski druh zbyt z dala siedzi –  
Lecz między nim a sobą w środku!  
Rozumiesz prośbę mą, narodku?

26.

#### MOJA SROGOŚĆ

Sto stopni przebyć trzeba mi,  
Iść wzwyż, a za mną krzyk wasz brzmi:  
"O, srogi jesteś! Czyśmy głaz?" –  
Sto stopni przebyć trzeba mi,  
A stopniem nikt być nie chce z was.

27.

#### WĘDROWIEC

"Bezdroże! Przepaść, ciche w krąg, jak śmierć, okola!" –  
Tak chciałeś! Z ścieżki własna zwiodła ciebie wola!

Wędrowcze! Stop w swym wzroku chłód, bystrość i męstwo!  
Zgubionyś, gdy wierzysz tu – w niebezpieczeństwo.

28.

#### POCIECHA DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Patrzcie, to dziecko obstały świnię,  
Bezsilne, kurczy stopy i nuż łkać!  
Płacze, bo płakać też umie jedynie –  
Kiedyż stać zdoła, krok przed się swój brać?  
Hej, śmiało! Sądzę, niewiele chwil minie,  
A ujrzym dziecko to tańczącym snadź!  
A gdy na nogach dwóch stanie, w godzinie  
Będzie umiało i na głowie stać!

29.

#### EGOIZM GWIAZD

Gdybym się, beczka tocząca się krągle,  
Wokoło siebie nie kręciła ciągle,  
Jakbym, za słońcem mknąc, mogła wytrzymać,  
By nie zapalić się, ognia nie imać?

30.

#### BLIŻNI

Nie rad przy bliźnim mam siedzibę swoją:  
Precz z nim, w wyż, niech mu dal będzie ostoją!  
Jakby inaczej mógł być gwiazdą moją? –

31.

#### ZAKAPTURZONY ŚWIĘTY

By nas twe szczęście nie gniołło zmorą,  
Otaczasz siebie czarcia przekorą,  
Czarcim dowcipem i czarcia złością.  
Jednak daremnie! Źreniceć gorą –  
Źrenice twoje patrzą świętością!

32.

#### NIEWOLNY

A. Cóż go złudziło? Stoi, słucha;  
Jaki dźwięk dobiegł jego ucha?  
Cóż to wydarło z niego jęk?  
B. Jak każdy, co żył u łańcucha,  
Wszędzie łańcucha słyszy brzęk.

33.

### SAMOTNY

Nienawistnym mi stało się iść w ślad i wodzić.  
Posłusznym być? Nie! Ale nie chcę też i władać!  
Kto sobie nie jest straszny, jak strachu ma zadać:  
A li kto innym straszny, może innych wodzić.  
Nienawistnym mi nawet już sobie przewodzić!  
Chcę jak zwierz, co się w puszczy i w morzu zwykł rodzić,  
Na chwilę móc się zgubić, manowcem odgrodzić,  
W zbłąkaniu błogim niech mnie zaduma kolebie,  
Abym w końcu z oddali znów wabić mógł siebie,  
Znowu samego siebie ku sobie – uwodzić.

34.

### SENECA ET HOC GENUS OMNE

[Seneka i wszyscy inni jego pokroju]

Pisze to, pisze swe nie do zniesienia mądre larifari,  
Jakby się miało primum scribere  
Deinde philosophari [najpierw pisać, potem filozofować].

35.

### LÓD

Tak jest! Czasami przyrządzam lód:  
Bo pożyteczny jest lód do trawienia!  
Gdybyście mieli dużo do trawienia,  
O, jakże byście lubili mój lód!

36.

### PISMA MŁODZIEŃCZE

Mej mądrości A i O  
Tu mi brzmiało: słowa wieszczę!  
Dziś mi nie brzmi z nich już to,  
Jeno wieczne Ah! i Oh!  
Mej młodości słyszę jeszcze.

37.

### BACZNOŚĆ

W tym kraju niebezpiecznie dla podróżnych gości;  
Gdyś ducha pełen, miej się dwakroć na baczości!  
Wabiąc, pieścąc, aż pożrą! Głód ich ciebie łaknie:  
To duchy zapaleńców – tym ducha wždy braknie!

38.

### BOGOBOJNY MÓWI:

Bóg nas miłuje, ponieważ nas stworzył.  
"Człek stworzył Boga" – subtelni mówicie.

Nie maż więc kochać, w co twórczość swą włożył?  
Czyż ma zaprzeczać, ponieważ to stworzył?  
To chroma, stąpa na diablím kopycie.

39.

LATEM

W gorzkim pocie naszych lic  
Pan chleb jeść nam każe.  
W pocie lepiej nie jeść nic,  
Radzą nam lekarze.  
Słońce, ten hultajski widz,  
Z drwiącą patrzy miną.  
W gorzkim pocie swoich lic  
Pijmy lepiej wino!

40.

BEZ ZAZDROŚCI

Że niezazdrosny, mkniecie cześć mu nieść?  
On nie ogląda się na waszą cześć;  
Orli wzrok jego gna w dalekie jazdy,  
On was nie widzi! – jeno gwiazdy, gwiazdy!

41.

HERAKLITYZM

Szczyście ziemskie, druhu mój,  
Daje tylko bój!  
Aby się druhami stać,  
Trza woń prochu znać!  
Druhy w trojgu jednym są:  
Braćmi – w dolę złą,  
Równi – gdzie wróg zajdzie perć,  
Wolni – tam, gdzie śmierć.

42.

ZASADA PRZEDELIKATNYCH

Na palcach raczej jeszcze iść,  
A na czworakach nie warto,  
Dziurką od klucza raczej wnijsć,  
Niżli przez bramę otwartą.

43.

RADA

Do sławy dążysz wciąż, bez popasu?  
Słuchaj, co moja nauka wieści,  
Idź, lecz się zrzeknij zawczasu

– Cześci!

44.

GRUNTOWNY

Jam badacz? Po cóż słowo to! –  
Jam tylko ciężki – wagi dużej!  
I spadam, spadam jak najdłużej,  
A w końcu aż na dno!

45.

NA ZAWSZE

"Przychodzę dzisiaj, bo tak mi się chciało" –  
Tak, kto na zawsze przyszedł, mówi śmiało.  
Cóż mu tam świata gadanina szkodzi:  
"Za wcześnie przyszedł! Za późno przychodzi!".

46.

SĄDY ZNUŻONYCH

Znużeni klną słoneczny dzień;  
Wartością drzew jest im – ich cień.

47.

ZNIŹCIE

"Zniża się, upada" – krzyczycie w powodzi  
Szyderstw; prawdą zasię: on ku wam w dół schodzi.

Nadmiar szczęścia jego stał mu się znużeniem,  
Nadmiar światła tęskni w nim za waszym cieniem.

48.

PRZECIW PRAWOM

Od dziś zawieszę mój zegarek cenny  
U szyi mojej na nitce włosiennej;  
Od dziś ustanie dla mnie gwiazd krążenie,  
Blask słońca, pianie koguta i cienie,  
I co mi dotąd czas znaczyło wszędzie,  
Nadal mi niemym, głuchym, ślepym będzie: –  
Zmilknij mi, cała naturo, i wara  
Wobec tykania prawa i zegara.

49.

MĘDRZEC MÓWI

Potrzebny tłumom, choć gardzący tłumem,  
Ciągnę swą drogą, z słońcem, to z burz szumem,

A zawsze ponad tym tłumem!

50.

#### STRACONA GŁOWA

Ma rozum – jakież ją los nim wzbogacił?  
Mężczyzna ongiś głowę dla niej stracił.  
Głowę miał przedtem bogatą w zalety:  
Poszła do diabła – nie! nie! do kobiety!

51.

#### POBOŻNE ŻYCZENIA

"Gdybyż klucze od wszech klamek  
Mogły w lot poznikać,  
Gdybyż każdy u drzwi zamek  
Wytrych mógł odmykać!"  
Tak z westchnieniem myśli cichem  
Każdy, kto jest sam – wytrychem.

52.

#### PISANIE NOGĄ

Nie tylko ręką pisać mi się zdarza:  
Noga też chce być u mnie za pisarza.  
Silna, swobodna, dzielna pęd swój bierze  
Już to po polu, już to po papierze.

53.

#### "LUDZKIE TO, ARCYLUDZKIE". KSIĄŻKA

Smętnie trwożliwy, gdy wstecz wzrokiem bieżysz,  
W przyszłość wierzący, gdy sobie zawierzysz:  
Mamże cię, ptaku, zwać orłem skrzydlaczem?  
Czy ulubieńcem Minerwy, puchaczem?

54.

#### DO MEGO CZYTELNIKA

Dobrych zębów, dobrego żołądka –  
To życzeń mych treścią tajemną!  
Gdy strawisz mą książkę od wątka,  
To pewno też zgodzisz się ze mną!

55.

#### MALARZ REALISTA

Jak z tym pocznie: "Przyrodę bierz wiernie i całą!"  
Gdzież przyrodę wyczerpać płótnu się udało?  
Nieskończoną – najmniejsza cząstka w świata tumie! –

Wreszcie maluje, co się jemu podobało.  
A co mu się podoba? Co malować umie.

56.

#### PRÓŻNOŚĆ POETYCKA

Dajcie mi kleju: gdy klej mam, snadź  
Drzewo sam znajdę już śmiało!  
Myśl w cztery rymy bezmyślne wlać  
To nie jest dumą tak małą!

57.

#### WYBREDNY SMAK

Gdybym na życzeń mógł rozstaju  
Wybrać pomiędzy życzeniami.  
Wybrałbym miejsce w środku raju:  
Lecz chętniej – przed jego drzwiami.

58.

#### KRZYWY NOS

Zaczeplenie nos spogląda w dal,  
Nozdrza się dmą od wiatru fal –  
Więc padasz, boś nosalów ród,  
Człowieczku dumny, zawsze wprzód!  
I zawsze razem sprzęga los:  
Prostą dumę, krzywy nos.

59.

#### PIÓRO BAZGRZE

Pióro mi bazgrze: a czart to zamaż!  
Czym na bazgranie skazany puste? –  
Więc śmiało chwytam w rękę kałamarz  
I leję strugi inkaustu tłuste!  
Jakże to płynie pełno, szeroko,  
Wszystko się szczęści, czym myśl zaświta!  
Wprawdzie się w piśmie nie wyzna oko –  
Lecz co tam! Któż to, co piszę, czyta?

60.

#### LUDZIE WYŻSI

Ten w górę dąży, chwalić go się godzi!  
Lecz tamten zawsze od wyżyn przychodzi!  
I żyje wyższy nad pochwał wawrzyny,  
On jest z wyżyny.

61.

#### SCEPTYK MÓWI

Pół życia przeszło twego,  
Wprzód mknie wskazówka, duszę twą zbiegają dreszcze!  
Z dawna stopy jej krążą i biegną,  
Szukała, nie znalazła – ociągaż się jeszcze?

Pół życia przeszło twego:  
Każdej godziny obłęd to był i ból krwawy.  
Czego szukasz tu jeszcze? Dlaczego?  
Tegoć szukam – zasadnej szukania podstawy.

62.

#### ECCE HOMO

Tak! Ja wiem, skąd ród mój szczytny!  
Jako płomień nienasytny,  
Trawię się, żar we mnie drga.  
Światłem wszystko, gdzie się zwrócę,  
Węgłem wszystko, co porzucę:  
Tak, płomieniem jestem ja!

63.

#### MORAŁ GWIAZD

W dróg gwiazdnych przeznaczona tok,  
Cóż cię obchodzi, gwiazdo, mrok?

Tocz się szczęśliwa przez ten czas!  
Obca dla jego nędz i skaz!

W najdalsze światy blaskiem błędź:  
Litość, jak grzech ze siebie strąć!

I jedno tylko: czysta bądź!

## Wiedza radosna

### Księga pierwsza

1.

Nauka o celu istnienia. – Czy dobrym, czy też złym spojrzę okiem na ludzi, zastaję ich zawsze przy tym samym dziele, wszystkich razem i każdego z osobna: czynią to, co sprzyja utrzymaniu się rodzaju ludzkiego. A to zaprawdę nie z uczucia miłości do tego rodzaju, lecz po prostu, ponieważ nie ma w nich nic starszego, silniejszego, bardziej

nieubłaganego i nieprzezwytecznego nad ów instynkt – ponieważ właśnie instynkt ten jest naszego rodzaju i stada istotą. Choć więc dość szybko ze zwyczajnym krótkowidzstwem na pięć kroków zwykło się dzielić bliźnich swych starannie na pożytecznych i szkodliwych, po dłuższym rozmyśleniu nad całością, nabiera się nieufności do tego przebijoru i rozdzielania i daje się mu wreszcie pokój. Nawet najszkodliwszy człowiek jest może jeszcze najpożyteczniejszym w stosunku do utrzymania rodzaju; bo podtrzymuje on w sobie lub, przez działanie swe, w innych, popędy, bez których by ludzkość stępieła i zgnuśniała od dawna. Nienawiść, radość z cudzej szkody, żądza grabieży i panowania i wszystko, co tylko złym się zowie: należy do zdumiewającej ekonomii utrzymania rodzaju, prawda, że do kosztownej, rozrzutnej i w całości szalonej do najwyższego stopnia ekonomii – która jednak w sposób dowodny utrzymała dotąd nasz rodzaj. Nie wiem już wcale, mój drogi bracie i bliźni, czy możesz w ogóle żyć z krzywdą rodzaju, a więc "nierozsądnie" i "źle". To, co by rodzajowi szkodzić mogło, wymarło już może od wielu tysięcy i należy teraz do rzeczy, które nie są nawet w mocy samego Boga. Ulegaj swoim najlepszym lub najgorszym żądom, a przede wszystkim: przepadnij! – w obydwu wypadkach będziesz prawdopodobnie zawsze jeszcze w jakiś sposób popieraczem i dobroczyńcą ludzkości i znajdziesz sobie ze względu na to mówców pochwalnych – tudzież szyderców! Ale nie znajdziesz nigdy takiego, kto by umiał w tobie, jednostce, zupełnie wyszydzić to, co jest w tobie najlepszego, kto by twoje bezgraniczne musze i żabie ubóstwo ducha umiał ci tak dać odczuć, jakby tego zgoda z prawdą wymagała! Aby śmiać się z samego siebie, jakby się śmiać należało, aby śmiać się z głębi całej prawdy, na to mieli dotychczas nawet najlepsi nie dość poczucia prawdy, a najbardziej uposażeni nazbyt mało geniuszu! Może i śmiech ma jeszcze przyszłość przed sobą! Wówczas, gdy zdanie "rodzaj jest wszystkim, jeden jest zawsze niczym" – przeniknie ludzkość do gruntu i każdy o każdym czasie będzie miał wolny dostęp do tego ostatecznego oswobodzenia i nieodpowiedzialności, może wówczas śmiech sprzymierzy się z mądrością, może wówczas istnieć będzie tylko "wiedza radosna". Tymczasem jest jeszcze zgola inaczej, tymczasem komedia istnienia nie "uświadomiła się" jeszcze sobie samej – tymczasem trwa ciągle jeszcze okres tragedii, okres moralności i religii. Cóż oznacza to coraz nowe pojawianie się owych twórców moralności i religii, owych sprawców walki o oceny moralne, owych nauczycieli wyrzutów sumienia i wojen religijnych? Co znaczą ci bohaterowie na tej scenie? – bo byli to dotychczas jej bohaterowie, a wszystko inne, przez pewien czas jedynie widoczne i zbyt bliskie, służyło zawsze tylko za przysposobienie tych bohaterów, czy to jako maszyna i kulisy lub też w roli zaufanych i kamerdynerów (poeci na przykład byli zawsze kamerdynerami jakiejś moralności). – Rozumie się samo przez się, że i ci tragicy pracują na pożytek rodzaju, choćby nawet sądzili, że na pożytek Boga pracują lub jako Boga posłańcy. I oni popierają życie gatunku, popierając wiarę w życie. "Warto żyć – woła każdy z nich – coś tam ma w sobie to życie, życie ma coś za sobą, pod sobą, miejcie się na baczności!" Ów popęd, władający jednako najwyższym i najpospolitszym człowiekiem, popęd utrzymania rodzaju, wybucha co pewien czas jako rozum i namiętność ducha; ma wtedy wkoło siebie świetny orszak uzasadnień i każe wszelkimi siłami zapomnieć, że jest w istocie swej popędem, instynktem, szaleństwem, bezzasadnością. Powinno się kochać życie, ponieważ! Człowiek powinien kochać siebie i bliźniego, ponieważ! I jakkolwiek tam wszystkie takie "powinien" i "ponieważ" zwa się i w przyszłości zwać by się mogły! Aby to, co koniecznie, i zawsze samo z siebie i bez wszelkich celów się dzieje, zdawało się odtąd uczynionym w zamyśle, skierowanym ku pewnemu celowi, i ukazywało się człowiekowi jako rozum i ostateczne przykazanie – po to występuje nauczyciel etyczny, jako nauczyciel "celu istnienia"; po to wynajduje on drugie i odmienne istnienie i mocą swej nowej mechaniki wyważa on stare, powszednie istnienie z jego starych, powszednich zawiasów. Tak! On nie chce wcale, byśmy się śmiali z istnienia, ani też z siebie – ani też z niego; dla niego jednostka jest zawsze jednostką, czymś najważniejszym i ostatecznym, i olbrzymim, dla

niego nie istnieje żaden rodzaj, żadne sumy, żadne zera. Choćby nie wiedzieć jak szaleńcze i marzycielskie były jego wynalazki i oceny, choćby nie wiedzieć jak nie uznawał biegu natury i przeczył jej warunkom – (a wszystkie etyki były dotąd aż do tego stopnia szaleńcze i nienaturalne, że każda z nich byłaby zaprzepaściła ludzkość, gdyby nią była owładnęła) – to zawsze, każdym razem, gdy "bohater" wstąpił na scenę, osiągnano coś nowego, dreszczem przejmujące przeciwieństwo śmiechu, owo głębokie wstrząśnienie wielu jednostek wobec myśli: "Tak, warto żyć! Tak, wart jestem życia!" – życie i ja, i ty, i my wszyscy razem stawaliśmy się sobie znowu raz na czas pewien zajmujący. – Nie można przeczyć, że z ciągiem czasu nad każdym z tych wielkich nauczycieli celu aż do dnia dzisiejszego zwycięstwo odnosił śmiech i rozum, i natura: krótka tragedia zmieniała się ostatecznie zawsze na powrót w wieczną komedię istnienia, a "fałszywy śmiech" – mówiąc z Ajschylosem – muszą ostatecznie rozpostrzeć się jeszcze i ponad największą z tych tragedii. Lecz mimo cały ten strofujący śmiech, przez to ciągle nowe pojawianie się owych nauczycieli o celu istnienia, zmieniła się jednak na ogół natura ludzka – ma ona teraz więcej o jedną potrzebę, właśnie potrzebę ciągle nowego zjawiania się nauczycieli i nauk o "celu". Człowiek stał się stopniowo fantastycznym zwierzem, który ma spełnić więcej o jeden warunek egzystencji niż każde inne zwierzę: człowiek musi co pewien czas wierzyć, że wie, dlaczego istnieje, rodzaj jego nie może się rozwijać bez okresowo powracającego zaufania do życia! Bez wiary w rozum życia! I zawsze na nowo będzie rodzaj ludzki co pewien czas wyrokował: "istnieje coś, z czego bezwarunkowo już śmiać się nie wolno!". A najprzezorniejszy przyjaciel ludzkości doda: "nie tylko śmiech i wiedza radosna, lecz i tragizm z całym swym wzniosłym nierozumem należy do środków i konieczności utrzymania rodzaju!". – I przeto! Przeto! Przeto! Och, rozumiecie mnie, bracia moi? Rozumiecie to nowe prawo odpływu i przyływu? I nasz czas nadejdzie!

## 2.

Sumienie intelektualne. – Coraz na nowo doświadczam tego, a za każdym razem buntuję się na nowo i nie chcę temu wierzyć, choć dotykam tego nieomal rękoma: ogromnej większości ludzi brak sumienia intelektualnego. Ba, często zdawało mi się prawie, jakby się z takim wymaganiem w najludniejszych miastach było jak na pustyni. Każdy patrzy na ciebie zdziwionymi oczyma i sprawia dalej swą wagę, to zwać dobrem, tamto złem. Nie wywoła to w nikim rumieńca wstydu, gdybyś dał poznać, że te ciężary nie mają pełnej wagi – nie wzniesi też oburzenia przeciw tobie: może śmiać się będą z twej wątpliwości. Chcę rzec: ogromna większość ludzi nie uważa za hańbę wierzyć w to lub owo i żyć wedle tego, bez uprzedniego uświadomienia sobie ostatecznych i najpewniejszych argumentów za i przeciw i bez zadania sobie nawet choćby trudu dodatkowego podłożenia takich argumentów. Najbardziej uposażeni mężczyźni i najszlachetniejsze kobiety należą jeszcze do tej "ogromnej większości". Cóż warto mi jednak dobre serce, wykwintność i geniusz, jeśli człowiek o takich cnotach znosi w sobie niedołączne uczucia w sprawach wiary i sądu, jeśli pożądanie pewności nie jest mu najwnętrzną żądzą i najgłębszą potrzebą – tym, co wyższych ludzi od niższych oddziela! Znalazłem w niektórych ludziach bogobojnych nienawiść ku rozumowi i cieszyło mnie to w nich: zdradzili się bowiem chociaż nieczystym sumieniem intelektualnym! Lecz w pośród tej *rerum concordia discors* [niezgodna zgodność zjawisk (Horacy, *Listy* I, 12, 19)] i całej tej przedziwnej niepewności i wieloznaczności istnienia stać i nie pytać, nie drzeć z żądzy i rozkoszy pytania, nie nienawidzić nawet pytającego, może nim nawet mdło się zachwycać – to właśnie wzbudza we mnie pogardę – i tego uczucia przede wszystkim w każdym szukam

– jakieś błżeństwo przekonywa mnie zawsze na nowo, że każdy człowiek ma to uczucie, jako człowiek. Jest to mój rodzaj niesprawiedliwoci.

### 3.

Szlachetny i pospolity. – Naturom pospolitym wydaję się wszystkie szlachetne, wielkoduszne uczucia niewiodęcymi do celu i dlatego przede wszystkim niewiarogodnymi. Mrugaję oczami, słuchaję o czymś podobnym i zdaję się chcieć powiedzieć "niechybnie kryje się w tym jakiś interes, nie można widzieć poprzez wszystkie ściany". Podejrzewaję oni szlachetnego, że dąży do osiągnięcia korzyści tylko kręcymi drogami. Jeśli zbyt wyraźnie przekonaję się o braku osobistych zamysłów i zysków, to szlachetny uchodzi w ich oczach za rodzaj narwańca: pogardzaję nim, patrząc na jego radość i śmieją się z blasku jego oczu. "Jak można cieszyć się z tego, że się doznało uszczerbku, jak można z otwartymi oczyma zabrnąć w straty! Musi to być rodzaj choroby umysłowej, połączonej ze szlachetnością uczucia" – tak myślę i spoględam przy tym lekceważęc: jakże lekceważę radość, którą obłąkańcowi sprawia jego *idée fixe*. Natura pospolita odznacza się tym, że nieodparcie nie spuszcza z oka swej korzyści i że ta myśl o celu i korzyści sama silniejsza się w niej staje od najsilniejszych popędów: nie dać się tym popędom porwać ku czynnościom niewiodęcym do celu – oto jej mędrość i jej poczucie siebie. W porównaniu z nią jest natura szlachetna mniej rozumna: bo szlachetny, wielkoduszny, ofiarny ulega rzeczywiście swym popędom, a w najlepszych jego chwilach pauzuje jego rozum. Zwierzę, które z niebezpieczeństwem życia broni swych małych lub, w czasie rui, za samicę na śmierć nawet idzie, nie myśli o niebezpieczeństwie śmierci, jego rozum pauzuje również, opanowany zupełnie przez uciechę ze szczenię lub przez rozkosz z samicy i przez obawę, że może być tej rozkoszy pozbawione; staje się ono głępsze niż zazwyczaj, podobnie jak szlachetny i wielkoduszny. Ten posiada kilka uczuć rozkoszy i przykrości w takiej sile, że intelekt wobec nich milczeć musi lub oddać się im na usługi: wówczas serce przeskakuje mu do głowy i mówi się potem o "namiętności". (Tu i ówdzie zdarza się też zapewne przeciwieństwo tego i niejako "odwrócenie namiętności", na przykład u [Fontenelle'a](#), któremu ktoś raz rękę położył na sercu, mówię: "To, co tu masz, mój panie, to także mózg".) Nierozumem lub opacnym rozumem namiętności – oto czym pospolity pogardza w szlachetnym, zwłaszcza jeśli namiętność ta zwraca się ku przedmiotom, których wartość wydaję mu się fantastyczna lub dowolna. Gniewa się on na tego, który ulega namiętnościom brzucha, pojmuje jednak ponęę, która tu tyranem się staje; ale nie pojmuje, jak można na przykład gwoli namiętności poznania narażać zdrowie swoje i cześć. Smak natur wyższych zwraca się ku wyjątkom, ku rzeczom, na które ludzie pozostaję zazwyczaj zimni i które zdaję się żadnej w sobie nie kryć słodyczy; natura wyższa posiada swę osobliwą miarę wartości. Nadto jest zazwyczaj mniemania, że w swych idiosynkrazjach smaku posiada nie swę osobliwą miarę wartości, poczytuje raczej swe wartości i bezwartości za w ogóle walor majęc i wpada przez to w niezrozumiałość i niepraktyczność. Jest rzeczą bardzo rzadką, aby natura wyższa tyle zachowała rozumu, by ludzi codziennych jako takich rozumieć i traktować. Najczęściej wierzy w swę namiętność jako w ukrytę namiętność wszystkich, i jest właśnie w tej wierze pełna żaru i wymowy. Jeśli więc tacy ludzie wyjątkowi nie odczuwaję samych siebie jako wyjątków, jakżeż by mieli kiedykolwiek rozumieć natury pospolite i słusznie oceniać regułę! – I dlatego mówię i oni o szaleństwie, o sprzeczności z celem, o cudactwie ludzkości, pełni podziwu, jak to szaleńczo świat się toczy i czemu przyznać się nie chce do tego, czego "mu brak". – Jest to wieczna niesprawiedliwość szlachetnych.

#### 4.

Co utrzymuje rodzaj. – Najsilniejsze i najbardziej złe duchy popychały dotąd ludzkość najbardziej naprzód: zawsze na nowo zapalały one usypiające namiętności – wszelka uporządkowana społeczność usypia namiętności – budziły zawsze na nowo myśl porównywania, przeczenia, rozkoszy z nowości, ze śmiałych pokuszeń się i doświadczeń rzeczy niedoznanych, zmuszały ludzi przeciwstawiać mniemania mniemaniom, wzory wzorom. Przeważnie orężem, obalaniem kamieni granicznych, obrażaniem świętości: lecz i nowymi religiami i moralnościami! W każdym nauczycielu i kaznodziei nowości tkwi ta sama "złoba" [dawniej: złość, złośliwość, przewrotność], która osławia zdobywcę – choć objawia się łagodniej, nie wprawia natychmiast w ruch mięśni i przeto właśnie nie tak osławia! Nowość jest jednak w każdym razie złem, jako to, co chce zdobywać, stare kamienie graniczne i stare świętości obalać; a tylko to, co stare, jest dobre! Dobrymi ludźmi w każdym okresie czasu są ci, którzy stare myśli w głąb zagrzebują i z nich hodują owoce, rolnicy duchowi. Lecz każda ziemia wyjałowi się w końcu i coraz przybywać muszą lemiesz złego. – Istnieje teraz zasadniczo błędna nauka moralności, która mianowicie w Anglii wysokim się cieszy szacunkiem: wedle niej oceny "dobre" i "złe" są zbiorem doświadczeń co do "wiodącego do celu" i "niewiodącego do celu"; wedle niej to, co "dobrem" się zowie, utrzymuje rodzaj, to, co "złem" nazwano, jest dla rodzaju szkodliwe. W rzeczywistości jednak złe popędy wiodą w tym samym wysokim stopniu do celu, podtrzymują rodzaj i są niezbędne, jak dobre – tylko ich funkcje są odmienne.

#### 5.

Obowiązki bezwzględne. – Wszyscy ludzie czujący, że potrzeba im najsilniejszych słów i dźwięków, najwymowniejszych gestów i postaw, by w ogóle działać, politycy rewolucyjni, socjaliści, kaznodzieje pokutniczy, chrześcijańscy lub niechrześcijańscy, u których nie śmieją istnieć wyniki połowiczne: wszyscy oni prawią o obowiązkach charakteru bezwzględnego – gdyby nie one, nie mieliby żadnego prawa do swego wielkiego patosu: wiedzą o tym doskonale! Sięgają więc do filozofów-moralistów, głoszących jakiś kategoryczny imperatyw, lub przyswajają sobie jakiś dobry okrucuch religii, jak to na przykład czynił [Mazzini](#). Ponieważ chcą, by im bezwarunkowo ufać, czują przede wszystkim potrzebę bezwzględnego ufania sobie samym, na podstawie jakiegoś ostatecznego nierozstrząsalnego i wzniosłego w sobie przykazania, którego sługami i narzędziami czuć by się i wydawać chcieli. Mamy tu najnaturalniejszych i przeważnie najwpływowszych przeciwników moralnego oświecenia i sceptycyzmu: lecz ci są rzadcy. Natomiast istnieje bardzo liczna klasa tych przeciwników wszędzie tam, gdzie interes uczy poddania, gdy tymczasem sława i cześć zdają się poddania zabraniać. Kto pohańbionym się czuje na myśl, że jest narzędziem jakiegoś księcia lub partii, lub sekty, lub nawet jakiejś potęgi pieniężnej, na przykład jako potomek jakiegoś starego dumnego rodu, lecz właśnie narzędziem tym być chce lub być musi, przed sobą i publicznie, ten potrzebuje zasad patetycznych, które zawsze na ustach mieć można – zasad bezwzględnej powinności, którym bez zawstydenia poddać się i ich poddanym okazać się można. Wszelkie wytworniejsze służalstwo trzyma się silnie kategorycznego imperatywu i jest śmiertelnym wrogiem tych, którzy pragną odjąć obowiązkowi jego charakter bezwzględny: tego wymaga od nich przyzwoitość i nie tylko przyzwoitość.

6.

Utrata godności. – Rozmyślanie utraciło wszelką godność zewnętrzną, wystawiono na pociski szyderstwa ceremoniał i uroczystą minę rozmyślania i nie zniesiono by już mędrca starego stylu. Myślimy za szybko i mimochodem, i podczas drogi, pośród zajęć wszelkiego rodzaju, nawet jeśli myślimy o najpoważniejszej rzeczy; trzeba nam mało przygotowań, nawet mało ciszy – dzieje się tak, jakbyśmy obnosili w głowie ustawicznie w ruchu będącą maszynę, która pracuje nawet w najnieprzychylniejszych warunkach. Niegdyś poznawano po minie każdego, że chce raz pomyśleć – zapewne był to wyjątek! – że chce teraz stać się mędrszy i przysposabia się na przyjęcie myśli. Nastrajano do tego twarz, jak do modlitwy i wstrzymywano kroku. Nawet stało się godzinami na ulicy nieruchomo, gdy myśl "przyszła" – na jednej nodze lub na dwóch. To było "godne sprawy"!

7.

Coś dla pilnych. – Kto teraz zająć się chce badaniem spraw moralnych, przed tym otwiera się olbrzymie pole pracy. Wszelkie rodzaje namiętności muszą być oddzielnie rozważane, poszczególnie śledzone, namiętności czasów, ludów, wielkich i małych osobistości; cały ich rozum i wszystkie ich oceny wartości i oświelenia rzeczy winny wystąpić na jaw! Wszystko, co nadało barwę istnieniu, nie ma dotąd jeszcze wcale historii: lub gdzież istnieją dzieje miłości, chciwości, zawiści, sumienia, pobożności, okrucieństwa? Nawet porównawczych dziejów prawa lub też tylko kary, zupełnie brak dotychczas. Czyż uczyniono już dotąd badań przedmiotem rozmaite podziały dnia, następstwa prawidłowego ustalenia pracy, święta i spoczynku? Czy zna się moralne działania środków żywności? Czy istnieje filozofia odżywiania? (Ciagle na nowo wybuchająca wrzawa za jarstwem i przeciw jarstwu już świadczy, że nie ma jeszcze wcale takiej filozofii!) Czy zebrano już doświadczenia współżycia, na przykład doświadczenia klasztorów? Czy przedstawiono już dialektykę małżeństwa i przyjaźni? Obyczaje uczonych, kupców, artystów, rękodzielników – znalazły już swych myślicieli? Tyle jest o tym do myślenia! Wszystko, co po dziś dzień ludzie za swoje "warunki istnienia" uważali i wszelki rozum, namiętność i zabobon tego mniemania – zbadaneż już do końca? Już sama obserwacja rozmaitego wzrostu, jaki popędy ludzkie stosownie do rozmaitego moralnego klimatu posiadały lub jeszcze posiadać by mogły, przyczyniłaby zbyt wiele pracy nawet najpilniejszemu; trzeba by na to całych pokoleń i to pokoleń uczonych, pracujących podług jednego planu, by zastosować tu wszystkie punkty widzenia i wyczerpać materiał. To samo dotyczy wykazania powodów różności klimatu moralnego ("dlaczego tu świeci to słońce moralnej zasadniczej oceny i miernika głównych wartości – a tam owo?"). I znowu nową pracą jest wykazanie błędności wszystkich tych powodów, całej istoty dotychczasowego moralnego sądu. Przypuściwszy, że wszystkich tych prac dokonano, to by wystąpiło na czoło najbardziej śliskie z wszystkich pytań: czy wiedza jest zdolna nadawać cele działania, chociaż dowiodła, że może je odbierać i niszczyć – i wtedy pozostałoby eksperymentowanie, w którym by mógł znaleźć zadowolenie wszelki rodzaj heroizmu, wieki trwające eksperymentowanie, które by zaćmiło wszystkie wielkie dzieła i ofiary dotychczasowych dziejów. Wiedza nie zbudowała jeszcze dotąd swych cyklopowych budowli; i na to przyjdzie czas!

8.

Cnoty nieświadome. – Wszystkie właściwości człowieka, których jest świadom – a szczególnie, jeśli przypuszcza, że są widoczne i oczywiste także dla jego otoczenia – poddane są zupełnie innemu prawom rozwoju niż owe właściwości, które mu są nieznane lub źle znane, i które nawet przed okiem subtelno postrzegacza dzięki swej subtelności kryć się umieją i chować, jakby poza nicością. Tak się ma rzecz z delikatną rzeźbą na łuskach płazów: byłoby błędem przypuszczać w niej ozdobę lub broń – ponieważ widać ją dopiero przez mikroskop, więc tak sztucznie zaostrzonym okiem, jakiego nie posiadają podobne zwierzęta, dla których by mogło to oznaczać ozdobę lub broń. Nasze widoczne właściwości moralne, a właściwie te, które za widoczne uważamy, idą swoją drogą – a niewidoczne, takie same miana noszące i niebędące dla innych ani naszą ozdobą, ani naszą bronią, idą też swoją drogą: zupełnie inną prawdopodobnie i z liniami, subtelnościami i rzeźbami, które może jakiemuś bogu z boskim mikroskopem przyjemność sprawiać mogą. Mamy na przykład swoją pilność, swoją dumę, swoją bystrość: świat cały wie o tym – a oprócz tego mamy prawdopodobnie jeszcze raz swoją pilność, swoją dumę, swoją bystrość: lecz dla tych naszych płazich łusek nie wynaleziono jeszcze mikroskopu! – I tu powiedzą miłośnicy instynktownej moralności: "Brawo! Uważa przynajmniej cnoty nieświadome za możliwe – to nam wystarcza!". – O wy niewymagający!

## 9.

Nasze wybuchy. – Niezliczone rzeczy, które sobie ludzkość na wcześniejszych przyswoiła szczeblach, lecz tak słabo i w stopniu zarodkowym, że nikt za przyswojone uważać ich nie mógł, wystrzelają nagle na jaw, o wiele później, może po stuleciach. Niektórym wiekom zdaje się braknąć tej lub owej zdolności, tej lub owej cnoty, jak niektórym ludziom: lecz należy tylko poczekać na wnuków i prawnuków, jeśli się ma czas czekać – wydzwigną oni na światło wewnętrzną głąb swych praojców, ową wewnętrzną głąb, o której praojcowie sami nic jeszcze nie wiedzieli. Często już syn zdradza swego ojca: ojciec rozumie samego siebie lepiej, odkąd ma syna. Wszyscy mamy w sobie ukryte ogrody i szczepionki; i, używając innego porównania, wszyscy jesteśmy rosnącymi wulkanami, dla których nastąpi godzina wybuchu: – czy prędzej, czy później nastąpi, tego oczywiście nie wie nikt, nawet sam "Pan Bóg".

## 10.

Pewien rodzaj atawizmu. – Rzadkich ludzi pewnego czasu rozumiem najchętniej jako nagle wynurzające się odrośle minionych kultur i ich sił: niby jako atawizm jakiegoś narodu i jakiegoś obyczaju. W ten sposób można rzeczywiście coś jeszcze w nich rozumieć! Teraz wydają się obcy, dziwni, niezwykli: a kto siły te w sobie czuje, winien ich wbrew opornemu innemu światu strzec, bronić, czcić je, hodować. I tak stanie się przez to albo człowiekiem wielkim albo wariatem i dziwakiem, jeżeli w ogóle zawczasu nie zginie. Niegdyś te rzadkie przymioty były zwykłe i uchodziły przeto za pospolite: nie wyróżniały. Może wymagano ich, przypuszczano, że są naturalne; było niemożliwym stać się przez nie wielkim, a to już dlatego, że brakło niebezpieczeństwa stania się przez nie szalonym i samotnym. Szczególniej w zachowawczych rodach i kastach narodu zdarzają się takie oddźwięki starych popędów, gdy tymczasem atawizm taki nie jest prawdopodobny tam, gdzie rasy, zwyczaje, oceny wartości zbyt szybko się zmieniają. *Tempo* bowiem wśród sił

rozwojowych znaczy u ludów zarówno tyle, co w muzyce: w naszym wypadku jest koniecznie potrzebne pewne *andante* rozwoju, jako *tempo* namiętnego i powolnego ducha: – a tego rodzaju jest przecie duch rodów zachowawczych.

## 11.

Świadomość. – Świadomość jest ostatnim i najpóźniejszym stadium rozwoju świata organicznego, a przeto tym, co w nim najmniej skończone i najmniej silne. Ze świadomości pochodzą niezliczone błędy sprawiające, że zwierzę, człowiek ginie prędkiej, niżby to było konieczne – "wbrew przeznaczeniu", jak mówi Homer. Gdyby utrzymujący zespół instynktów nie był tak przeważnie silniejszy, gdyby nie służył w ogóle jako regulator: to by ludzkość musiała zginąć z powodu swych przewrotnych sądów i majaczenia z otwartymi oczami, z powodu swego braku gruntowności i swej łatwowierności, słowem właśnie z powodu swej świadomości: lub raczej bez tamtego nie istniałaby już od dawna! Dopóki jakaś funkcja nie wykształci się i nie dojrzeje, jest niebezpieczna dla organizmu: dobrze, gdy się ją do czasu tyranizuje! Tak tyranizuje się świadomość – a nie w najmniejszym stopniu przez dumę z niej! Mniema się, że tu jest rdzeń człowieka; to, co w nim trwałe, wieczne, ostateczne, pierwotne! Uważa się świadomość za stałą, daną wielkość! Odmawia się jej wzrastania i stanów przejściowych! Pojmuje się ją jako "jedność organizmu"! – To śmieszne przecenienie i niezrozumienie świadomości jest pożyteczne z tego powodu, że przeszkadza zbyt szybkiemu jej wykształceniu. Ponieważ ludzie mniemali, iż już świadomość posiadają, mało zadawali sobie trudu, by ją zdobyć – a i teraz jeszcze nie jest inaczej! Ciągłe jeszcze jest zupełnie nowym i właśnie dopiero rozbrzaskującym ludzkiemu oku, zaledwie wyraźnie dostrzegalnym zadanie wcielenia w siebie wiedzy i uczynienia jej instynktowną – zadanie widziane tylko przez tych, którzy pojęli, że dotychczas wcielały się w nas tylko nasze omyłki i że cała nasza świadomość ogranicza się do omyłek!

## 12.

O celu wiedzy. – Jak to? Ostatecznym celem wiedzy byłoby przysporzenie człowiekowi jak najwięcej rozkoszy i jak najmniej przykrości? A cóż, gdyby rozkosz i przykreść tak były jednym związanym powrośsem, że kto chce jak najwięcej mieć jednej, musi też jak najwięcej mieć drugiej – że, kto chce się uczyć "w niebo krzycheć radością" musi też gotować się "być smutnym aż do śmierci"? [Pieśń Klary w *Egmoncie* Goethego (przyp. tłum.)] I tak jest może! Stoicy wierzyli przynajmniej, że tak jest, i byli konsekwentni, jeśli jak najmniej pożąдали rozkoszy, by w życiu jak najmniej doznawać przykrości. (Jeśli na ustach miano zdanie: "Najcnotliwszy jest najszcześliwszy", to było ono zarówno szyldem szkoły wobec tłumu, jak też kazuistyczną subtelnością dla subtelnych.) I dziś jeszcze macie wybór: albo jak najmniej przykrości, słowem bezbolesność – a w gruncie rzeczy socjaliści i politycy wszystkich partii nie mogą w sposób uczciwy więcej przyrzekać swym ludziom – lub jak najwięcej przykrości, jako cenę za wzrastającą pełń wymyślnych i dotąd rzadko doznawanych rozkoszy i radości! Jeśli oświadczycie się za pierwszym, więc jeśli zgnieść i zmniejszyć chcecie bolesliwość ludzkości, to musicie też zgnieść i zmniejszyć jej zdolność do radości. W rzeczywistości można wiedzą popierać cel jeden jak i drugi! Jest ona teraz bardziej może jeszcze znana ze swej mocy pozbawiania człowieka radości i czynienia go zimniejszym, bardziej posagowym, bardziej stoickim. Lecz może też odkryje się w niej

jeszcze wielką dawczynią boleści, a wtedy odkryłoby się w niej może jednocześnie moc przeciwną, jej niezmierną możność rozświetlania nowych gwiazdnych światów radości!

### 13.

Z nauki o uczuciu mocy. – Świadczeniem dobrodziejstw i wyrządzaniem bólu wywiera się moc swoją na innych – o nic więcej przy tym nie chodzi! Wyrządzaniem bólu wywiera się ją na takich, którym musimy dopiero dać uczuć moc swoją; bo ból jest daleko bardziej dojmującym środkiem do tego niż rozkosz: ból zawsze szuka przyczyny, gdy tymczasem rozkosz skłonna jest zatrzymywać się przy samej sobie i nie poglądać wstecz. Świadczeniem dobrodziejstw i życzliwością na takich, którzy w jakiś sposób już od nas zależą (to znaczy zwykli myśleć o nas jako o ich przyczynie); chcemy ich moc pomnożyć, bo w ten sposób pomnażamy własną, lub chcemy dać im poznać korzyść, którą przynosi znajdowanie się w naszej mocy – w ten sposób stają się oni bardziej zadowoleni ze swego położenia i bardziej wrodzy a gotowi do walki przeciw wrogom naszej mocy. Czy ponosimy, sprawiając dobro lub ból, ofiary, to nie zmienia ostatecznej naszych postępów wartości; nawet jeśli oddajemy tu życie swe, jak męczennik na chwałę swego Kościoła – to jest to ofiara złożona s w e m u pożądanu mocy lub w celu zachowania swego uczucia mocy. Kto odczuwa "jestem w posiadaniu prawdy", ileż posiadania nie poświęci dla ratowania tego uczucia! Czegóż nie zrzuci z pokładu, by się "na wierzchu" utrzymać – to znaczy ponad innymi, którym na "prawdzie" zbywa! Zapewne rzadko jest stan, gdy ból wyrządzamy, tak przyjemny, tak niezakłócenie przyjemny, jak ten, gdy dobrodziejstwo świadczymy – jest to znak, iż brak nam jeszcze mocy lub zdradza troskę z powodu tego ubóstwa, przynosi z sobą nowe niepewności i niebezpieczeństwa dla naszego obecnego posiadania mocy i ochmurza nasz widnokrąg przewidywaniem zemsty, szyderstwa, kary, niepowodzenia. Tylko człowiekowi o najdrażliwszym i najpożądliwszym poczuciu mocy może sprawiać większą rozkosz wyciskanie pieczęci swej mocy na opornym; takiemu, któremu widok już uległego (będącego przedmiotem życzliwości) ciężarem jest i nudą. Zależy to od tego, jakim korzeniem zwykło się zaprawiać sobie życie; jest to rzeczą smaku, czy woli się przyrost siły powolny czy nagły, pewny czy niebezpieczny i zuchwały – szuka się tej lub innej zaprawy zawsze wedle swego temperamentu. Łatwa zdobycz jest dla natur dumnych czymś godnym pogardy, czują przyjemność dopiero na widok ludzi niezłomnych, którzy by im wrogami stać się mogli i tak samo na widok wszelkiego trudno dostępnego posiadania. Wobec cierpiącego są często twardzi, gdyż nie jest on godzien ich dążenia i dumy – lecz tym bardziej uprzejmi okazują się wobec siebie równych, z którymi walka i zapasy byłyby w każdym razie zaszczytne, gdyby się kiedyś sposobność nadarzyć miała. Pod wpływem przyjemności tego kąta widzenia przywykli ludzie kasty rycerskiej do wyszukanej względem siebie dworności. – Litość jest najprzyjemniejszym uczuciem w tych, którzy mało posiadają dumy i żadnej nie mają nadziei wielkich zdobyczy: dla nich jest łatwa zdobycz – a tą jest każdy cierpiący – czymś zachwycającym. Sławi się litość jako cnotę prostytutek.

### 14.

Czego też nie nazywa się miłością. – Chciwość i miłość: jakże odmiennych przy każdym z tych słów doznajemy uczuć! A jednak mógłby to być ten sam popęd, dwojako nazwany, raz uwłaczająco ze stanowiska już posiadających, w których popęd nieco się

uspokoił i którzy teraz o swoje obawiają się "mienię"; drugi raz ze stanowiska niezadowolonych, potrzebujących, i dlatego uświetniony mianem "dobry". Nasza miłość bliźniego – nie jestże parciem ku nowej własności? I tak samo nasza miłość wiedzy, prawdy? Rzecz stara, bezpiecznie posiadana uprzykrza nam się stopniowo i znowu wyciągamy ręce; najpiękniejszy nawet krajobraz, wśród którego przebywamy trzy miesiące, nie jest już pewny naszej miłości, i gdzieś jakiś daleki brzeg podnieca chciwość naszą. Posiadanie uszczupla się zazwyczaj przez posiadanie. Nasza uciecha z samych siebie chce utrzymać się w ten sposób, że ciągle coś nowego w nas samych przemienia – to właśnie zowie się posiadaniem. Uprzykrzyć sobie jakieś posiadanie, jest to uprzykrzyć sobie siebie samych. (Można też cierpieć z nadmiaru – także żądza odrzucania, wydzielania może przybrać sobie zaszczytne miano "miłości".) Jeśli widzimy cierpiącego, to korzystamy chętnie z nadarzającej się wtedy sposobności wzięcia go w posiadanie; czyni to na przykład dobroczynny i litościwy, i on zbudzoną w sobie żądzą nowego posiadania zwie "miłością" i czuje przy tym rozkosz, jak wobec nowej, uśmiechającej się zdobyczy. Najwyraźniej jednak miłość płci zdradza się jako dążenie ku posiadaniu: kochający chce bezwzględnie, wyłącznie posiadać upragnioną przez siebie istotę, chce zarówno bezwzględnej mocy nad jej duszą, jak nad jej ciałem, chce sam tylko być kochany i mieszkać i władać w innej duszy, jako coś najwyższego i najbardziej pożądanego godnego. Jeśli się zważy, że to nie znaczy nic innego, tylko że się chce wyłączyć świat cały z posiadania jakiegoś cennego dobra, szczęścia i rozkoszy; jeśli się zważy, że kochający dąży do zubożenia i uczynienia uszczerbku wszystkim innym współzawodnikom i chciałby się stać smokiem swego złotego skarbu, jako najbezwzględniejszy i najsamolubniejszy z wszystkich "zdobywców" i grabieżców; jeśli się zważy wreszcie, że samemu kochającemu cały świat poza tym obojętny, błądy, bezwartościowy się wydaje, że gotów jest wszelką ponieść ofiarę, ład wszelki zburzyć, wszelki podeptać interes: to dziwić się trzeba istotnie, że dzika ta chciwość i niesprawiedliwość miłości płciowej w tej mierze uświetniona i przebóstwiona została, jak to się za wszystkich dzieła czasów, ba, że z miłości tej dobyto pojęcie miłości jako przeciwstawienia egoizmu, gdy tymczasem jest ona może właśnie najszczerzym egoizmu wyrazem. To utarcie się słowa jest widocznie dziełem nieposiadających i pożądających – snadź było ich zawsze za wiele. Tacy, którym w dziedzinie tej wiele przypadło posiadania i dosytu, rzucali wprawdzie tu i ówdzie słowo o "wściekłym demonie", jak ów najbardziej godny miłości i najbardziej kochany z wszystkich Ateńczyków, Sofokles: lecz Eros śmieje się zawsze z takich bluźnierców – byli to właśnie zawsze najwięksi jego ulubieńce. – Istnieje zapewne tu i ówdzie na ziemi pewnego rodzaju dalsze ogniwo miłości, gdzie owo chciwe wzajemne pożądanie się dwóch osób ustąpiło nowej żądzy i chciwości, wspólnemu wyższemu pragnieniu stojącego ponad nimi ideału: lecz któż zna tę miłość? Któż ją przeżył? Prawdziwe jej imię jest przyjaźń.

## 15.

Z daleka. – Góra ta użycza całej okolicy, nad którą panuje, uroku pod każdym względem i czyni ją pełną znaczenia: powiedziawszy to sobie po raz setny, jesteśmy tak nierozsądni i tak wdzięcznie dla niej nastroszeni, iż wierzymy, że ona, dawczyni tego uroku, musi sama być największym tej okolicy urokiem – i oto wspinamy się na jej szczyt i doznajemy zawodu. Nagle ona sama i cały krajobraz wkoło nas, pod nami, zostały jakby odczarowane. Zapomnieliśmy, że niejedna wielkość, jak niejedna dobroć, chcą z pewnej być tylko widziane oddali i bezwzględnie z dołu, nie z góry – tylko w ten sposób wywierają wrażenie. Może znasz ludzi w swym otoczeniu, którzy na samych siebie z pewnej tylko

spoglądać mogą odległości, żeby uważać siebie w ogóle za znośnych lub pociągających, lub pokrzepiających; takim ludziom nie należy radzić: poznaj siebie samego.

16.

Przez kładkę. – W obcowaniu z osobami, które wstydlive są względem swych uczuć, trzeba umieć się taić; uczuwają one nagłą nienawiść ku temu, kto ich na jakimś tkliwym lub marzycielskim, lub wysokim chwycił uczuciu, jak gdyby widział ich tajemnice. Jeśli się chce im przysłużyć w takich chwilach, to najlepiej pobudzić ich do śmiechu lub powiedzieć jakąś zimną żartobliwą złośliwość – uczucie ich zamarznie przy tym i znowu odzyskują panowanie nad sobą. Lecz podaję morał powieści. – Byliśmy w życiu raz siebie tak bliscy, że nic nie zdawało się już przeszkadzać naszej przyjaźni i braterstwu i tylko jeszcze mała dzieliła nas kładka. Właśnie gdy chciałeś wejść na nią, spytałem cię: "chcesz przyjść do mnie przez kładkę?" – ale ty już nie chciałeś; a gdy raz jeszcze spytałem, milczałeś. Odtąd padły pomiędzy nas góry i rwące potoki, i co tylko dzieli i obcym czyni; a choćbyśmy nawet chcieli ku sobie, nie możemy już! Jeśli jednak teraz wspomnisz ową małą kładkę, nie masz już słów – jeno łkanie i zdziwienie.

17.

Motywowanie swego ubóstwa. – Nie można oczywiście żadną sztuką z biednej cnoty uczynić bogatej, przelewnej, lecz niewątpliwie możemy jej ubóstwo wytłumaczyć pięknie jako konieczność, żeby nas nie bolało i żebyśmy nie musieli z tego powodu zwracać twarzy do *fatum* z wyrzutem. Tak czyni mądry ogrodnik, który biedną stróżkę swego ogrodu kładzie w ramiona nimfie źródlanej i tak motywuje ubóstwo – a komu takich nimf nie potrzeba?

18.

Duma starożytna. – Brak nam starożytnego zabarwienia dostojności, ponieważ uczuciu naszemu brak starożytnego niewolnika. Grek szlchetnego pochodzenia znajdował między wyżyną swoją a ową niskością ostateczną tak olbrzymie stopnie pośrednie i taką dal, że ledwie ledwie mógł jeszcze dokładnie dojrzeć niewolnika: nawet Plato już go nie widział całego. Co innego my, przywykli do nauki o równości ludzi, acz nie do równości samej. Istota, która sama sobą rozporządzać nie może i której brak wczasu, nie wydaje się wcale jeszcze oku naszemu czymś godnym pogardy: może zbyt wiele takiej niewolniczości tkwi w każdym z nas, stosownie do warunków naszego społecznego porządku i działalności, które zasadniczo inne są niż u starożytnych. – Filozof grecki szedł przez życie z tajemnym uczuciem, że jest daleko więcej niewolników niż się mniema – mianowicie, że niewolnikiem jest każdy, kto nie jest filozofem; дума jego wzbierała, gdy rozważał, że i najpotężniejsi tego świata znajdują się wśród tych jego niewolników. Także ta дума jest nam obca i dla nas niemożliwa, ani nawet w przenośni nie brzmi nam słowo "niewolnik" całą pełnią.

19.

Złoto. – Zbadajcie życie najlepszych i najpłodniejszych ludzi i ludów i spytajcie się, czy drzewo, mające dumnie wzwyż rosnąć, mogłoby się obejść bez niepogód i burz: czy wrogość i opór z zewnątrz, czy wszelka nienawiść, zazdrość, samolubstwo, nieufność, srogość, zachłanność i gwałtowność do sprzyjających nie należą warunków, bez których nawet wielki wzrost cnoty jest niemożliwy? Trucizna, od której słabsza niszczy natura, jest dla mocnego wzmocnieniem – on też jej nie zwie trucizną.

20.

Godność szaleństwa. – Kilka tysięcy dalej po koleinach ostatniego wieku! – a we wszystkim, co człowiek czyni, ujawni się rozum najwyższy: lecz właśnie przez to straci rozum wszelką swą godność. Stanie się wprawdzie wówczas rzeczą konieczną być rozumnym, lecz też rzeczą tak zwyczajną i pospolitą, że smak szlachetniejszy odczuwać będzie tę konieczność jako pospolitość. I tak samo, jak tyrania prawdy i wiedzy byłaby zdolna kłamstwo wysoko wynieść w cenie, tak też tyrania rozumu mogłaby wywołać nowy rodzaj szlachectwa umysłu. Być szlachetnym znaczyłoby wtedy może: być szaloną głową.

21.

Do nauczycieli bezosobistości. – Zwie się cnoty człowieka dobrymi, nie ze względu na skutki, które one mają dla niego samego, lecz ze względu na skutki, które, jak przypuszczamy, mieć będą dla nas i społeczeństwa – było się z dawien dawna w pochwałę cnot bardzo mało "bezosobistym", bardzo mało "nieegoistycznym"! Bo zresztą musiało się widzieć, że cnoty (jak pilność, posłuszeństwo, czystość, pobożność, sprawiedliwość) były dla ich posiadaczy przeważnie szkodliwe, jako popędy, które zbyt gwałtownie i pożądliwie w nich władną i nie pozwalają wcale rozumowi równoważyć się z innymi popędami. Jeśli masz jakąś cnotę, prawdziwą, całą cnotę (a nie tylko popędzik ku jakiejś cnotcie!) – to jesteś jej ofiarą! Lecz sąsiad twój chwali właśnie dlatego twą cnotę! Chwali się pilnego, acz przez swoją pilność pozbawia swe oczy siły widzenia, ducha swego oryginalności i świeżości; cześci się i żałuje młodzieńca, który "zapracował się na śmierć", ponieważ się sądzi: "Dla całości społeczeństwa jest strata nawet najlepszej jednostki małą tylko ofiarą! Żle, że ofiara jest potrzebna! O wiele by gorzej było oczywiście, gdyby jednostka myśleć miała inaczej i utrzymanie swoje i rozwój uważała za ważniejsze niż pracę swą w służbie społeczności!". Żałuje się więc tego młodzieńca, nie gwoli niemu samemu, lecz dlatego, że przez tę śmierć społeczność straciła powolne i względem samego siebie bezlitosne narzędzie – tak zwanego "dzielnego człowieka". Może zważy się jeszcze, czy nie byłoby pożyteczniejszym dla interesu społeczności, gdyby był pracował z mniejszą względem siebie srogością i dłużej się utrzymał – przyznaje się nawet pewną z tego korzyść, uznaje się atoli za wyższą i trwalszą tamtą drugą korzyść, że złożono ofiarę i że jeszcze raz potwierdził się naocznie sposób myślenia ofiarnego zwierzęcia. Raz więc, chwając cnoty, chwali się w cnotach naturę narzędzia, a potem ślepy, władający w każdej cnotcie popęd, który nie daje się w szrankach utrzymać ogólną korzyścią indywidualum, słowem: nierozum w cnotcie, którego mocą jednostka daje się przemienić w funkcję całości. Pochwała cnoty jest pochwałą czegoś prywatnie szkodliwego – pochwałą popędów, które odbierają człowiekowi jego

najszlachetniejszy egoizm i moc najwyższej pieczy nad sobą samym. – Oczywiście: dla wychowania i wcielania cnotliwych nawyków wymiata się cały szereg skutków cnoty, ukazujących cnotę i korzyść prywatną w świetle siostrzeństwa – i w rzeczy samej takie siostrzeństwo istnieje! Ślepą, wściekłą pilność na przykład, tę typową cnotę narzędzia, przedstawia się jako drogę do bogactwa i czci i jako najbardziej leczącą truciznę przeciw nudzie i namiętnościom: lecz przemilcza się jej niebezpieczeństwo, jej najwyższą niebezpieczność. Wychowanie postępuje powszechnie w ten sposób: stara się przez szereg ponę i korzyści nakłonić jednostkę do pewnego sposobu myślenia i działania, który stawszy się nawykiem, popędem i namiętnością, osiąga władzę w niej i nad nią wbrew jej ostatecznej korzyści, lecz ku "ogólnemu dobru". Jakże często widzę, że ślepa, wściekła pilność stwarza wprawdzie bogactwa i cześć, lecz równocześnie odbiera subtelność, z której pomocą używać można rozkoszy bogactwa i zaszczytów, jak też, że ów główny środek przeciw nudzie i namiętnościom przytępia zarazem zmysły i czyni ducha opornym względem nowych podniet. (Najpilniejsze ze wszystkich stuleci – nasze stulecie – nie umie nic zrobić ze swej wielkiej pilności i wielkich pieniędzy, tylko coraz więcej pieniędzy i coraz więcej pilności: potrzeba właśnie więcej geniuszu do wydawania niż do zarabiania! – Lecz będziemy mieli "wnuków"!)

Jeśli wychowanie się uda, to każda cnota jednostki jest publicznym pożytkiem i prywatnym uszczerbkiem w znaczeniu najwyższego prywatnego celu – prawdopodobnie jakimś duchowo zmysłowym zmarnieniem lub nawet przedwczesnym zniszczeniem. Rozważcie po kolei, z tego punktu widzenia, cnotę posłuszeństwa, czystości, pobożności, sprawiedliwości. Pochwała człowieka bezosobistego, ofiarnego, cnotliwego – więc nieużywającego całej swej siły i rozumu na swoje utrzymanie, rozwój, podniesienie, popieranie, rozszerzenie w mocy, lecz co do siebie żyjącego skromnie i bezmyślnie, może nawet obojętnie lub ironicznie – pochwała ta nie wytrysnęła z pewnością z ducha bezosobistości! "Bliźni" pochwała bezosobistość, ponieważ ciągnie z niej korzyści! Gdyby bliźni sam myślał "bezosobiście", to by odtrącił każdy dla siebie korzystny uszczerbek siły i uszkodzenie, przeciwdziałałby powstawaniu takich skłonności, a przede wszystkim dowiódłby tym właśnie swej bezosobistości, że nie nazwałby jej dobrą! – Oto zaznaczona zasadnicza sprzeczność owej moralności, która właśnie teraz czci wielkiej zażywa: motywy tej moralności są sprzeczne z jej zasadą! Moralność ta zbija swoim kryterium moralnym to, czym się chce uzasadnić! Zdanie "powinieneś zaprzeczyć się samego siebie i złożyć siebie w ofierze", aby nie występowało przeciw własnemu moralowi, powinno być wyrzeczone przez istotę, która tym samym wyrzekła się swojej własnej korzyści i może żądaniem samoofiary jednostek własną swą sprowadziła zgubę. Skoro jednak bliźni (lub społeczeństwo) zaleca altruizm z powodu pożytku, to wchodzi w użycie właśnie zdanie przeciwne "powinieneś szukać korzyści, nawet ze szkodą wszystkiego innego", głosi się więc jednym tchem "powinieneś" i "nie powinieneś"!

## 22.

*L'ordre du jour pour le roi.* [królewski porządek dnia] – Dzień się zaczyna: zacznijmy układać na dzień dzisiejszy sprawy i zabawy naszego najmiłościwszego Pana, który teraz jeszcze spoczywać raczy. Jego Majestat ma dziś brzydką pogodę: będziemy się wystrzegali nazywać ją brzydką; nie będzie się o pogodzie mówiło – za to będziemy sprawy dzisiejsze traktować nieco uroczyściej, a zabawy nieco świąteczniej niżby należało. Jego Majestat będzie może nawet cierpiący: przy śniadaniu zaprezentujemy ostatnią miłą nowinę z wieczora, przybycie pana de Montaigne, który tak zabawnie ze swej choroby żartować umie – cierpi na kamienie. Przyjmiemy kilka osób (osób! – co by powiedziała owa stara nadęta żaba,

która między nimi będzie, gdyby słyszała te słowa! "Nie jestem żadną osobą, rzekłaby, tylko zawsze samą rzeczą".) – a przyjęcie trwać będzie dłużej, niż to komu bądź przyjemne: dostateczny powód, by opowiedzieć o owym poecie, który na drzwiach swych napisał: "kto tu wejdzie, wyrządzi mi zaszczyt; kto nie wejdzie – przyjemność". Oto zaiste, co się zwie, niegrzeczność w grzeczny powiadzić sposób! A może poeta ten ma zupełną co do siebie słuszność, że jest niegrzeczny: mówią, że wiersze jego są lepsze niż wierszopis! Niechże ich więc jeszcze stworzy wiele i niech możliwie najwięcej odsuwa się od świata: a to jest właśnie myślą jego grzecznej niegrzeczności. Przeciwnie, księżę zawsze jest więcej wart niż jego "wiersz", nawet gdy – lecz cóż to czynimy? Gawędzimy, a cały dwór mniema, że pracujemy już i łamiemy sobie głowę: nigdzie nie widać wcześniej światła niż w naszym oknie. – Słuchaj! Czy to nie dzwon? Do diabła! Zaczyna się dzień i taniec, a my jeszcze nie umiemy jego turów! Musimy improwizować – cały świat improwizuje swój dzień. Uczynmy dziś raz jak cały świat! – Tu rozwiął się mój przedziwny sen poranny, prawdopodobnie skutkiem silnych uderzeń zegara na wieży, który właśnie z całą zwykłą sobie powagą obwieszczał piątą godzinę. Zdaje mi się, że tym razem bóg snów zakpić chciał sobie z moich nawyknień – jest mym zwyczajem zaczynać dzień w ten sposób, że przyrządzam go dla siebie i czynię znośnym, i być może, że czyniłem to często zbyt formalnie i po książęcemu.

## 23.

Oznaki zepsucia. – Zauważcie w koniecznych co pewien czas stanach społeczności, które określa się słowem "zepsucie", następujące oznaki. Skoro zaczyna się gdzie zepsucie, bierze przewagę pstry zabobon, a dotychczasowa powszechna wiara ludu staje wobec niego błada i bezsilna: zabobon jest bowiem wolnomyślnością niższego rodzaju – kto się jej oddaje, wybiera pewne obiecujące dla siebie formy i formuły i pozwala sobie na prawo wyboru. Zabobonny, w porównaniu z religijnym, jest zawsze o wiele bardziej osobą, a społecznością zabobonną będzie ta, w której istnieje już wiele indywidualów i upodobanie w rzeczach indywidualnych. Z tego stanowiska widziany wydaje się zabobon zawsze postępek w stosunku do wiary i oznaką, że intelekt stał się niezależniejszy i swego domaga się prawa. Na zepsucie skarżą się wówczas czciciele starych religii i religijności – oni też ustanawiali dotąd sposób mówienia i stworzyli zabobonowi nawet u najwolniejszych duchów złą sławę. Nauczmy się, że jest on symptomem oświecenia. Po wtóre oskarża się społeczność, w której zagnieździ się zepsucie, o zgnuśnienie: jawnie zmniejsza się w niej szacunek dla wojny i zapał wojenny, a wygody życia stają się takim samym gorących dążeń celem, jak niegdyś wojenne i gimnastyczne zaszczyty. Lecz zwykło się przeoczać, że owa dawna energia ludowa i ludowy zapał, które w walce i igrzyskach objawiały się naocznie w sposób świetny, przeobraziły się teraz w niezliczone namiętności prywatne i stał się jeno mniej widoczne. Prawdopodobnie w stanach zepsucia jest moc i potęga zużywanej wówczas energii jakiegoś ludu większa niż kiedykolwiek, a indywidualum roztrwania je tak, jak niegdyś nie mogło – nie było jeszcze wtedy dość na to bogate! Takie to właśnie są czasy "zgnuśnienia", w których tragedia po domach i ulicach biega, gdzie rodzi się wielka miłość i wielka nienawiść, a płomień poznania jasno strzela w niebo. – Po trzecie, zwykło się, niejako w nagrodę za naganę zabobonu i zgnuśnienia, głosić o takich czasach zepsucia, że są łagodniejsze i że wówczas okrucieństwo w porównaniu z dawniejszymi, bardziej zwierzęcymi i silniejszymi czasami, o wiele się zmniejsza. Ale i na tę pochwałę nie mogę się pisać, równie jak na ową naganę. Przyznaję tylko tyle, że okrucieństwo wówczas wymyślniejsze się staje, i że odtąd dawniejsze jego formy rażą smak; lecz ranienie i dręczenie słowem i spojrzeniem dosięga w czasach zepsucia najwyższego rozwoju – wtedy dopiero wytwarza się złośliwość i uciecha ze

złośliwości. Ludzie z czasów zepsucia są dowcipni i potwarczy; wiedzą, że istnieją inne jeszcze rodzaje mordy, nie tylko sztylet i napad – wiedzą też, że wszystko, co jest dobrze powiedziane, znajdzie wiarę. – Po czwarte: gdy "upadają obyczaje", wynurzają się najpierw owe istoty, które się zwie tyranami: są to poprzednicy, a zarazem wcześniej dojrzałe pierwociny indywiduów. Jeszcze krótka chwila: a ten owoc owoców wisieć będzie dojrzały i żółty na drzewie ludu – a tylko gwoli tym owocom istniało to drzewo! Gdy upadek jest najgłębszy i szczyt osiąga walka wszelkiego rodzaju tyranów, to zawsze zjawia się wtedy Cezar, tyran ostateczny, który kres kładzie znużonym o jedynowładztwo zapasom, każąc znużeniu pracować dla siebie. Za jego czasów jest indywiduum zwykle najdojrzałe, a przeto "kultura" najwyższa i najpłodniejsza – lecz nie gwoli niemu i nie przez niego, aczkolwiek najwyżsi ludzie kultury lubią tym schlebiać swemu Cesarowi, że za jego podają się dzieło. Prawdą jednak jest to, że potrzebują z zewnątrz spokoju, bo mają w sobie niepokój i pracę. W czasach tych przekupstwo i zdrada krzewią się najbujniej: bo miłość ku temu dopiero co odkrytemu *ego* jest teraz daleko silniejsza niż miłość starej, zużytej, na śmierć zagadanej "ojczyzny"; a potrzeba zabezpieczenia się w jaki bądź sposób przeciw straszliwej chwiejności szczęścia otwiera i szlachetniejsze ręce, gdy jakiś potężny mocarz okaże gotowość nasypiania w nie złota. Tak niepewna teraz przyszłość: więc żyje się dla dzisiaj: stan duszy, wobec którego wszyscy uwodziciele mają grę łatwą – człowiek bowiem daje się też uwieść i przekupić tylko "na dzisiaj" i zastrzega sobie przyszłość i cnotę! Indywidua, te prawdziwe rzeczy w sobie i dla siebie, troszczą się, jak wiadomo, więcej o chwilę obecną niż ich przeciwieństwa, ludzie stadni, ponieważ uważają same siebie za nieobliczalne, podobnie jak przyszłość; tak samo trzymają się chętnie gwałtowników, ponieważ czują się zdolne do czynów i postępów, które nie mogą liczyć u tłumu ani na zrozumienie, ani na łaskę. Lecz tyran czy Cezar rozumie prawo indywiduum także w jego wykroczeniach i ma interes w tym, by przemówić za śmielszą moralnością prywatną, a nawet ręki jej użyć. Bo myśli on o sobie i chce, by o nim myślano to, co Napoleon raz swym klasycznym wyrzekł sposobem: "Mam prawo odpowiadać na wszystko, o co mnie oskarżają, wiecznym: to jestem ja! Stoję na boku od całego świata, nie przyjmuję od nikogo warunków. Chcę, by się także moim poddawano fantazjom i uważano to za zupełnie proste, jeśli oddaję się tym lub innym rozrywkom" [*Mémoires de Madame Rémusat*, tom I, str. 114-115, wyd. 1880 (przyp. tłum.)]. Tak rzekł raz Napoleon do swojej żony, gdy ta miała powody małżeńską wierność męża swego podawać w wątpliwość. – Czasy zepsucia to te, w których jabłka spadają z drzewa: mam na myśli indywidua, nasiona przyszłości, sprawców duchowej kolonizacji i stwarzania nowych związków państwowych i społecznych. Zepsuciem zwą obelżywie czasy jesieni pewnego ludu.

## 24.

Rozmaite niezadowolenie. – Słabi i niejako kobiecy niezadowolenicy są wynalazczy w upiększaniu i pogłębianiu życia; silni niezadowolenicy – osoby męskie wśród nich, by trzymać się porównania – w polepszaniu i upewnianiu życia. Pierwsi okazują tym swoją słabość i kobiecość, że dają się chętnie czasowo łudzić i zadowolają się już odrobiną oszołomienia i marzycielstwa, lecz na ogół nie dadzą się nigdy zadowolić i cierpią z powodu nieuleczalności swego niezadowolenia; ponadto popierają wszystkich, umiających stwarzać makowcowe i narkotyczne pociechy, i dlatego właśnie czują urazę do tych, którzy wyżej cenią lekarza niż kapłana – przez to podtrzymują dalsze trwanie rzeczywistych niedomagań! Gdyby od czasów średniowiecza nie istniał w Europie taki nadmiar niezadowolonych tego rodzaju, to by nie była może powstała ta sławiona europejska zdolność do ustawicznej przemiany: bo uroszczenia silnych niezadowoleńców są za grube, a w

gruncie rzeczy zbyt skromne, by raz wreszcie uspokoić się dały. Chiny na przykład są krajem, gdzie niezadowolenie w ogóle i zdolność do przemiany wymarły od wielu stuleci; a socjaliści i państwowi bałwochwalczy Europy mogliby łatwo swoimi środkami polepszania i upewniania życia doprowadzić także w Europie do chińskiego stanu rzeczy i chińskiego szczęścia, przypuszczając, żeby mogli tu wpierw wytepić owo chorobliwsze, węższe, bardziej kobiece, na razie nadmierne jeszcze niezadowolenie i romantykę. Europa jest chorym, który winien najwyższą wdzięczność swej nieuleczalności i wiecznej przemianie swego cierpienia: te ustawiczne nowe położenia, tak samo te ustawiczne nowe niebezpieczeństwa, cierpienia i środki ratunkowe wytworzyły w końcu intelektualną drażliwość, która znaczy prawie tyle, co geniusz, a w każdym razie jest matką wszelkiego geniuszu.

25.

Niepowołani do poznawania. – Istnieje wcale nierzadka niedołączna pokora, którą obciążony człowiek jest raz na zawsze niezdatny na ucznia poznania. Gdy człowiek tego rodzaju spostrzeże coś uderzającego, odwraca się niejako na pięcie i mówi sobie: "Łudziłeś się! Gdzież były twoje zmysły? To nie może być prawda!" – i wtedy, zamiast bystrzej patrzeć i słuchać, przestraszony ucieka tej uderzającej rzeczy z drogi i stara się możliwie najszybciej wybić ją sobie z głowy. Jego wewnętrzny kanon bowiem brzmi: "Nie chcę nic widzieć, co sprzeciwia się zwyczajnemu o rzeczach mniemaniu! Czyż ja jestem stworzony na to, by nowe prawdy odkrywać? Jest już starych za wiele".

26.

Co zwie się życiem? – Życ – to znaczy: ustawicznie coś od siebie odtrącać, co chce umrzeć; żyć – znaczy: być okrutnym i nieubłaganym dla wszystkiego, co w nas słabnie i starzeje się, i nie tylko w nas; żyć – znaczy więc: być bezmiłosiernym dla umierających, nędzarzy i starców? Ciągłe być mordercą? – A przecie stary Mojżesz rzekł: "Nie zabijaj!".

27.

Ten, który się wyrzeka. – Co czyni ten, który się wyrzeka? Dąży do wyższego świata, pragnie lecieć szerzej, dalej i wyżej niż wszyscy ludzie potwierdzający – odrzuca precz wiele rzeczy, które by lot jego obciążać mogły, a wśród tego niejedno, co nie jest dlań bezwartościowe i niemiłe; składa to w ofierze swej żądzy wyżyn. To poświęcenie, to odrzucanie jest więc właśnie tym, co jedynie w nim dostrzec się daje: wedle tego darzy się go mianem wyrzekającego się, i jako taki stoi on przed nami, ukryty w swym kapturze i niby dusza włosiennicy. Jest jednak zadowolony tym wrażeniem, które na nas czyni: chce ukryć przed nami swą żądzę, swą dumę, swój zamysł, by ponad nas wylecieć. – Tak! Jest on mędrszy, niż myśleliśmy i tak względem nas dworny – ten potwierdzający! Gdyż jest on nim tak, jak my, nawet kiedy się wyrzeka.

28.

Szkodzenie tym, co się ma najlepszego. – Nasze siły doprowadzają nas teraz tak daleko, że nie możemy wytrzymać dłużej swych słabości i giniemy od nich: widzimy też z góry to zakończenie, a mimo to nie chcemy, by było inaczej. Wtedy stajemy się twardzi względem tego, co w nas oszczędzone być pragnie, a nasza wielkość jest także naszym bezmiłosierdziem. – Takie wydarzenie przeżyte, które w końcu życiem przypłacić musimy, jest symbolem całego działania wielkich ludzi na innych i na swój czas – właśnie tym, co w nich najlepszego, tym, co tylko oni mogą, gubią wielu słabych, niepewnych, stających się, chcących i są przez to szkodliwi. Może się nawet zdarzyć wypadek, że mogą oni, biorąc ogółem, tylko szkodzić, ponieważ to, co w nich najlepsze, tacy jedynie przyjmują i chłoną, którzy od tego, jak od zbyt silnych trunków, tracą rozum i myśl o sobie: oszałamiają się tak, że muszą połamać swe członki na wszystkich tych manowcach, dokąd ich gna oszołomienie.

29.

Ci, którzy dokłamują. – Kiedy we Francji poczęto zwalczać, a przeto i bronić, jedności Arystotelesowych, okazało się znów, co tak często się okazuje, a co tak niechętnie spostrzegamy – zmyślano sobie powody, dla których prawa owe powinny być zachowane, jedynie dlatego, aby nie przyznać się, że przyzwyczajono się do panowania tych praw i nie chce się, aby było inaczej. Tak też czyni się w obrębie każdej panującej moralności i religii i czyniono tak z dawien dawna: powody i cele deklamuje się zawsze dla poparcia jakiegoś zwyczaju dopiero wtedy, gdy niektórzy zaczną go zaprzeczać i pytać o powody i cele. Na tym polega wielka nieuczciwość zachowawców wszelkich czasów – są to dokłamywacze.

30.

Komedia sławnych. – Sławni mężowie, którym sława jest niezbędna, jak na przykład wszyscy politycy, nie wybierają sobie nigdy stronników i przyjaciół bez myśli ubocznej: ten jest im potrzebny z powodu blasku i promieniowania swojej cnoty; od owego chcieliby wziąć coś z powszechnie przyznawanych mu pewnych niebezpiecznych własności wzbudzających grozę; innemu kradną sławę jego bezczynności, jego wylegiwania się na słońcu, ponieważ sprzyja ich własnym celom, uchodzić na razie za niebacznym i leniwym – osłania to ich, gdy na kogoś czyhają. To fantasty, to znów znawcy, to dłubacza, to pedanta potrzebują mieć przy sobie jako swego *alter ego*, lecz tak samo prędko staje się on dla nich zbyteczny. W ten sposób obumierają ustawicznie ich otoczenia i kadry zewnętrzne, chociaż wszystko zdaje się tłoczyć do ich otoczenia i chce stanowić ich "charakter": podobni są z tego do wielkich miast. Sława ich przeistacza się ustawicznie, jak ich charakter, ponieważ ich zmieniające się środki wymagają tej zmiany i wysuwają na czoło to tę, to ową rzeczywistość lub zmyśloną zaletę i wypychają na scenę: przyjaciele ich i stronnicy należą, jak się rzekło, do tych zalet scenicznych. Natomiast to, czego chcą, musi pozostać i trwać tym silniej, tym spżowiej i daleko świetniej, a i to wymaga czasami stosownej komedii i stosownej gry scenicznej.

## 31.

Handel i szlachectwo. – Kupno i sprzedaż uchodzi teraz za rzecz tak pospolitą, jak sztuka czytania i pisanie; każdy jest w tym teraz wyćwiczony, nawet jeśli nie jest kupcem, i ćwiczy się jeszcze co dzień w tej technice: zupełnie tak, jak niegdyś, w dzikszym okresie ludzkości, każdy był myśliwym i ćwiczył się co dzień w technice łowów. Wtedy były łowy rzeczą pospolitą. Lecz jak one wreszcie stały się przywilejem możnych i dostojnych i przez to straciły cechę codzienności i pospolitości – bo przestały być rzeczą konieczną i stały się przedmiotem zachcianki i zbytku – tak mogłoby się stać kiedyś z kupnem i sprzedażą. Można wyobrazić sobie stany społeczności, która nie zna kupna, ani sprzedaży, i w której konieczność tej techniki coraz bardziej znika. Być może, że wówczas poszczególne jednostki, które mniej podległe są prawu powszechnego stanu rzeczy, pozwalają sobie będą na kupno i sprzedaż, jako na zbytek odczuwania. Wówczas dopiero nabrałby handel dostojności, a szlachta zajmowałaby się wtedy może równie chętnie handlem, jak dotychczas wojną i polityką: gdy tymczasem przeciwnie szacunek dla polityki zmieniłby się może wówczas zupełnie. Już teraz przestaje być ona rzemiosłem szlacheckim: i możliwe, iż uznano by ją pewnego dnia za tak pospolitą, żeby ją zaliczono, podobnie jak wszelką literaturę partyjną i codzienną, do rubryki "prostytucji duchowej".

## 32.

Niepożądani uczniowie. – Cóż mam z tymi dwoma począć młodzieńcami! – zawołał niechętnie pewien filozof, który "psuł" młodzież, jak ją niegdyś psuł Sokrates – niemili są mi ci uczniowie. Ten nie może na nic powiedzieć "Nie", a tamten mówi na wszystko: "Przez pół". Jeżeli przypuścimy, żeby pojęli moją naukę, to pierwszy cierpiałyby za wiele, bo mój sposób myślenia wymaga duszy wojowniczej, chęci sprawiania bólu, rozkoszy z zaprzeczania, twardej skóry – schlerlałyby z ran otwartych i wewnętrznych. A drugi każdą rzecz, której jest rzecznikiem, przykroi sobie pośrednią miarą i uczyni z niej w ten sposób średnią miernotę – takiego ucznia życzę wrogowi swemu!

## 33.

Poza obrębem wykładowej sali. – "Aby Wam dowieść, że człowiek w gruncie do dobrotliwych należy zwierząt, pragnąłbym Wam przypomnieć, jak długi czas był łatwowierny. Teraz dopiero, dość późno i po niezmiernych przewyciężeniach siebie, stał się zwierzęciem nieufnym – tak! – człowiek jest teraz gorszy niż kiedykolwiek". – Nie rozumiem tego: dlaczego człowiek miałby być teraz nieufniejszy i gorszy? – "Bo ma teraz wiedzę – i potrzebuje jej!"

## 34.

*Historia abscondita.* [historia tajemna, ukryta] – Każdy wielki człowiek posiada wstecz oddziaływującą moc: cała historia staje znowu gwoli niemu na wadze, a tysiąc tajemnic przeszłości wypełza ze swych kryjówek – na jego słońce. Nie można powiedzieć,

co też jeszcze stanie się historią. Przeszłość pozostaje może ciągle jeszcze dotąd w istocie swej nieodkryta! Trzeba bo jeszcze tyle sił wstecz działających!

35.

Kacerstwo i czarownictwo. – Myśleć inaczej, niż każe zwyczaj, jest o wiele mniej skutkiem lepszego intelektu, niż skutkiem silnych złych skłonności, wyzwających, wyosobniających, krnąbrnych, radośnie szkodniczych, skrycie złośliwych skłonności. Kacerstwo jest jedną stroną czarownictwa i niewątpliwie równie mało, jak ono, czymś niewinnym, a nawet w sobie czcigodnym. Kacerze i czarownice to dwa rodzaje złych ludzi: wspólne jest im to, że się też złymi czują, lecz mimo to niepokonaną znajdują rozkosz w szkodzeniu temu, co panuje (ludziom lub mniemaniom). Reformacja, pewien rodzaj zdwojenia średniowiecznego ducha w czasie, gdy ten nie posiadał już w sobie czystego sumienia, wydała oboje w największej pełni.

36.

Ostatnie słowa. – Przypomnijmy sobie, że cesarz August, ów straszliwy człowiek, który tak samo panował nad sobą i tak samo milczeć umiał, jak drugi Sokrates, zdradził się niedyskretnie ostatnimi słowami: po raz pierwszy pozwolił opaść swej masce, dając do zrozumienia, że nosił maskę i grał komedię, odgrywał ojca ojczyzny i mądrość na tronie, aż do złudzenia! *Plaudite amici, comoedia finita est!* [bijcie brawo, przyjaciele, komedia skończona!] – Myśl umierającego Nerona: *qualis artifex pereo!* była też myślą umierającego Augusta: próżność histrionów! Gadulstwo histrionów! I właśnie przeciwieństwo umierającego Sokratesa! – Lecz Tyberiusz [(42 p.n.e.-37 n.e.) – cesarz rzymski, inicjator procesów o obrazę majestatu, szczególnie dbał o utrzymanie pokoju i porządku w państwie] zmarł milcząc, ten najbardziej udręczony z wszystkich samodręczycieli – ten był rzetelny i wcale nie aktor! Co mu też w ostatniej chwili musiało przechodzić przez głowę! Może to: "Życie jest długim zgonem! Ja, głupiec, tylu ludziom życie skróciłem! Czyż ja byłem stworzony na dobroczyńcę? Winienem był dać im życie wieczne: wtedy bym mógł być ich widzieć w wiecznym konaniu. Ku temu miałem przecie tak dobre oczy: *qualis spectator pereo!* [jaki widz (znawca) ginie w mojej osobie!]" . Kiedy po długiej walce ze śmiercią zdawał się znowu do sił wracać, uważano za stosowne udusić go poduszkami – umarł podwójną śmiercią.

37.

Dzięki trzem błędom. – W ostatnich wiekach posuwano naprzód naukę, w części dlatego, że spodziewano się w niej i przez nią zrozumieć najlepiej dobroć i mądrość Boga – główny motyw w duszy wielkich Anglików (na przykład Newton) – w części dlatego, że wierzono w bezwzględną pożyteczność poznania, mianowicie w najściślejszy związek moralności, wiedzy i szczęścia – główny motyw w duszy wielkich Francuzów (na przykład Voltaire) – w części dlatego, że w mniemaniu swym posiadano i kochano w nauce coś bezosobistego, coś błogiego, wystarczającego samemu sobie, coś prawdziwie niewinnego, w

czym złe popędy człowiek w ogóle nie uczestniczą – główny motyw w duszy Spinozy, który jako poznający czuł się boskim – więc dzięki trzem błędom!

38.

Wybuchowi. – Jeśli się zważy, jak spragniona wybuchu jest siła młodych mężczyzn, to nie zdziwi nas, że tak niewymyślnie i tak niewybrednie decydują się na tę lub ową rzecz: co ich nęci, to widok zapachu dla jakiejś rzeczy i niby widok płonącego lontu – nie rzecz sama. Przemysłniejsi uwodziciele znają się przeto na tym, ukazują im w perspektywie wybuch i pomijają uzasadnienie swej sprawy: uzasadnieniami nie pozyskuje się tych beczek prochu!

39.

Zmieniony smak. – Zmiana powszechnego smaku ważniejsza jest niż zmiana mniemań. Mniemania z wszystkimi dowodami, zarzutami i całą intelektualną maskaradą są tylko symptomatami zmienionego smaku i najpewniej właśnie nie tym, za co się je tak często jeszcze uważa, to jest jego przyczynami. Jak zmienia się smak powszechny? Tak, że jednostki można i wpływowe bez względu wypowiedają i po tyrańsku przeprowadzają swoje *hoc est ridiculum, hoc est absurdum* [to jest śmieszne, to jest niedorzeczne], więc sąd swego smaku i wstrętu. Narzucają przez to wielu ludziom przymus, który powoli staje się przyzwyczajeniem jeszcze większej liczby ludzi, a wreszcie potrzebą wszystkich. Że jednak te jednostki inaczej odczuwają i "smakują", zależy to zazwyczaj od pewnej osobliwości ich sposobu życia, pożywienia, trawienia, może od pewnego *plus* lub *minus* soli nieorganicznych w ich krwi i mózgu, słowem od *physis*. Mają jednak odwagę przyznawać się do swej *physis* i udzielać posłuchu jej wymogom nawet w ich najdelikatniejszych tonach. Ich estetyczne i moralne oceny są takimi najdelikatniejszymi tonami *physis*.

40.

O braku dostojnej formy. – Stosunek między żołnierzami i dowódcami nosi zawsze jeszcze cechy wyższe niż stosunek między robotnikami i pracodawcami. Tymczasem przynajmniej wszelka na wojskowych podstawach zbudowana kultura stoi jeszcze wysoko ponad wszelką tak zwaną kulturą przemysłową. Ta ostatnia w swym teraźniejszym kształcie jest w ogóle najbardziej prostacką formą istnienia, jaka dotąd istniała. Działa tu po prostu prawo nędzy: jeżeli chce się żyć, to trzeba się sprzedać, lecz gardzi się tym, który tę potrzebę wyzyskuje i kupuje sobie robotnika. Jest rzeczą ciekawą, że poddanie się możliwym, lęk wzbudzającym, nawet strasznym osobom, tyranom i wodzom, odczuwa się daleko mniej boleśnie niż to poddanie się nieznanym i niezajmującym osobom, jakimi są wszystkie wielkości przemysłowe. Robotnik widzi zwykle w pracodawcy tylko chytrego, wysysającego, spekulującego na wszelkiej nędzy psa, którego imię, postać, obyczaj, opinia są mu zupełnie obojętne. Fabrykantom i wielkim przedsiębiorcom handlowym brakło dotąd prawdopodobnie nazbyt wszelkich owych form i odznak wyższej rasy, które dopiero czynią osoby zajmującymi; gdyby posiadali dostojność rodowej szlachty w spojrzeniu i ruchu, to by może nie istniał wcale socjalizm masowy. Masy bowiem są w gruncie rzeczy zdecydowane na

niewolnictwo wszelkiego rodzaju, pod warunkiem, aby ten wyższy nad nimi ustawicznie wykazywał swe prawo jako wyższy, jako urodzony do rozkazywania – przez dostojną formę. Najpospolitszy człowiek czuje, że dostojność nie da się zaimprovizować i że winien w niej czcić owoc długich okresów – lecz brak wyższych form i osławiona wulgarność fabrykancka z czerwonymi, spastymi łapami naprowadzają go na myśl, że tylko przypadek i szczęście wyniosły jednego ponad drugiego: nuże więc, tak wnioskuje w sobie, spróbujmy i my raz przypadku i szczęścia! Rzućmy i my raz kości! – I rodzi się socjalizm.

41.

Przeciw żalowi. – Myśliciel widzi w swych własnych czynnościach doświadczenia i pytania, celem otrzymania wyjaśnienia jakiejś rzeczy. Powodzenie i niepowodzenie są dlań przede wszystkim odpowiedziami. Lecz gniew dlatego, że coś się nie udało lub nawet uczucie żalu – to pozostawia tym, którzy działają, ponieważ im rozkazano, i którzy muszą oczekiwać batów, jeśli wielmożny pan nie będzie zadowolony z wyniku.

42.

Praca i nuda. – Szukać sobie pracy dla zapłaty – w tym różni są sobie teraz prawie wszyscy ludzie w krajach cywilizowanych. Dla nich wszystkich praca jest środkiem, a nie sama celem. Z tego powodu są w wyborze pracy mało wybredni, pod warunkiem, że przyniesie ona zysk obfity. Lecz istnieją ludzie rzadsi, którzy raczej zginąć wolą, niż wykonywać jakąś pracę bez przyjemności: owi wybredni, trudni do zadowolenia, którym na nic się nie zda zysk hony, jeśli sama praca nie jest zyskiem nad zyskami. Do tego rzadkiego rodzaju ludzi należą artyści i ludzie kontemplacyjni wszelkiego rodzaju, lecz już i próżniacy, którzy życie swe spędzają na polowaniach, podróżach lub na miłostkach i przygodach. Wszyscy oni chcą pracy i trudu, o ile te są źródłem przyjemności, i to najcięższej a najtwardszej pracy, jeśli tak być musi. Poza tym jednak odznaczają się zdecydowanym lenistwem, choćby nawet zubożenie, niesława, niebezpieczeństwo zdrowia i życia z lenistwem tym były związane. Nie tak boją się nudów, jak pracy bez przyjemności: nawet potrzebują wiele nudów, by ich praca udać się im mogła. Dla myśliciela i dla wszystkich duchów wynalazczych jest nuda ową niemiłą "ciszą morską" duszy, poprzedzającą żeglugę szczęśliwą i wiatr pomyślny; musi on ją znieść, musi przeczekać w sobie jej działanie: oto właśnie, czego wcale osiągnąć w sobie nie mogą natury lichsze. Płoszyć nudę od siebie na każdy sposób jest rzeczą pospolitą, jak pospolita jest praca bez przyjemności. Odróżnia to może Azjatów od Europejczyków, że pierwsi są zdolniejsi do dłuższego, głębszego spoczynku; nawet ich narkotyki działają powolnie i wymagają cierpliwości w przeciwieństwie do wstrętnej nagłości europejskiej trucizny, alkoholu.

43.

Co wyrażają prawa. – Mylimy się, jeśli badamy prawa karne jakiegoś narodu, jak gdyby były wyrazem jego charakteru. Prawa wyrażają nie to, czym jest jakiś naród, lecz to, co mu się zdaje obce, dziwne, potworne, cudzoziemskie. Prawa odnoszą się do wyjątków

obyczajności obyczaju; a najostrzejsze kary spotykają to, co zgodne jest z obyczajem narodu sąsiedniego. Na przykład istnieją u [Wahabitów](#) tylko dwa grzechy śmiertelne: mieć boga innego, jak bóg Wahabitów i palić tytoń (nazywają to "haniebnym sposobem picia"). "A jakże jest z zabójstwem i cudzołóstwem?" – zapytał zdumiony Anglik, który się o tym dowiedział. "Bóg jest łaskaw i miłosierny!" – odpowiedział naczelnik szczepu. — Istniało tak samo u dawnych Rzymian wyobrażenie, że kobieta może tylko w dwojaki sposób śmiertelnego dopuścić się grzechu: po pierwsze cudzołóstwem, następnie – piciem wina. [Stary Kato](#) mniemał, że całowanie wśród krewnych wprowadzono tylko po to w zwyczaj, by mieć na tym punkcie nad kobietami kontrolę; pocałunek znaczył: czy nie czuć od niej wina? Rzeczywiście kobiety, które pochwycono na picu wina, karano śmiercią; i z pewnością nie tylko dlatego, że kobiety czasem pod działaniem wina zapominają, że można czegoś odmówić; Rzymianie bali się przede wszystkim pierwiastku orgiastycznego i dionizyjskiego, który wówczas, gdy wino jeszcze nowością było w Europie, nawiedzał kiedy niekiedy kobiety z europejskiego Południa; bali się go, jako potwornej cudzoziemszczyzny, obalającej podwalinę rzymskiego odczuwania; było to dla nich jakby zdradą Rzymu, jakby przyswajaniem swemu ciału obczyzny.

44.

Wiara w motywy. – Jakkolwiek ważnym być mogło znać motywy, wedle których rzeczywiście ludzkość dotąd działała, to może jeszcze bardziej zasadniczą rzeczą jest dla badacza wiara w te lub owe motywy, więc to, co ludzkość dotąd podsuwała samej sobie i wyobrażała sobie jako właściwe swego działania sprzężyny. Wewnętrzne bowiem szczęście i niedola ludzi stawały się ich udziałem wedle ich wiary w te lub owe motywy – a nie przez to, co naprawdę motywem było! To ostatnie posiada interes niższego rodzaju.

45.

Epikur. – Tak, dumny jestem z tego, że odczuwam może charakter Epikura inaczej niż ktokolwiek inny, i we wszystkim, co o nim słyszę i czytam, rozkoszuję się szczęściem popołudnia starożytności – widzę oko jego, poglądające na dalekie, bielejące morze, ponad skały brzeżne, na których leży słońce, gdy tymczasem wielki i drobny zwierz igra w świetle bezpieczny i spokojny, jak to światło i owo oko samo. Takie szczęście wynaleźć mógł jeno ktoś ustawicznie cierpiący, szczęście oka, przed którym uciszyło się morze istnienia i które teraz nie może napatrzeć się do syta jego powierzchni i tej pstrej, czulej, dreszczem wstrząsanej skóry morza: nigdy przedtem nie było takiej skromności rozkoszy.

46.

Nasze zdumienie. – Głębokie i istotne szczęście leży w tym, że wiedza wykrywa rzeczy, które są trwałe i ciągle za podwalinę do nowych służą odkryć – mogłoby przecie być inaczej! Jesteśmy tak bardzo przekonani o całej niepewności i ułudności swych sądów i o wiecznej przemianie wszelkich praw i pojęć ludzkich, że wprawia nas to właściwie w zdumienie, jak bardzo wyniki wiedzy są trwałe! Dawniej nie wiedziano nic o tej

zmienności wszelkich rzeczy ludzkich, obyczaj obyczajności podtrzymywał wiarę, że całe życie wewnętrzne człowieka przytwierdzone jest wiecznymi sprzęgłami do spiszowej konieczności – może odczuwano wówczas podobną rozkosz zdumienia, gdy słuchano bajek i opowieści czarodziejskich. Cudowność sprawiała przyjemność tym ludziom, którzy mogli byli nieraz się znużyć prawidłem i wiecznością. Raz stracić podstawę! Bujać! Błądzić! Szaleć! – to należało do rajów i hulanki dawnych czasów: gdy tymczasem nasza szczęśliwość podobna jest do szczęśliwości rozbitka, który dopadłszy lądu, staje obiema nogami na starej, pewnej ziemi – zdumiony, że się ona nie chwieje.

47.

O tłumieniu namiętności. – Jeśli się wciąż zabrania sobie wyrazu namiętności, jako czegoś, co pozostawić należy naturom grubszym, mieszczańskim, chamskim – jeśli się więc chce stłumić nie namiętności same, lecz tylko ich wymowę i gesty, to osiąga się zarazem i to, czego się nie chce: stłumienie namiętności samych, a przynajmniej ich osłabienie i przemianę – jak tego najbardziej pouczający przykład dał dwór Ludwika Czternastego i wszystko, co od niego było zależne. Wiek następny, wychowany w tłumieniu wyrazu, nie posiadał już namiętności samych, a zamiast nich wdzięczne, płytkie, igrające obycie – wiek, obarczony niezdolnością do niegrzeczności tak, że nawet obrazę przyjmowano i oddawano w zobowiązujących słowach. Może teraźniejszość nasza przedstawia najprzedziwniejsze tego przeciwieństwo: widzę wszędzie, w życiu i w teatrze, a nie w najmniejszym stopniu we wszystkim, co się pisze, lubowanie się we wszelkich grubych wybuchach i wyrazach namiętności! Mimo to osiągnie się ją przez to w końcu, a potomkowie nasi posiadać będą szczerą dzikość, a nie tylko dzikość i nieokrzesanie form.

48.

Znajomość niedoli. – Nic może tak bardzo nie oddziela od siebie ludzi i czasów, jak różny stopień znajomości niedoli, który posiadamy: niedoli duszy, jak ciała. Co do tej ostatniej, to my, obecni, mimo nasze kalectwa i ułomności, jesteśmy może wszyscy społem, z powodu braku bogatego doświadczenia na sobie, partaczami i fantastami zarazem: w porównaniu z okresem lęku – najdłuższym z wszystkich okresów – w którym jednostka musiała się sama bronić przed przemocą i gwoli temu celowi być sama gwałtownikiem. Wówczas przechodził człowiek bogatą szkołę katuszy i niedostatków cielesnych i pojmował nawet w pewnym okrucieństwie względem siebie, w dobrowolnym ćwiczeniu się w bólu, konieczny dla siebie środek do utrzymania się przy życiu. Wychowywano wówczas swe otoczenie do znoszenia bólu, zadawano wówczas chętnie ból i patrzano na najstraszniejsze sprawianie go innym, nie z innym uczuciem, jak uczucie własnego bezpieczeństwa. Co się jednak tyczy niedoli duszy, to przyglądam się teraz każdemu człowiekowi, by zbadać, czy zna ją z doświadczenia, czy z opisu; czy uważa jeszcze za potrzebne udawać niejako tę znajomość, niby oznakę lepszego wykształcenia, czy też w ogóle nie wierzy na dnie swej duszy w większe cierpienia duchowe i czy przy ich wymienianiu nie dzieje się z nim podobnie, jak przy wymienianiu wielkich cierpień cielesnych, przy czym przychodzą mu na myśl bóle jego zębów i żołądka. Tak jednak, zda mi się, ma się sprawa teraz z przeważną liczbą ludzi. Z ogólnej niewprawności w cierpieniu obojga kształtu i z pewnej rzadkości

widoku człowieka cierpiącego, ważne wynika następstwo: nienawidzi się teraz bólu daleko bardziej, niż to dawniejsi czynili ludzie, a obmawia się go daleko gorzej niż niegdyś, ba, uważa się już istnienie bólu, jako myśli, za ledwie znośne i czyni się z tego całemu istnieniu sprawę sumienia i wyrzut. Wynurzenie się filozofii pesymistycznych nie jest wcale znakiem wielkich, straszliwych niedoli; lecz te znaki pytania, stawiane wartości wszelkiego życia, powstają w czasach, kiedy wydelikacenie i lżejszość istnienia odczuwa już nieuniknione komarze ukłucia dusza i ciała jako zbyt krwawe i złośliwe, w braku zaś prawdziwych doświadczeń bólu chciałoby się najchętniej już dręczące ogólne wyobrażenia podawać za cierpienie najwyższego rodzaju. – Znalazłaby się już recepta na filozofie pesymistyczne i wrażliwość nadmierną, która wydaje mi się właściwą "niedolą terażniejszości" – lecz może już ta recepta brzmi zbyt okrutnie i sama by zaliczona została do oznak, na których podstawie wyrokuje się teraz: "Istnienie jest czymś złym". Więc! Recepta na "tę niedolę" brzmi: niedola.

49.

Wspaniałomyślność i rzeczy pokrewne. – Owe paradoksalne zjawiska, jak nagły chłód w zachowaniu się człowieka uczuciowego, jak humor melancholika, a przede wszystkim wspaniałomyślność, jako nagłe zrzeczenie się zemsty lub zadowolenia zawiści – występują u ludzi posiadających potężną wewnętrzną siłę rzutu, u ludzi doznających nagłego przesytu i nagłego wstrętu. Zadowolenia ich są tak szybkie i tak silne, że w ślad za nimi następuje natychmiast uprzykrzenie, niechęć i ucieczka do smaku przeciwnego; w przeciwieństwie tym wyzwala się spazm odczuwania, u jednego w nagłym chłdzie, u innego w śmiechu, u innego znowu w łzach i poświęceniu. Wspaniałomyślny – przynajmniej ów rodzaj wspaniałomyślnych, który zawsze największe wywierał wrażenie – wydaje mi się człowiekiem o najgwałtowniejszym pragnieniu zemsty, któremu jakieś zadowolenie ukazuje się w pobliżu i który je tak hojnie, do dna i do ostatniej kropli już w wyobraźni wypija, że olbrzymi, szybki wstręt następuje po tym szybkim przebraniu miary. Człowiek ten wznosi się teraz "ponad siebie", jak mówią, i przebacza swemu wrogowi, nawet błogosławi go i czci. Przez to pogwałcenie samego siebie, przez to wyszydzenie swego, dopiero co tak potężnego, popędu zemsty, ulega jednak tylko nowemu popędowi, który właśnie teraz w nim stał się potężny (wstrętowi), i czyni to tak samo niecierpliwie i nieumiarkowanie, jak krótko przedtem z góry powziął wyobraźnią uciechę zemsty i niejako ją wyczerpał. We wspaniałomyślności tkwi ten sam stopień egoizmu, co w zemście, lecz egoizmu innego rodzaju.

50.

Lęk osamotnienia. – Wyrzut sumienia jest i u najsumienniejszych słaby wobec uczucia: "to i owo sprzeciwia się dobrym obyczajom twojej społeczności". Zimnego wzroku, ściągniętych ust ze strony tych, wśród których i dla których zostało się wychowanym, bo i się nawet najsilniejszy. Czego się właściwie boi? Osamotnienia! Argument, który pobija nawet najlepsze argumenty za jakąś osobą lub sprawą! – Tak przemawia z nas instynkt stadny.

51.

Zmysł prawdy. – Chwalę wszelkiego rodzaju sceptycyzm, na który wolno mi odpowiedzieć: "spróbujmy!". Lecz nie chcę znać żadnych spraw i zagadnień, które nie dopuszczają eksperymentu. Oto granica mego "zmysłu prawdy": bo tam waleczność straciła swe prawo.

52.

Co inni wiedzą o nas. – To, co wiemy o sobie samych i o czym pamiętamy, nie jest tak rozstrzygające dla naszego szczęścia, jak się mniema. Naraz spada na nas to, co inni o nas wiedzą (lub mniemają, że wiedzą) – i oto poznajemy, że to jest potężniejsze. Człowiek prędzej załatwi się ze swoim nieczystym sumieniem niż ze swoją złą sławą.

53.

Gdzie zaczyna się dobro. – Gdzie słaby wzrok nie zdoła dojrzeć złego popędu z powodu jego wysubtelnienia, tam człowiek umieszcza królestwo dobra, a poczucie, że teraz wstąpił w królestwo dobra, pobudza do współdziałania wszystkie popędy, którym zły popęd zagrażał i które ograniczał, mianowicie uczucie bezpieczeństwa, błogości, dobrotliwości. Więc: im tępsze oko, tym dalej sięga dobro! Stąd wieczna pogoda ludu i dzieci! Stąd pojęność i nieczystemu sumieniu pokrewna zgryzota wielkich myślicieli!

54.

Świadomość złudy. – W jak cudownym i nowym, a zarazem straszliwym i ironicznym, czuję się stosunku do całego istnienia ze swoim poznaniem! Odkryłem w sobie, że stara ludzkość i zwierzęcość, że cały czas zamierzchły i przeszłość wszelkiego czującego bytu w dalszym ciągu we mnie roi, kocha, nienawidzi i rozumuje. Zbudziłem się nagle wśród tego snu, lecz tylko dla świadomości, że właśnie śnię i dalej śnić muszę, aby nie zginąć: jak lunatyk dalej śnić musi, by nie runąć. Cóż jest mi teraz "złudą"? Zaprawdę, nie przeciwieństwo jakiejś istoty – coś wypowiedzieć mogę innego o jakiejś istocie, jak właśnie tylko orzeczenia jej złudy! Zaprawdę nie jakaś martwa maska, którą na jakieś nieznanne X włożyć i równie dobrze zdjąć można! Złudą jest dla mnie samo to, co działa i żyje, co w swym wyszydzeniu siebie posuwa się tak daleko, iż każe mi czuć, że tu nic więcej nie ma prócz złudy i błędnych ogni i tańca duchów – że wśród wszystkich tych śpiących i ja, "poznający", taniec swój tańczę, że poznający jest środkiem do tego, by taniec ziemski wzdłuż rozwinąć i o tyle należy do aranżerów uroczystości istnienia, i że wniosła konsekwencja i związek wszelkiego poznania jest i będzie najwyższym środkiem do podtrzymania powszechności snu i wzajemnego porozumienia tych wszystkich śpiących między sobą i właśnie przez to do podtrzymywania trwałości snu.

Ostateczna szlachetność. – Cóż czyni "szlachetnym"? Z pewnością nie to, że się ponosi ofiary; i szalony rozpustnik ponosi ofiary. Z pewnością nie to, że się w ogóle postępuje za głosem namiętności: są i pogardy godne namiętności. Zapewne nie to, że się dla innych coś czyni bez samolubstwa: może konsekwencja samolubstwa jest właśnie w najszlachetniejszych największa. – Lecz to, że namiętność, która opada szlachetnego, jest osobliwością, choć on o tej osobliwości nie wie: używanie rzadkiego i osobniczego miernika i prawie wariactwo; gorące odczuwanie rzeczy, które innych nie wzruszają; zgadywanie wartości, dla których nie wynaleziono jeszcze wagi; składanie ofiar na ołtarzach, poświęconych nieznanemu bogu; waleczność bez żądzy zaszczytu; poprzestawanie na sobie, które posiadając nadmiar udziela go ludziom i rzeczom. Dotąd więc była rzadkość i nieświadomość swej rzadkości tym, co czyniło szlachetnym. Należy jednak przy tym rozważyć, że z powodu tego miernika wszystko nawykłe, najbliższe, najniezbędniejsze, słowem to, co najbardziej rodzaj podtrzymuje, i w ogóle prawo wśród dotychczasowej ludzkości, było oceniane niesłusznie i na ogół oczerniane, na rzecz wyjątków. Stać się rzecznikiem prawidła – to by mogła być może ostateczna forma i subtelność, w której by szlachetność objawiła się na ziemi.

Żądza cierpienia. – Jeśli myślę o żądzy czynienia czegoś, która ustawicznie łaskocze i bodzie miliony młodych Europejczyków, nie mogących znieść całej tej nudy i samych siebie, to pojmuję, że musi w nich istnieć jakaś żądza cierpienia, by w cierpieniu swym znaleźć mogli jakiś możliwy powód do działania, do czynu. Potrzeba niedoli! Stąd krzyk polityków, stąd te liczne, fałszywe, zmyślane, przesadne "niedole" wszelkich możliwych klas i ślepa gotowość do wiary w nie. Ten młody świat żąda, by z zewnątrz przyszło lub zjawilo się – nie jakieś szczęście – lecz nieszczęście; a wyobraźnia jego już z góry pracuje nad ukształtowaniem potwora, by potem z potworem walczyć mogła. Gdyby ci żądni niedoli czuli w sobie moc wyświadczenia dobrodziejstwa samym sobie od wewnątrz, dogodzenia samym sobie, to by umieli też stworzyć sobie od wewnątrz własną, najbardziej własną niedolę. Ich wynalazki mogłyby wówczas być subtelniejsze, a ich zadowolenia dźwięczeć jak dobra muzyka: gdy tymczasem wypełniają świat swym krzykiem niedoli, a zbyt często potem dopiero uczuciem niedoli! Nie wiedzą, co z sobą począć – i malują na ścianie nieszczęście innych: potrzebują zawsze innych! I ciągle innych Innych! – Wybaczcie, przyjaciele moi, ja pozwoliłem sobie wymalować swoje szczęście na ścianie.

## Wiedza radosna

### Księga druga

Do realistów. – Wy ludzie trzeźwi, którym się zdaje, że jesteście uzbrojeni przeciw namiętności i marzycielstwu i chętnie chcielibyście pustkę swą obnosić jako dumę i ozdobę, nazywacie się realistami i dajecie do zrozumienia, że świat jest taki, jak wam się wydaje; że

jedynie przed wami rzeczywistość stoi bez zasłony i że wy sami jesteście może najlepszą jej częścią – o wy miłe posągi z Sais! Lecz nie jesteście i wy w waszym najbardziej odslonionym stanie w najwyższym jeszcze stopniu istotami namiętymi i ciemnymi, w porównaniu z rybami, i zawsze jeszcze nazbyt podobni do zakochanego artysty? – A czymże jest dla zakochanego artysty "rzeczywistość"! Zawsze jeszcze obnosicie z sobą oceny rzeczy, które mają źródło swe w namiętnościach i ukochaniach dawniejszych stuleci! Zawsze jeszcze jest trzeźwość wasza przesiąknięta tajemnym i niezniszczalnym upojeniem! Wasza miłość "rzeczywistości" na przykład – ach, to stara, prastara "miłość"! W każdym odczuciu, w każdym wyrazie zmysłów tkwi część tej starej miłości; i tak samo pracowało i działało w tym jakieś marzycielstwo, jakiś przesąd, nierozum, niewiadomość, obawa i ileż wszystkiego innego! Ta góra ówdzie! Ta chmura tam! Cóż jest w tym "rzeczywistego"? Odejmijcie od tego urojenie i cały ludzki przydatek, wy trzeźwi! Tak, gdybyście to mogli! Gdybyście mogli zapomnieć o swym pochodzeniu, o swojej przeszłości, o swojej przygotowawczej nauce – o całej swej człowieczości i zwierzęcości! Nie ma dla nas żadnej "rzeczywistości" – ani też dla was, wy trzeźwi jesteśmy sobie daleko mniej obcy, niż mniemacie, a może nasza dobra wola otrząśnięcia się z upojenia jest tak samo godna szacunku, jak wasza wiara, że jesteście w ogóle do upojenia niezdolni.

58.

Tylko jako twórcy! – Sprawiało mi trud największy i ciągle jeszcze największy trud mi sprawia: wyrozumieć, że niewymownie więcej zależy na tym, jak się rzeczy nazywają, niż czym są. Opinia, miano, pozór, uchodzenie za coś, obiegu miara i waga pewnej rzeczy – będąca w początku najczęściej błędem i dowolnością, narzuconą na rzecz, jak suknia zupełnie obca jej istocie, a nawet skórze – stopniowo przez wiarę w to i dalszy jej wzrost z pokolenia w pokolenie, przyrasta do rzeczy i wrasta w nią i staje się samym jej ciałem; początkowy pozór staje się w końcu prawie zawsze istotą i działa jako istota! Jakim musiałby być szaleńcem, kto by mniemał, że wystarczy wskazać owo źródło i ową mglistą osłonę złudy, by zniweczyć ten za istotny uważany świat, tę tak zwaną "rzeczywistość"! Tylko jako twórcy możemy niweczyć! – Lecz nie zapominajmy też i tego, że wystarczy stworzyć nowe miano i oceny, i prawdopodobieństwa, by na długi ciąg trwania nowe stworzyć "rzeczy".

59.

My artyści! – Jeżeli kochamy jaką kobietę, to łatwo powziąć nam nienawiść do natury, na myśl o wszystkich tych obrzydliwych naturalnościach, na które narażona jest każda kobieta; chętnie pomijamy to w ogóle myślą, lecz gdy raz dusza nasza otrze się o te rzeczy, to drży niccierpliwie i spogląda, jak się rzekło, na naturę z pogardą. Czujemy się obrażeni, zdaje się nam, że natura sięga w nasze posiadanie najmniej poświęcanymi rękoma. Wówczas zatyka się uszy na wszelką fizjologię i wyrokuje się w sobie zwyczajnie: "nie chcę nic słyszeć o tym, że człowiek jest czymś innym jeszcze niż duszą i kształtem!". "Człowiek pod skórą" jest dla wszystkich kochających odrazą i myślą potworną, obrazą Boga i miłości. – Otóż to, co teraz jeszcze odczuwa kochający w stosunku do natury i naturalności, to odczuwał niegdyś czciciel Boga i jego "świętej wszechmocy": we wszystkim, co wyrzekli o naturze astronomowie, geologowie, fizjologowie, lekarze, widział wtargnięcie w swe najcenniejsze posiadanie, a następnie napaść – a nadto bezwstyd napastnika! "Prawo natury" brzmiało mu

już jako spotwarzanie Boga. W gruncie rzeczy byłby chętnie widział wszelką mechanikę sprowadzoną na powrót do moralnych aktów woli i samowoli: lecz, ponieważ nikt mu wyświadczyć nie mógł tej przysługi, więc zatajał przed sobą wszelką naturę i mechanikę, jak tylko umiał, i żył we śnie. O, ci ludzie dawniejsi znali się na śnieniu i nie potrzebowali dopiero zasypiać! – A i my, ludzie dzisiejsi, znamy się jeszcze na tym zbyt dobrze, mimo całą naszą dobrą wolę czuwania i życia we dnie. Wystarczy kochać, nienawidzić, pożądać, w ogóle czuć – a natychmiast nawiedza nas duch i siła snu i wchodzimy, nieczuli na wszelkie niebezpieczeństwa, z otwartymi oczyma, na najniebezpieczniejsze drogi, w górę na dachy i wieże marzycielstwa, jak gdyby urodzeni do wspinania się – my lunatycy dzienni! My artyści! My taiciele naturalności! My chorzy na księżyc i na Boga! My śmiertelnie cisi, nieznużeni wędrowcy po wyżynach, w których nie widzimy wyżyn, lecz równiny, swoje bezpieczeństwa!

60.

Kobiety i ich działanie na odległość. – Mamże jeszcze uszy? Czy jestem już tylko uchem i niczym więcej? Stoję tu wśród waru kipiących bałwanów, których białe płomienie sięgają stóp mych swymi językami – ze wszystkich stron ogarnia mnie wycie, groźba, krzyk, łoskot, gdy tymczasem w najgłębszej głębi stary Ziemiowstrząsca pieśń swą śpiewa, głucho jak bawół ryczący; wybija sobie przy tym taki ziemią wstrząsający takt, że nawet tym tu potworom skalnym serce drży w piersiach. Nagle, jakby z nicości zrodzony, zjawia się przed bramą tego piekielnego labiryntu, o kilka sążni odległy – wielki żaglowiec, jak widmo sunący w milczeniu. O, ta widmowa piękność! Jakimż mnie czarem przejmuję! Co? Czyż okręt ten wiezie całą ciszę i spokój świata? Czyż na tym cichym miejscu zasiadło me szczęście samo, moje szczęśliwszej, ma druga, uwieczniona sarność? Jeszcze nie martwa, a jednak już nie żyjąca? Jako nadprzyrodzona, cicha, patrząca, ślizgająca się, bujająca istota pośrednia? Podobna statkowi, który białymi żaglami swymi, jak motyl olbrzymi, ponad ciemne wlatuje morza! Tak! Wzlatywać ponad istnienie! Tego się chce! Tego by się chciało! – Zda się, że ten tu zgiełk uczynił mnie fantastą? Wszelki duży zgiełk sprawia, że pokładamy szczęście w ciszy i dali. Gdy mężczyzna pośród swojego zgiełku stoi, gdy oblewają go wzburzone fale jego czynów i zaczynów: wtedy widzi też przesuwające się obok niego istoty, do których szczęścia i zacisza tęskni – są to kobiety. Sądzi on nieledwo, że tam u kobiet mieszka jego lepsza samość: że w cichych tych miejscach nawet najgłośniejsze wzburzenie martwą staje się ciszą, a życie samo snem o życiu. A jednak! Jednak! Szlachetny mój marzycielu! Nawet na najpiękniejszym żaglowcu jest wiele hałasu i zgiełku, i to niestety tak wiele małego, marnego zgiełku! Czarem i najpotężniejszym działaniem kobiet jest, by rzec językiem filozofów, działanie na odległość, *actio in distans*: na to jednak trzeba, naprzód i przede wszystkim – odległości!

61.

Na cześć przyjaźni. – Że uczucie przyjaźni w starożytności za najwyższe uchodziło uczucie, wyższe nawet niż najbardziej sławiona дума poprzestającą na samym sobie i mędrca, a nawet niejako za jego jedyne i jeszcze świętsze braterstwo: to wyraża bardzo dobrze opowieść o owym królu macedońskim, który gardzącemu światem filozofowi ateńskiemu darował jeden talent i otrzymał go odeń z powrotem. "Jak to? – rzekł król – czyż

nie ma on żadnego przyjaciela?" Chciał przez to powiedzieć: "część tu dumę mędrca i człowieka niezależnego, lecz czciłbym jego człowieczość jeszcze bardziej, gdyby przyjaciel był w nim odniósł nad jego dumą zwycięstwo. Filozof ten skarłał w moich oczach, gdy okazał, że nie zna jednego z dwóch najwyższych uczuć – i to wyższego!".

62.

Miłość. – Miłość wybacza ukochanemu nawet żądzę.

63.

Kobieta i muzyka. – Jak to się dzieje, że ciepłe i deszczowe powiewy sprowadzają z sobą też nastrój muzyczny i wynalazczą rozkosz melodii? Czy nie są to te same powiewy, które napełniają kościoły i budzą w kobietach zakochane myśli?

64.

Sceptycy. – Lękam się, że postarzałe kobiety są w tajemnej skrytce swego serca sceptyczniejsze niż wszyscy mężczyźni: biorą one powierzchowną stronę istnienia za jego istotę, a wszelką cnotę i głąb za osłonę tej "prawdy", jedynie za wielce pożądania godną osłonę pewnego *pudendum* – więc za kwestię przyzwoitości i wstydu, i za nic więcej!

65.

Oddanie się. – Są kobiety szlachetne, pod pewnym względem ubogie duchem, które, chcąc wyrazić swe najgłębsze oddanie się, nie umieją sobie poradzić inaczej, chyba ofiarując swą cnotę i wstyd: jest to dla nich to, co mają najwyższego. I często dar ten zostaje przyjęty, nie obowiązując tak głęboko, jak to przypuszczają dawczyni – bardzo smętna historia!

66.

Siła słabych. – Wszystkie kobiety są w tym przemyślne, że przesadzają swą słabość, nawet są wynalazcze w słabości, by zdawać się ogromnie kruchymi ozdobami, którym nawet pyłek ból sprawia; istnienie ich powinno przypominać myśli i sumieniu mężczyzny jego niezgrabność. Tak bronią się one przed silnymi i wszelkim "prawem pięści".

67.

Udawanie samego siebie. – Teraz ona go kocha, więc odtąd patrzy przed siebie z tak spokojnym zaufaniem, jak krowa: lecz biada! To właśnie czarowało go, że zdawała się na wskroś zmienna i nieuchwytna! Miał on bowiem już za wiele niezmiennej pogody w sobie samym! Czyżby nie uczyniła dobrze, gdyby udawała swój dawny charakter? Udawać brak miłości? Czyż jej nie radzi tak miłość? *Vivat comoedia!*

68.

Wola i powolność. – Przyprawiono raz młodzieńca do pewnego mędrca i powiedziano: "Patrz, oto zepsuły go kobiety!". Mędrzec potrząsnął głową i uśmiechnął się. "To mężczyźni, zawołał, psują kobiety: a za wszystko, w czym kobiety pobłądzą, powinno się mężczyznom nakładać pokutę i poprawę – bo mężczyzna tworzy sobie obraz kobiety, a kobieta wedle tego kształtuje się obrazu". – "Jesteś za łagodny dla kobiet, rzekł jeden z otaczających, nie znasz ich!" Mędrzec odparł: "Rzeczą mężczyzny jest wola, rzeczą kobiety powolność – takie jest prawo płci, zaprawdę, twarde dla kobiety prawo! Wszyscy ludzie niewinni są swemu istnieniu, kobiety są jednak niewinne w drugiej potędze: któż może dość mieć dla nich oliwy i łagodności". – "Cóż mi tam oliwa! Co mi tam łagodność! – zawołał inny z tłumu: trzeba kobiety lepiej wychowywać!" – "Trzeba mężczyzn lepiej wychowywać" – rzekł mędrzec i skinął na młodzieńca, by poszedł za nim. – Lecz młodzieniec za nim nie poszedł.

69.

Zdolność do zemsty. – Że ktoś bronić się nie może, a przeto też nie chce, to nie przynosi mu jeszcze w naszych oczach wstydu; lecz lekceważymy tego, kto do zemsty nie ma ani możliwości, ani dobrej woli – obojętne, czy to mężczyzna, czy kobieta. Czyby mogła nas przykuć do siebie (lub jak mówią "spętać") kobieta, po której nie spodziewamy się, że w danym razie umiałaby użyć sztyletu (jakiego bądź rodzaju sztyletu) przeciw nam? – lub przeciw sobie: co w pewnym wypadku jest dotkliwszą zemstą (zemsta chińska).

70.

Władczynie władców. – Głęboki, potężny głos altowy, jaki się nieraz słyszy w teatrze, podnosi czasem przed nami zasłonę możliwości, w które nie wierzymy zazwyczaj: wierzymy naraz, że mogłyby istnieć gdzieś na świecie kobiety o wysokich, bohaterskich, królewskich duszach, zdolne i gotowe do wspaniałych wystąpień, postanowień, poświęceń, zdolne i gotowe do władztwa nad mężczyznami, ponieważ stało się w nich nad płęć wyższym, ucieleśnionym ideałem to, co w mężczyźnie najlepszego. Wprawdzie, wedle zamysłu teatru, nie powinny takie głosy właśnie tego o kobiecie dawać pojęcia: zwykle powinny one przedstawiać idealnego męskiego kochanka, na przykład Romea. Lecz wedle mego doświadczenia sądząc, teatr i muzyk, oczekując po takim głosie takiego skutku, prawidłowo się przeliczają. Nie wierzy się w tych kochanków: głosy te zabarwione są zawsze jeszcze czymś z matki i pani domu, i właśnie wówczas najwięcej, gdy w dźwięku ich tkwi miłość.

71.

O kobiecej czystości. – Jest coś zdumiewającego i niebywałego w wychowaniu kobiet dostojnych, może nawet nie ma nic paradoksalniejszego. Cały świat zgodził się na to, by *in eroticis* wychowywać je najmożliwiej w nieświadomości i wpajać im w dusze głęboki wstyd przed podobnymi sprawami i najsakrajniejszą niecierpliwość i ucieczkę na wspomnienie tych rzeczy. Tylko w tym wypadku w gruncie rzeczy narażona jest "cześć" kobieca: czegoż by im zresztą nie wybaczone! Lecz co do tego winny pozostać w nieświadomości aż do głębi serca; nie powinny mieć ani oczu, ani uszu, ani słów, ani myśli na to swoje "zło": nawet wiedzieć jest już w tym wypadku złem. Lecz oto patrzcie! Jakby srogim uderzeniem gromu być przerzuconą przez małżeństwo w rzeczywistość i świadomość – i właśnie przez tego, którego najbardziej się kocha i czci; przyłapać miłość i wstyd na sprzeczności, co więcej musieć odczuwać jednocześnie zachwyt, oddanie się, obowiązek, współczucie i strach z powodu nieoczekiwanego sąsiedztwa Boga i zwierzęcia i czegoż jeszcze prócz tego – rzeczywiście zadzierzgnięto tu sobie węzeł duszny, który nie ma sobie równego! Nawet współczująca ciekawość najmędrszego znawcy serc ludzkich nie starczy do odgadnięcia, jak ta lub owa kobieta potrafi połapać się w tym rozwiązaniu zagadki i w tej zagadce rozwiązania, i co za grozą przejmujące, daleko sięgające podejrzenia budzić się muszą w tej biednej, z wszystkich spoidel wysadzonej duszy, a nawet jak w punkcie tym zarzuca swe kotwice ostateczna filozofia i sceptycyzm kobiecy! – A potem to samo głębokie milczenie co przedtem; a często milczenie przed samą sobą, zamykanie oczu przed samą sobą. – Młode kobiety starają się bardzo, by zdawać się powierzchownymi i bezmyślnymi; najprzemysłniejsze wśród nich udają pewnego rodzaju zuchwałość. – Kobiety skore są odczuwać swych mężów jako znak pytania swojej czci, a dzieci swe jako apologię lub pokutę – dzieci są im potrzebne, życzą sobie dzieci, w zupełnie innej myśli, niż mężczyzna dzieci sobie życzy. – Słowem, nie można być dość łagodnym dla kobiet!

72.

Matki. – Zwierzęta myślą zupełnie co innego o samicach niż ludzie: dla nich oznacza samica istotę płodną. Nie ma w nich miłości ojcowskiej, lecz jakby miłość dla dzieci kochanki i nawyknienie do nich. Samice znajdują w dzieciach zadowolenie swej żądy panowania, własność, zatrudnienie, coś dla nich zupełnie zrozumiałego, z czym gwarzyć można: to wszystko razem jest miłością macierzyńską – można ją porównać z miłością twórcy dla swego ula. Cięża uczyniła kobiety łagodniejszymi, cierpliwymi, lękliwymi, uleglejszymi; i tak samo duchowa cięża wytwarza charakter ludzi kontemplacyjnych, który podobny jest do charakteru kobiecego – są to męskie matki. – U zwierząt uchodzi rodzaj męski za płęć piękną.

73.

Święte okrucieństwo. – Do pewnego świętego przystąpił człowiek, trzymając na rękach noworodka. "Co mam począć z tym dzieckiem?" – spytał. – "Jest nędzne, kalekie, a nie ma dość życia, by umrzeć". "Zabij je – zawołał święty straszliwym głosem – zabij je, a

potem trzy dni i trzy noce trzymaj je w swych ramionach, by pozostało ci w pamięci – nie będziesz nigdy płodził dzieci, kiedy nie czas tobie po temu, by płodzić". – Gdy mąż to usłyszał, odszedł zawiedziony; a wielu ganiło świętego, ponieważ doradzając zabić dziecko, doradzał okrucieństwo. "Lecz nie jestże okrutniej pozwolić mu żyć?" – rzekł święty.

74.

Nie mające powodzenia. – Nie mają powodzenia te biedne kobiety, które w obecności człowieka kochanego stają się niespokojne i niepewne i mówią zbyt wiele; gdyż mężczyzna uwodzi najłatwiej pewna potajemna i flegmatyczna czułość.

75.

Trzecia płeć. – Mały mężczyzna jest paradoksem, lecz zawsze mężczyzną – atoli małe kobietki zdają mi się, w porównaniu z roslymi kobietami, należeć do innej płci – rzekł stary tancmistrz. Mała kobieta nie jest nigdy piękna – rzekł stary Arystoteles.

76.

Największe niebezpieczeństwo. – Gdyby za wszech czasów nie była istniała nadmierna liczba ludzi, którzy wychowanie swej głowy – swej "rozumności" – uważali za swą dumę, swój obowiązek i swą cnotę; których jako przyjaciół "zdrowego chłopskiego rozumu" obrażało lub zawstydzalo wszelkie rojenie i wybujałość myśli: to byłaby ludzkość od dawna zginęła! Unosił się i unosi ponad nią ustawicznie jako największe jej niebezpieczeństwo, wybuchający obłąd – to znaczy właśnie wybuch upodobania w odczuwaniu, widzeniu i słyszeniu, rozkoszowanie się niekarnością głowy, radość z ludzkiego nierozumu. Przeciwnością świata obłąkańców nie jest prawda i pewność, lecz powszechność i wszechobowiązkowość jakiejś wiary, słowem brak dowolności w sądzeniu. A największą dotąd pracą człowieka było dojście do wzajemnego zgodzenia się co do bardzo wielu rzeczy i narzucenie sobie prawa zgodności – obojętne, czy rzeczy te prawdziwe są, czy fałszywe. Oto wychowanie głowy, które ludzkość otrzymała. Lecz popędy przeciwne są zawsze jeszcze tak silne, że w gruncie rzeczy o przyszłości ludzkiej z małą można mówić ufnością. Ustawicznie posuwa i przesuwa się jeszcze obraz rzeczy, a może teraz więcej i szybciej niż kiedykolwiek; ustawicznie buntują się najwyszukańsze właśnie duchy przeciw obowiązkowości powszechnej – badacze prawdy przede wszystkim! Ustawicznie wiara owa, jako wiara powszechna, budzi wstęt i nową pożądlivość w głowach wytworniejszych; i już owo powolne tempo, którego ona dla wszystkich duchowych przebiegów wymaga, owo naśladowanie żółwi, uznawane tu za normę, zmienia poetów i artystów w zbiegów: w tych niecierpliwych duchach wybucha formalna rozkosz z obłądu, ponieważ obłąd tak wesołe ma tempo! Potrzeba więc cnotliwych intelektów – ach, chcę użyć najmniej dwuznacznego słowa – potrzeba cnotliwej głupoty, potrzeba niewzruszonych taktomierzy powolnego ducha, aby wyznawcy wielkiej wiary powszechnej mogli razem pozostać i dalej taniec swój tańczyć: nakazuje to i wymaga tego potrzeba najgłówniejsza. My inni jesteśmy wyjątkiem i niebezpieczeństwem – potrzebujemy wiecznie obrony! – Tak, dałoby

się niejedno rzecz na korzyść wyjątku, pod warunkiem, że nie zechce być nigdy prawidłem.

77.

Zwierzę z czystym sumieniem. – Pospolitość we wszystkim tym, co się podoba na południu Europy – choćby w operze włoskiej (na przykład Rossiniego lub Belliniego) lub w hiszpańskim romansie awanturniczym (we francuskim przebraniu Gila Blasa [główna postać powieści Allain René Lesage'a (1668-1747) *Przypadki Idziego Blasa*, wzorowanej na hiszpańskiej powieści łotrzykowskiej] dla nas najdostępniejszym) – nie uchodzi mej uwagi, jednak nie obraża mnie, tak samo jak pospolitość, którą napotykaamy podczas wędrowki przez Pompeję, a w gruncie rzeczy nawet przy czytaniu każdej starożytnej książki: skąd to pochodzi? Czy stąd, że każda pospolitość występuje tu bez wstydu – tak odważnie i z taką pewnością siebie, jak coś szlachetnego, miłego i namiętnego w tego samego rodzaju muzyce i powieściach? "Zwierzę ma takie samo prawo, jak człowiek: niech więc sobie wolno biega, a ty, mój człowieku, jesteś też jeszcze tym zwierzęciem, mimo wszystko!" – To zdaje mi się morałem rzeczy i właściwością tych ludzi z południa. Smak zły ma takie samo prawo, jak dobry, a nawet pierwszeństwo przed nim, jeśli jest konieczną potrzebą, zaspokojeniem niezawodnym, a zarazem językiem ogólnym, maską i gestem bezwzględnie zrozumiałymi: dobry, wybredny smak ma natomiast zawsze coś szukającego, próbującego, niezupełnie pewnego swego zrozumienia – nie jest i nie był nigdy popularny. Popularna jest i pozostanie maska! Niech więc płynie sobie wszelka ta maskarada w melodiach i kadencjach, w skokach i ucieśnościach rytmu tych oper! Nawet starożytne życie! Cóż rozumie się z niego, jeśli się nie rozumie uciechy z maski, czystego sumienia wszystkiego, co pod maską! Jest w tym kąpiel i wypoczynek starożytnego ducha – a może kąpiel ta była dla rzadkich i wzniosłych natur starożytnego świata potrzebniejsza jeszcze niż dla pospolitych. – Natomiast obraża mnie niewymownie pewien pospolity zwrot w dziełach północnych, na przykład w muzyce niemieckiej. Czuć w tym wstyd, artysta zniżył się przed sobą samym i nie mógł się nawet ustrzec, by się nie zarumienić: wstydzimy się wraz z nim i obrażeni jesteśmy, ponieważ przeczuwamy, iż sądzi, że do nas zniżać się musi.

78.

Za co powinniśmy być wdzięczni. – Dopiero artyści, a mianowicie teatralni, wprawili ludziom oczy i uszy, aby z pewną przyjemnością słuchali i patrzyli na to, czym każdy sam jest, co sam przeżywa, czego sam chce; dopiero oni nauczyli nas czcić bohatera, który w każdym z tych ludzi codziennych się kryje, i sztuki, jak oglądać można samego siebie jako bohatera, z odległości i niejako w uproszczeniu i przejaśnieniu – sztuki "wystawienia na scenie" samego siebie. W ten sposób jedynie wychodzimy poza niektóre niskie w nas szczegóły! Bez tej sztuki nie bylibyśmy niczym innym, tylko przednim planem i znajdowalibyśmy się najzupełniej pod klątwą owej optyki, która temu co najbliższe i najpospolitsze wydawać się każe potwornie wielkim i rzeczywistością. – Może podobnego rodzaju zasługę ma religia, która na grzeszność każdego poszczególnego człowieka patrzeć kazała przez szkło powiększające i uczyniła z grzesznika wielkiego, nieśmiertelnego zbrodniarza; zakreślając wkoło niego wieczne perspektywy, nauczyła człowieka patrzeć na siebie z odległości i jako na coś należącego do przeszłości i skończonego.

Urok niedoskonałości. – Widzę tu poetę, który, jak niejeden człowiek, wywiera większy urok swoją niedoskonałością niż tym, co pod jego ręką zaokrągliła się i stała doskonała – nawet powodzenie i sławę zawdzięcza bardziej swej najzupełniejszej niemocy niż swemu sił bogactwu. Dzieło jego nigdy nie wypowiada zupełnie tego, co by właściwie chciał wypowiedzieć, co by chciał być zobaczyć: zda się, że miał przedsmak wizji, a nigdy jej samej. Lecz ogromna pożądlivość tej wizji pozostała mu w duszy i z niej czerpie on swoją równie ogromną wymowność pragnienia i żądy. Przez nią to wynosi swego słuchacza ponad swe dzieło i wszystkie "dzieła" i używa mu skrzydeł do wzlatania tak wysoko, jak zresztą słuchacze nigdy nie wzlatują. Stawszy się tak sami poetami i widzącymi, odpłacają sprawcy swego szczęścia podziwem, jak gdyby on przywiódł ich bezpośrednio do widzenia tego, co ma najświętszego i ostatecznego, jak gdyby on cel swój osiągnął i wizję swą rzeczywiście widział i jej udzielił. Wychodzi na dobre sławie jego, że właściwie do celu nie dotarł.

Sztuka i przyroda. – Grecy (lub przynajmniej Ateńczycy) słuchali chętnie dobrej wymowy. Mieli nawet do tego pożądlivą skłonność, która ich bardziej niż cokolwiek innego, odróżnia od nie-Greków. Żądali tedy nawet od namiętności na scenie, by mówiła dobrze i poddawali się z przyjemnością nienaturalności wiersza dramatycznego. W naturze jest przecie namiętność tak skąpa w słowa! Tak niema i zakłopotana! Lub jeśli znajduje słowa, tak zmieszana i nierozumna i wstydząca się samej siebie! Teraz przywykliśmy wszyscy, dzięki Grekom, do tej nienaturalności na scenie, tak jak dzięki Włochom znosimy i chętnie znosimy inną nienaturalność, namiętność śpiewającą. – Stało się dla nas potrzebą, której rzeczywistość w nas zadowolić nie może, słuchać ludzi mówiących dobrze i dokładnie w najcięższych położeniach. Zachwyca nas teraz, jeśli bohater tragiczny znajduje słowa i uzasadnienia, i ruchy wymowne i w całości niezakłóconą duchowość tam nawet jeszcze, gdzie życie ku otchłaniam się zbliża, a człowiek rzeczywisty zazwyczaj traci głowę, a z pewnością piękną wymowę. Ten rodzaj rozmijania się z naturą jest może najprzyjemniejszą ucztą dla człowieczej dumy; gwoli niej lubi ona w ogóle sztukę, jako wyraz wzniosłej, bohaterskiej nienaturalności i konwenansów. Czyni się słusznie zarzut poecie dramatycznemu, jeśli nie wszystko przemienia w rozum i słowo, lecz jeszcze zachowuje pewną resztę milczenia – tak jak się nie jest zadowolonym z muzyka, który dla najwyższego uczucia nie umie znaleźć melodii, lecz tylko pełne uczucia, "naturalne" jękanie i krzyki. Tu właśnie należy być sprzecznym z naturą! Tu p o w i n i c n właśnie urok złudzenia wyższemu ustąpić urokowi! Grecy zachodzą na tej drodze daleko, daleko – zastraszająco daleko! Jak nadawali swej scenie możliwą wąskość i jak zabraniali sobie wszelkiego działania przez głębokie tylne tła, jak uniemożliwiali aktorowi grę twarzy i poruszenia i zmieniali go w uroczyście, sztywne, zamaskowane straszdyło, tak też odebrali namiętności samej jej głębokie tło i narzucili nakaz pięknego mówienia, a nawet uczynili w ogóle wszystko, by przeciwdziałać żywiołowemu działaniu budzących grozę i litość obrazów. Właśnie, że nie chcieli grozy i litości. – Arystotelesowi cześć, najwyższa cześć! Lecz niewątpliwie nie trafił on w sedno, gdy mówił o ostatecznym tragedii greckiej celu! Przypatrzmy się przecie greckim poetom tragicznym, by ujrzeć, c o właściwie pobudzało ich

pilność, ich wynalazczość, ich współzawodnictwo – z pewnością nie zamiar pogwałcenia widza mocą uczuć! Atćczyk szedł do teatru, by słuchać pięknych mów! O piękne mowy chodziło też Sofoklesowi! – wybaczenie mi moje kacerstwo! Zupełnie odmiennie ma się rzecz z poważną operą: wszyscy jej mistrze zmiatają do tego, by przypadkiem nie rozumiano ich osób. "Przy sposobności pochwycone słowo mogłoby przyjść z pomocą nieuważnemu słuchaczowi: w całości sytuacja musi się sama wyjaśnić – na mowach nic nie zależy!" – tak myślą oni wszyscy i wszyscy błazeństwa stroją ze słowami. Może brakło im tylko odwagi do pełnego wyrażenia ostatecznego lekceważenia słowa. Nieco więcej zuchwałości w Rossinim, a byłby kazał śpiewać wszędzie lu-la-la-la – i byłby w tym rozum! Właśnie, że nie powinno się wierzyć osobom opery "na słowo", tylko na dźwięk! To jest różnica, to piękna nienaturalność, gwoli której chodzi się na opery! Nawet *recitativo secco* [suchy recytatyw, tzn. z prostym akompaniamentem] nie chce, by go słuchano jako słowa i tekstu. Ten rodzaj półmuzyki ma raczej używać muzykalnemu uchu przede wszystkim krótkiego wypoczynku (wypoczynku po melodii, jako najwyższej i zarazem najbardziej natężonej rozkoszy tej sztuki) – lecz nie mniej i czegoś innego: to jest rosnącej niecierpliwości, rosnącego oporu, nowego pożądanego całkowitej muzyki, melodii. – Jak z tego punktu widzenia ma się rzecz ze sztuką Ryszarda Wagnera? Może tak samo? Może inaczej? Często zdawało mi się, jak gdyby należało się wyuczyć przed przedstawieniem na pamięć słów i muzyki jego utworów: bez tego – tak mi się zdawało – nie słyszy się ani słów, ani nawet muzyki.

#### 81.

Smak grecki. – "Cóż w tym pięknego? – rzekł ów mierniczy po pewnym przedstawieniu *Ifigenii* – nic przez to nie zostało dowiedzione!" Byliżby Grecy tak dalecy od tego smaku? W Sofoklesie przynajmniej jest "wszystko dowiedzione".

#### 82.

Esprit niegreckie. – We wszelkim myśleniu swym są Grecy nieopisanie logiczni i prości; przynajmniej w ciągu swych długich dobrych czasów nie uprzykrzyli sobie tego, jak to się dzieje często z Francuzami, którzy nazbyt chętnie małe czynią uskoki w kierunku przeciwnym i właściwie znoszą ducha logiki tylko wtedy, gdy ten przez mnogość takich małych uskoków swą towarzyską zdradza grzeczność, swe towarzyskie zaparcie się siebie. Logika wydaje się im konieczną jak chleb i woda, lecz też jak one strawą więzienną, jeśli ma się ją spożywać samą tylko, bez niczego. W dobrym towarzystwie nie należy chcieć mieć zawsze i jedynie słuszność, jak chce wszelka czysta logika. Stąd mała dawka nierozumu we wszelkim *esprit* francuskim. – Zmysł towarzyski Greków był daleko mniej rozwinięty, niż jest i był zmysł Francuzów: stąd tak mało *esprit* w ich najświetniejszych duchem mężach, stąd tak mało posiadają dowcipu nawet ich dowcipnicy – ach! – nie uwierzcie już tym moim zdaniom, a ileż jeszcze tego rodzaju mam ich na sercu! – Est res magna tacere [wielką rzeczą jest milczenie] – mówi Marcjalis i wszystkie gaduły.

#### 83.

Przekłady. – Można ocenić stopień zmysłu historycznego, jaki posiada pewien czas, podług tego, jak dokonywa przekładów i stara się sobie przyswoić minione czasy i książki. Francuzi za Corneille'a, a także jeszcze z czasu rewolucji opanowali starożytność rzymską w sposób, na jaki byśmy my nie mieli już odwagi – dzięki naszemu wyższemu zmysłowi historycznemu. A sama ta rzymska starożytność: jakże gwałtownie i naiwnie zarazem kładła swą rękę na wszystkim, co dobre i wysokie w greckiej dawniejszej starożytności! Jakże przekładali ją na rzymską terażniejszość! Jakże zacierali z umysłu i bez troski opyl skrzydeł motyla-chwili! Tak przekładał Horacy tu i ówdzie Alcaeusa lub Archilocha, tak Propercjusz Kallimacha i Filetasa (poetów tej samej miary co Teokryt, jeśli sądzić nam wolno). Cóż zależało im na tym, że właściwy twórca przeżył to i owo i znaki tego w swój wpisał poemat! – Jako poeci byli oni nieprzyjaźni antykwarskiemu wężowi, który poprzedza zmysł historyczny; jako poeci odrzucali owe zupełnie osobiste rzeczy i nazwy i wszystko, co było własnością jakiegoś miasta, wybrzeża, stulecia, jako ich strój i maska, lecz wstawiali wskok zamiast tego coś terażniejszego i rzymskiego. Zdają się nas pytać: "Czyż nie powinniśmy ze starego coś nowego dla siebie uczynić i siebie zastosować do niego? Czyż nie powinniśmy tchnąć swej duszy w to martwe ciało? Martwe bo już jest teraz: a jakże szpetne jest wszystko, co martwe!". – Nie znali rozkoszy płynącej ze zmysłu historycznego; przeszłość i obcość była im przykra, ajako Rzymianom podniętą do rzymskiej zdobyczy. Rzeczywiście, zdobywano wówczas, przekładając – nie tylko w tym znaczeniu, że opuszczano ustępy historyczne: nie, wtrącano napomknienia o terażniejszości, wykreślano przede wszystkim nazwisko poety i kładziono miast niego swoje – nie odczuwając przy tym, że się popełnia kradzież, lecz z najczystszy sumieniem wielkiego *imperium Romanum*.

#### 84.

O pochodzeniu poezji. – Miłośnicy fantastyczności w człowieku, będący zarazem rzecznikami nauki o moralności instynktownej, wnioskuje tak: "Przypuszczając, że za wszech czasów czczono pożytek jako najwyższe bóstwo, to skąd u diabła wzięła się poezja, to urytmowanie mowy, które raczej jasności wypowiedzenia przeciwdziała, niż ją wspomaga, a które mimo to, jak wyszydzenie wszelkiej pożytecznej celowości, wytrysnęło wszędzie na ziemi i dotąd wytryska? Dzikie piękno nierozumu poezji zbija was, wy pożytkowcy! Właśnie chęć pozbycia się raz pożytku – ona to podniosła człowieka, ona natchnęła go moralnością i sztuką!". Otóż w tym względzie muszę raz przyjemność zrobić pożytkowcom – mają przecie tak rzadko słuszność, że aż litość bierze! W owych dawnych czasach, które powołały do życia poezję, miano w tym jednak pożytek na oku i to bardzo wielki pożytek, wówczas, gdy pozwolono wtargnąć w mowę rytmowi, owej potędze, która wszystkie atomy zdania na nowo porządkuje, każe słów dobierać i myśl na nowo zabarwia i ciemniejszą, bardziej obcą, dalszą czyni: oczywiście za bobonny pożytek! Rytm miał bogom głębiej wryć w pamięć ludzkie naleganie, skoro zauważono, że człowiek pamięta lepiej wiersz niż mowę niewiązaną. Zarówno mniemano, iż z pomocą rytmicznego tik-tak można być na większe odległości słyszany. Zdawało się, że urytmowana modlitwa głębiej wnuknie w uszy bogów. Przede wszystkim jednak chciano mieć pożytek z owej żywiołowej mocy podbijającej, której człowiek doświadcza, słuchając muzyki. Rytm jest przymusem; wytwarza niepokonalną chęć ulegania, zgadzania się; nie tylko nogi, lecz i sama dusza idzie za taktem – prawdopodobnie, tak wnioskowano, i dusza bogów! Próbowano więc zmuszać ich za pomocą rytmu i działać na nich przemocą: zarzucano na nich poezję, jako magiczną pętlę. Istniało jeszcze przedziwniejsze wyobrażenie, i ono może przyczyniło się najsilniej do powstania poezji. U Pitagorejczyków pojawia się ono, jako nauka filozoficzna i fortel

wychowawczy; lecz od dawna, zanim zjawili się filozofowie, przyznawano muzyce moc wyzwalania uczuć, oczyszczania duszy, łagodzenia *ferocia animi* [dzikości ducha] – i to właśnie przez rytmiczność w muzyce. Gdy właściwe napięcie i harmonia duszy znikły, musiano tańczyć w takt śpiewaka – to było receptą tej sztuki leczniczej. Z jej pomocą uśmierzył Terpander [VII w. p.n.e., grecki muzyk i poeta] rozruchy, poskromił Empedoklesa szaleńca, oczyścił Damona, młodzieńca chorego na miłość: z jej pomocą brano też dzikich, głodnych zemsty bogów na kurację. Przede wszystkim przez to, że doprowadzano odurzenie i rozkiełznanie ich uczuć do szczytu, więc szalonego do rozpasania, spragnionego zemsty do upojenia zemstą. Wszystkie orgiastyczne obrzędy pragną *ferocia* bóstwa za jednym wyładować zamachem i doprowadzić do orgii, aby potem czuło się wolniejszym i spokojniejszym i zostawiło człowieka w pokoju. *Melos* znaczy, wedle swego źródłosłowu, środek łagodzący, nie przeto, że sam jest łagodny, lecz że działanie jego wpływa łagodząco. – I nie tylko co do pieśni obrzędowej, lecz także co do pieśni świeckiej w najdawniejszych czasach przypuszczano, że rytmiczność wywiera moc magiczną, na przykład przy czerpaniu wody i wiosłowaniu: że pieśń rzuca czary na demonów, którzy, jak sobie wyobrażano, uczestniczą w tych zajęciach, że czyni ich uczynnymi, bezwolnymi i narzędziami człowieka. Przy każdej więc czynności nasuwa się powód do śpiewu – każda czynność związana jest z pomocą duchów; pieśń, działająca czarem, i zażegnania zdają się być postaciami pierwotnymi poezji. Jeśli i do wyroczni używano wiersza – Grecy twierdzili, że heksametr wynaleziono w Delfach – to i tu miał rytm wywierać przymus. Kazać sobie prorokować to znaczy pierwotnie (według wywodu greckiego słowa, który zdaje mi się prawdopodobny): kazać sobie coś przeznaczyć; wierzono bowiem, że przyszłość można wymusić przez pozyskanie sobie Apollina, jego, który wedle najstarszego wyobrażenia jest czymś więcej niż przewidującym bogiem. Formuła obowiązuje przyszłość tak, jak została wymówiona: zupełnie dosłownie i rytmicznie; formuła jednak jest wynalazkiem Apollina, który jako bóg rytmów, zobowiązać może boginie losu. – W ogóle wzięwszy, należy zapytać: czy istniało dla dawnego, zabobonnego rodzaju ludzi coś pożyteczniejszego nad rytm? Z jego pomocą można było wszystko: magicznie pracę wspomagać; Boga zmusić, by się zjawił, był blisko, przysłuchiwał się; urządzić sobie przyszłość wedle swej woli; własną duszę wyzwolić od jakiegoś nadmiaru (trwogi, szaleństwa, litości, zemsty) i nie tylko własną duszę, lecz dusze naj gorszych demonów – bez wiersza było się niczym, przez wiersz było się prawie bogiem. Takie zasadnicze uczucie nie da się już zupełnie wytepić – i dziś jeszcze, po tysiącletniej dłużej pracy na polu zwalczania takiego zabobonu, nawet naj mędrzy z nas dają czasem zakpić z siebie rytmowi, choćby przez to tylko, że za prawdziwszą uważa się myśl, która posiada formę metryczną i w boskich nadbiega podskokach. Czyż nie jest rzeczą bardzo zabawną, że ciągle jeszcze najpoważniejsi filozofowie, choćby zresztą nie wiedzieć jak surowo trzymali się wszelkiej pewności, powołują się na zdania poetów, by myśлом swym dodać siły i wiarogodności? A przecie niebezpieczniej jest dla jakiejś prawdy, jeśli poeta jej przytakuje, niż jeśli jej przeczy! Gdyż jak mówi Homer: "Wiele bo kłamią śpiewacy!"

85.

Dobro i piękno. – Artyści uświetniają nieustannie – nie czynią oni nic innego – a zwłaszcza wszystkie owe stany i rzeczy, o których ludzie mniemają, że wobec nich i w nich człowiek czuć się może dobrym lub wielkim, lub upojonym, lub wesołym, lub zdrowym, lub mądrym. Te wybrane rzeczy i stany, których wartość dla szczęścia ludzkiego uchodzi za pewną i oszacowaną, są przedmiotami artystów. Czarują oni zawsze, by podobne rzeczy odkryć i wciągnąć w dziedzinę sztuki. Chcę rzec: nie są oni sami taksatorami szczęścia i

rzeczy szczęśliwych, lecz cisną się zawsze w pobliże takich taksatorów z największą ciekawością i chęcią skorzystania natychmiast z ich ocen. Ponieważ zaś mają prócz swej niecierpliwości także silne płuca heroldów i nogi szybkobiegaczy, są zawsze jedni z pierwszych, którzy nowe dobro wysławiają i często uchodzą za tych, którzy je pierwsi dobrem nazywają, i jako dobro oceniają. Jest to jednak, jak się rzekło, błędem: są oni tylko szybsi i głośniejsi od prawdziwych taksatorów. A czymże są tamci? – Są to ludzie bogaci i próżniacy.

86.

O teatrze. – Dzień ten przyniósł mi znów silne i wzniosłe uczucia, a jeślibym tego wieczora mógł użyć muzyki i sztuki, to wiem dobrze, jakiej bym muzyki i sztuki nie chciał, mianowicie wszelkiej takiej, która słuchaczy swych pragnie oszołomić i podniecić do chwilowego silnego i wyniosłego uczucia – owych ludzi codzienności duchowej, podobnych wieczorem nie do zwycięzców na wozach tryumfalnych, lecz do mułów znużonych, których życie za często ćwiczyło batem. Cóżby ludzie ci wiedzieli w ogóle o "wyższych nastrojach", gdyby nie było oszałamiających środków i idealnych razów bicza! – a tak, mają swych dawców natchnienia, jak mają swoje wina. Lecz czymże jest dla mnie ich napój i ich upojenie! Po cóż natchnionemu wino! Co więcej, patrzy on z pewnego rodzaju wstrętem na środki i pośredników, którzy wytwarzać tu mają pewne działanie bez dostatecznej podstawy – małpowanie wysokiego przyływu duszy! – Jak to? Daje się kretowi skrzydła i dumnie o sobie mniemanie – przed spaniem, zanim wlezie do swej nory? Posyła się go do teatru i kładzie powiększające szkła na jego ślepe, znużone oczy? Ludzie, których życie nie jest "działaniem", lecz zajęciem, siedzą przed sceną i przyglądają się obcym istotom, dla których życie jest czymś więcej niż zajęciem? "A tak właśnie wypada, mówicie, to jest zabawne, tak przystoi ludziom posiadającym wykształcenie!" – Dobrze więc! W takim razie brak mi zbyt często wykształcenia: bo widok ten jest mi zbyt często wstrętny. Kto ma dosyć w samym sobie tragedii i komedii, będzie najchętniej trzymał się z dala od teatru; lub wyjątkowo cały ten przebieg teatr i publiczność i poetę wliczając – staje mu się właściwym tragicznym lub komicznym widowiskiem, tak, że wystawiana sztuka w porównaniu z tym nic prawie nie znaczy. Kto jest czymś jak Faust lub Manfred, cóż temu po Faustach i Manfredach teatralnych! – i z pewnością zastanawia go to jeszcze, że w ogóle wyprowadza się takie figury na scenę. Najsilniejsze myśli i namiętności przed obliczem tych, którzy niezdolni są do myśli i namiętności – jeno do odurzenia! I tam to jako środek do tego! A teatr i muzyka jako europejskie palenie haszyszu i żucie betelu! O, któż opowie nam całą historię narkotyków! – jest to prawie historia "wykształcenia", tak zwanego wyższego wykształcenia!

87.

O próżności artystów. – Sądzę, że artyści często nie wiedzą, co najlepiej wykonywać potrafią, ponieważ są zbyt próżni i zmysł swój zwrócili ku czemuś dumniejszemu, niż się być zdają te małe rośliny, które świeże, dziwne i piękne mogłyby w prawdziwej doskonałości rósć na ich ziemi. Co niedawno dobre było w ich ogrodzie i winnicy, straciło wartość w ich oczach, a miłość ich i ich rozumienie nierówną są miarą. Oto muzyk, który bardziej niż jakikolwiek muzyk mistrzem jest w wynajdowaniu dźwięków z królestwa cierpiących, uciśnionych, katowanych dusz i w udzielaniu mowy nawet niemym

zwierzętom. Nikt nie dorównywa mu w barwach późnej jesieni, w niewysłowienie wzruszającym szczęściu ostatniego, najostatniejszego, najkrótszego używania rozkoszy umie wynaleźć dźwięk na wyrażenie owych samotnych – niesamowitych północy duszy, kiedy przyczyna i skutek wytracone się zdają ze swych spodeł i każdej chwili coś "z nicości" powstać może; najszczęśliwiej ze wszystkich czerpie z głębokiego dna ludzkiego szczęścia i niejako z jego wypitego pucharu, gdzie najbardziej cierpkie i najwstrętniejsze krople zlały się ostatecznie z najśłodszyimi; zna owo znużone suwanie się duszy, która już ani skakać i lecieć, ani już iść nie może; posiada płochliwe spojrzenie zatajonego bólu, zrozumienia bez pociechy, rozłąki bez wyznania; co więcej, jako Orfeusz wszelkiej tajemnej niedoli jest większy niż ktokolwiek i przysporzył w ogóle sztuce niejedno, co dotąd wydawało się niewyraźne, a nawet sztuki niegodne, a słowami dało się jeno spłoszyć, nie ująć, niejedno maluczkie i mikroskopijne w duszy: jest on mistrzem tego, co maluczkie. Lecz on nim być nie chce? Jego charakter lubi raczej wielkie ściany i zuchwałe malarstwo ścienne! Uchodzi to jego uwagi, że duch jego ma inny smak i skłonność i najchętniej przesiaduje cicho w zakątkach zwalonych domów – tam, ukryty, sam przed sobą ukryty, maluje swe właściwe arcydzieła, które są wszystkie bardzo krótkie, często tylko na długość jednego taktu – tu dopiero staje się zupełnie dobry, wielki i doskonały, może tu jedynie. – Lecz on nie wie o tym! Jest za próżny, by to wiedzieć.

88.

Powaga w rzeczach prawdy – Powaga w rzeczach prawdy! Jakże różnie rozumieją ludzie te wyrazy! Te same właśnie zapatrywania i rodzaje dowodów i badania, policzone sobie przez myśliciela na karb płocności, której na swój wstyd uległ tej lub owej godziny – te same właśnie zapatrywania mogą w artyście, który się na nie natknął i chwilowo nimi żyje, obudzić świadomość, że teraz przejęła go najgłębsza powaga w rzeczach prawdy i że jest podziwu godne, jak to on, acz artysta, okazuje jednak zarazem najpoważniejsze pożądanie przeciwieństwa pozorów. Jest tedy możliwe, że ktoś właśnie swym patosem powagi zdradzi, jak powierzchownie i niewymagająco igrał dotąd duch jego w dziedzinie poznania. – I czyż nie jest wszystko, co bierzemy poważnie, naszym zdrajcą? Pokazuje ono, gdzie leżą nasze wagi, i do jakich rzeczy wag nie posiadamy.

89.

Teraz i niegdyś. – Cóż zależy na całej naszej sztuce dzieł sztuki, kiedy zaginęła nam owa wyższa sztuka, sztuka odświętna! Niegdyś wszystkie dzieła sztuki ustawione były przy wielkiej uroczystej drodze ludzkości, jako wspomnienia i pomniki wzniosłych i błogich chwil. Dziś chce się dziełami sztuki zwabiać biednych wyczerpanych i chorych z wielkiego ludzkiego gościńca cierpienia na ubocze, dla rozkosznej chwileczki; ofiaruje się im chwilowe odurzenie i szaleństwo.

90.

Światła i cienie. – Książki i pisma są u różnych myślicieli czymś różnym: jeden zgromadził w książce światła, które z promieni rozświetlającego poznania umiał szybko wykraść i zanieść do domu; inny daje tylko cienie, szaro-czarną odbitkę tego znowu, co dzień przedtem pobudowało się w jego duszy.

91.

Ostrożność. – Alfieri [1749-1803, włoski pisarz, autor tragedii o tematyce wolnościowej, autobiografii, dzienników i traktatów polemicznych], jak wiadomo, kłamał bardzo wiele, gdy swym zdumionym współczesnikom opowiadał dzieje swego życia. Kłamał z owego despotyzmu względem siebie, którego dowiódł na przykład w sposobie, w jaki tworzył sobie swój własny język i tyranizował się dla zostania poetą. Ostatecznie znalazł pewną surową formę wzniosłości, w którą wtłoczył życie swe i swoją pamięć: musiał mieć z tym wiele udręki. – Nie wierzyłbym też dziejom życia Platona, pisany przez niego samego: tak samo jak autobiografii Rousseau lub *vita nuova* Dantego.

92.

Proza i poezja. – Należy zauważyć, że wielcy mistrzowie prozy byli też prawie zawsze poetami, czy to jawnie czy też tylko w "czterech ścianach". I zaprawdę, tylko w obliczu poezji pisze się dobrą prozą! Gdyż ta jest nieustanną, grzeczną wojną z poezją; wszystkie powaby jej polegają na tym, że się ustawicznie poezję wymija i jej sprzeciwia; każde pojęcie oderwane chce być wygłoszone, jak wyrządzona jej psota i jakhy drwiącym głosem; każda oschłość i oziębłość ma wdzięczną boginię do pełnej wdzięku doprowadzić rozpacz; często zdarzają się zbliżenia, pojednania chwilowe i potem nagły odskok i wyśmianie; często podnosi się zasłona i wpada rażące światło, gdy właśnie bogini używa rozkoszy swych zmierzchów i barw przytłumionych; często słowo wyjęte z ust odśpiewywa się wedle jakiejś melodii, przy której ona wyczulone swe dłonie do wyczulonych przyciska uszu – i tak to istnieje tysiąc przyjemności wojny, a należą do nich i porażki, o których niepoetyczni, tak zwani ludzie prozaiczni, zupełnie nic nie wiedzą: ci też piszą i mówią tylko złą prozą! Wojna jest matką wszech dobrych rzeczy, wojna jest też dobrej prozy matką! Było czterech ludzi w tym stuleciu, którzy zbliżyli się do mistrzostwa w prozie (dla której zresztą wiek ten nie jest stworzony – z braku poezji, jak zaznaczono). Pomijając Goethego, do którego słusznie rości sobie prawo wiek, który go wydał, uznaję za godnych miana mistrzów prozy tylko [Jakuba Leopardiego](#), [Prospera Mérimée](#), [Ralfa Waldo Emersona](#) i [Waltera](#) Savage Landora, twórcę *Imaginary conversations*.

93.

Ależ czemu piszesz? – A: Nie należę do tych, którzy myślą z mokrym piórem w rękę; a jeszcze mniej do tych, którzy dopiero przed otwartym kałamarzem powierzają się swym namiętnościom, siedząc w krześle i wlepiając wzrok w papier. Gniewa mnie i wstydi wszelkie pisanie; pisanie jest dla mnie upokarzającą potrzebą – nawet w przenośni mówić o tym wstręt mnie bierze. B: Dlaczego więc piszesz? A: Mój drogi, mówiąc w zaufaniu, nie

znalazłem dotąd żadnego innego sposobu, by pozbyć się swoich myśli. B: A czemuż chcesz się ich pozbyć? A: Czemu chcę? Czyż chcę? Muszę. – B: Daj pokój! Daj pokój!

94.

Wzrost po śmierci. – Owe drobne zuchwałe słówka o sprawach moralnych, które Fontenelle rzucił w swych nieśmiertelnych rozmowach zmarłych, uchodziły swego czasu za dziwaczności i igraszki niebezpiecznego dowcipu; najwyżsi nawet sędziowie smaku i ducha nie widzieli w tym nic więcej – może nawet i sam Fontenelle. Otóż zdarza się coś nie do wiary: myśli te stają się prawdą! Wiedza je u d o w a d n i a ! Igraszka staje się rzeczą poważną! A my czytamy owe dialogi z innym uczuciem, niż je czytali Voltaire i Helvetius i mimo woli podnosimy ich twórcę do innego i o wiele wyższego rzędu duchów, niż to czynili owi – słusznie? Niesłusznie?

95.

[Chamfort](#). – Że taki znawca ludzi i tłumu, jak Chamfort, przyłączył się właśnie do tłumu, a nie pozostał na uboczu w filozoficznym wyrzeczeniu się i obronie, tego nie umiem sobie wyjaśnić inaczej, jak jeno w sposób następujący. Jeden instynkt był w nim silniejszy od mądrości i nie został nigdy zaspokojony, nienawiść ku wszelkiej *noblesse* krwi: może stara, zbyt łatwa do wytłumaczenia nienawiść jego matki, uświęcona w nim przez miłość dla niej – instynkt zemsty, rozwijający się w nim od jego lat chłopięcych, który oczekiwał godziny pomśzczenia matki. I oto kusiło go życie i jego geniusz i – ach! – może najbardziej krew ojcowska w jego żyłach, by stanąć w jednym szeregu i zrównać się z tą *noblesse* – przez długie, długie lata! Lecz w końcu nie mógł znieść dłużej swego własnego widoku "dawnego człowieka" pod dawnym *régime*, opanowała go gwałtowna namiętność pokuty i w pokucie przywdział szatę tłumu, jako swoją włosienicę! Przyczyną jego niepokoju sumienia była niedokonana zemsta. – Gdyby Chamfort był wówczas pozostał cokolwiek więcej filozofem, to by rewolucji było brak tragicznego dowcipu i najostrożniejszego żądła: uchodziłaby za daleko głębsze wydarzenie i nie uwiodłaby tylu duchów. Lecz na nienawiści i zemście Chamforta wychowało się całe pokolenie: a najdostojniejsi ludzie przeszli tę szkołę. Zważmy przecie, że [Mirabeau](#) spoglądał na Chamforta jako na swoją wyższą i dawniejszą samość, od której oczekiwał pobudek, przestróg i wyroków i znosił je – Mirabeau, który jako człowiek należy do rodzaju wielkości zgoła innego, jak najpierwsi nawet z wielkich wczorajszych i dzisiejszych mężów stanu. Dziwne, że mimo takiego przyjaciela i rzecznika – posiadamy przecie listy Mirabeau do Chamforta – najdowcipniejszy ten z wszystkich moralistów pozostał Francuzom obcy, tak samo jak Stendhal, który może ze wszystkich Francuzów tego stulecia posiadał najbardziej myślące oczy i uszy. Czy może dlatego, że ten ostatni miał w sobie zbyt wiele z Niemca i Anglika, by być paryżanom znośny? – gdy tymczasem Chamfort, człowiek bogaty w głębie i tła duchowe, posepny, cierpiący, płomienny – myśliciel, który uznał potrzebę śmiechu jako leczniczego środka przeciw życiu i który prawie ginął z każdym dniem, w którym się nie śmiał – zdaje się raczej Włochem i krewnym Dantego i Leopardiego, niż Francuzem! Znamy ostatnie słowa Chamforta: *Ah! Mon ami*, rzekł do Sieyêsa, *je m'en vais enfin de ce monde, où il faut, que le coeur se brise ou se bronze* [Och, mój przyjacielu, odchodzę wreszcie z tego świata, na którym serce człowieka musi się złamać albo stać się twarde niczym z brązu]. To nie są z pewnością słowa umierającego Francuza!

## 96.

Dwaj mówcy. – Z tych dwóch mówców jeden wydobywa całą rację swej sprawy dopiero wówczas, gdy powierza się namiętności: dopiero ona napędza mu dość krwi i gorąca do mózgu, by wzniosłą duchowość jego zmusić do objawienia się. Drugi usiłuje snadź tu i ówdzie to samo czynić: z pomocą namiętności wypowiedzieć swą rzecz pełnym dźwiękiem, potężnie i porywająco – lecz zazwyczaj ze złym skutkiem. Mówi wówczas zaraz ciemno i zawile, przesadza, opuszcza i wzbudza nieufność w rację swej sprawy: on sam nawet odczuwa przy tym tę nieufność i to wyjaśnia nagłe skoki w najzimniejsze i najbardziej odpychające dźwięki, budzące w słuchaczu wątpliwość, czy cała ta namiętność była szczerą. Namiętność za każdym razem przewycięża w nim ducha; może dlatego, że jest silniejsza niż w pierwszym. Lecz staje on na szczycie swojej siły, gdy opiera się napierającej burzy swego uczucia i niejako je wyszydza: wówczas dopiero występuje duch jego cały ze swego schowku, logiczny, drwiący, igrający, a przecie straszny duch.

## 97.

O gadatliwości pisarzy. – Bywa gadatliwość wywołana gniewem, częsta u Lutra, także u Schopenhauera. Gadatliwość z powodu zbyt wielkiego zasobu formuł pojęciowych, jak u Kanta. Gadatliwość wskutek uciechy z coraz nowych obrotów tej samej rzeczy: znajdziemy ją u Montaigne'a. Gadatliwość natur złośliwych: kto współczesne czytuje pisma, przypomni sobie przy tym dwóch pisarzy. Gadatliwość wywołana przez uciechę z obfitości trafnych słów i form językowych: nierzadka w prozie Goethego. Gadatliwość z czystego upodobania w zgiefku i zamęcie odczuwania: na przykład gadatliwość Carlyle'a.

## 98.

Na pochwałę Szekspira. – Najpiękniejsze, co bym rzec umiał na pochwałę Szekspira, jako człowieka, jest to: że wierzył w Brutusa i nie rzucił ani cienia nieufności na tego rodzaju cnotę! Jemu poświęcił najlepszą swoją tragedię – teraz jeszcze zwie się ją zawsze fałszywym mianem – jemu i najstraszniejszemu wcieleniu surowej moralności. Niezależność duszy – o to tu chodzi! Żadna ofiara nie może być za wielka: trzeba umieć poświęcić jej nawet swego najlepszego przyjaciela, choćby był w dodatku najwspanialszym nawet człowiekiem, ozdobą świata, niezrównanym geniuszem – jeśli się mianowicie wolność kocha jako wolność wielkich dusz i właśnie przez niego wolności tej grozi niebezpieczeństwo – w ten sposób musiał czuć Szekspir! Wyżyna, na której stawia Cezara, jest najpiękniejszą czcią, jaką mógł Brutusowi wyświadczyć; w ten dopiero sposób wynosi on do ogromu jego walkę wewnętrzną i zarazem siłę duchową, która ten węzeł rozciąć zdołała! – I czy rzeczywiście polityczna była ta wolność, która popchnęła poetę do współczucia z Brutusem – uczyniła współwinnym Brutusa? Czy też wolność polityczna była tylko symbolem czegoś niewyrażalnego? Czy stoimy może przed jakimś nieznanym, ciemnym wydarzeniem i przygodą własnej duszy poety, wydarzeniem, o którym tylko znakami mógł mówić? Czymże jest cała melancholia Hamleta wobec melancholii Brutusa! – a może Szekspir znał tę, jak znał tamtą, z doświadczenia! Może i on miał swą czarną godzinę i swego ciemnego anioła, jak

Brutus! – Cokolwiek jednak istnieć mogło z tego rodzaju podobieństw i tajemnych odniesień, to przed całą postacią i cnotą Brutusa padał Szekspir na ziemię i czuł się jej niegodny i daleki: świadectwo tego wpisał w swoją tragedię. Dwa razy wprowadził w niej poetę i dwa razy wylał na niego tak niecierpliwą i ostateczną pogardę, że brzmi to jak krzyk, jak krzyk pogardy dla samego siebie. Brutus, nawet Brutus traci cierpliwość, gdy występuje poeta, zarozumiały, patetyczny, natrętny, jak to poeci być zwykli, jako istota, zdająca się pęcznieć od możliwych wielkości, także obyczajowej wielkości, a jednak w filozofii czynu i życia dochodząca rzadko choćby do pospolitej uczciwości. "Gdy przyjdzie w swoim czasie, to zniosę jego widzimi się – precz z tym dzwonkowym błaznem!" – woła Brutus. Zastosujmy to teraz do duszy poety, który to pisał.

99.

Zwolennicy Schopenhauera. – Przy zetknięciu ludów cywilizowanych z barbarzyńskimi spostrzega się, że kultura niższa przyjmuje zazwyczaj od wyższej przede wszystkim jej występki, słabości i przebujałości, one wywierają na nią urok i wreszcie za pośrednictwem tych występków i słabości spływa na nią nieco cennej siły wyższej kultury. Można się temu przyjrzeć i z bliska, i bez podróży do ludów barbarzyńskich, oczywiście w nieco subtelniejszej i bardziej duchowej szacie i pod postacią nie tak łatwo uchwytną. Bo cóż zwykli przyjmować od swego mistrza zwolennicy Schopenhauera w Niemczech, którzy w porównaniu z jego wysoką kulturą muszą wydawać się sobie barbarzyńcami i po barbarzyńsku też jego ulegać czarowi i sile uwodnej? Czy sprawia to jego nieubłagany zmysł rzeczowości, jego stałe dążenie do jasności i rozumu, że wydaje się on często tak Anglikiem, a tak mało Niemcem? Czy siła jego intelektualnego sumienia, które wytrzymało całe życie trwającą sprzeczność pomiędzy istnieniem a wolą i zmusiło go do tego, że i w pismach swoich ustawicznie i prawie na każdym punkcie sprzeciwia się sobie? Czy nieskazitelność jego w rzeczach Kościoła i chrześcijańskiego Boga? – bo w tym był nieskazitelny jak żaden dotąd filozof niemiecki, żył bowiem i umarł "jak wolterianin". Czy jego nieśmiertelne nauki o intelektualności wyobrażenia, o aprioryczności prawa przyczynowości, o narzędziowej naturze intelektu i niewolności woli? Nie, to wszystko nie czaruje i nie wywiera czarującego wrażenia: lecz mistyczne zakłopotania i wybiegi Schopenhauera w owych miejscach, gdzie myśliciel, uznający tylko fakty, daje się uwieść i popsuć próżnemu popędowi, by stać się odgadywaczem świata; niedająca się dowieść nauka o jednej woli ("wszystkie przyczyny są tylko okolicznościowymi przyczynami objawu woli w tym czasie, na tym miejscu", "wola życia istnieje w każdej istocie cała i niepodzielna, tak zupełna, jak we wszystkich razem, które były, są i będą"), zaprzeczenie istnienia indywiduum ("wszystkie lwy są w gruncie rzeczy jednym lwem", "wielość indywiduów jest tylko pozorem", tak jak rozwój jest tylko pozorem – nazywa on myśl Lamarcka "genialnym, nedorzecznym błędem"), marzenie o geniuszu ("w estetycznym wyobrażeniu indywiduum przestaje być indywiduum, jest jeno czystym, bezwolnym, bezbolesnym, bezczasowym podmiotem poznania"; "podmiot, roztapiając się zupełnie w wyobrażanym przedmiocie, stał się sam tym przedmiotem"; nedorzecznosc o litości i o umożliwieniu przez nią przełamania *principii individuationis* [zasady jednostkowienia] jako źródle moralności, a tutaj należą takie twierdzenia: "śmierć jest właściwie celem istnienia", "nie da się właściwie *a priori* zaprzeczyć możliwości, że pewne magiczne działanie mogłoby też pochodzić od kogoś już umarłego": te i tym podobne przebujałości i występki filozofa przyjmuje się zawsze nasamprzód i czyni artykułem wiary. Przebujałości bowiem i występki naśladować zawsze najłatwiej, gdyż nie wymagają one żadnego długiego ćwiczenia. Lecz mówmy o najślawniejszym z żyjących

zwolenników Schopenhauera, o Ryszardzie Wagnerze. – Przydarzyło mu się, co niejednemu już zdarzyło się artyście: chybił w wykładzie postaci, które stworzył, i nie zrozumiał niewypowiedzianej filozofii swej własnej sztuki. Ryszard Wagner dał się aż do połowy swego życia wodzić po manowcach Heglowi; uczynił to raz jeszcze, wyczytując później naukę Schopenhauera ze swych postaci i począwszy "woła", "geniuszem" i "litością" formułować samego siebie. Mimo to pozostanie prawdą, że nic nie jest tak bardzo przeciwne duchowi Schopenhauera, jak to, co jest właściwie wagnerowskiego w bohaterach Wagnera – mam na myśli niewinność najwyższego samolubstwa, wiarę w wielką namiętność, jako w dobro samo w sobie, jednym słowem zygfydowość w twarzach jego bohaterów. "Wszystko to czuć raczej jeszcze Spinozą niż mną" – rzekłby był może Schopenhauer. Aczkolwiek więc Wagner dostateczne miał powody oglądania się właśnie na innych filozofów, nie zaś na Schopenhauera, to czar, któremu w stosunku do tego myśliciela ulegał, uczynił go ślepym nie tylko na wszystkich innych filozofów, lecz nawet na wiedzę samą. Coraz bardziej cała sztuka jego pragnęła stać się dobudówką i uzupełnieniem filozofii Schopenhauerowskiej i coraz bardziej zrzuca się wyższej ambicji, by być przybudówką i uzupełnieniem ludzkiego poznania i wiedzy. A nęci go do tego nie tylko cały tajemniczy przepych tej filozofii, który by nęcił był i [Cagliostro](#); także niektóre gesty i pasje filozofa były snadź uwodzicielami! Schopenhauerowski jest na przykład gniew Wagnera na zepsucie języka niemieckiego; i jeśli w tym wypadku należy naśladownictwo nazwać dobrym, to jednak nie można też przemilczeć, że styl Wagnera sam choruje niemało na wszystkie wrzody i opuchliny, których widok tak wściekał Schopenhauera i że ze względu na piszących po niemiecku wagnerystów wagneryzm zaczyna okazywać się równie niebezpieczny, jak chyba tylko był sam heglizm. Schopenhauerowska jest nienawiść Wagnera do Żydów, którym nawet za ich największy czyn nie umiał oddać sprawiedliwości: Żydzi są przecie wynalazcami chrześcijaństwa! Schopenhauerowskie jest usiłowanie pojmovania chrześcijaństwa jako przywianego ziarna buddyzmu, i chęć przygotowywania dla Europy, wśród tymczasowego zbliżenia do katolicko-chrześcijańskich formuł i uczuć, buddyjskiego okresu. Schopenhauerowskie jest kazanie Wagnera o miłosierdziu dla zwierząt; Schopenhauera poprzednikiem w tej sprawie był, jak wiadomo, Voltaire, który też już może, jak jego następcy, umiał nienawiść swą do pewnych rzeczy i ludzi przebierać w płaszczyk miłosierdzia dla zwierząt... Przynajmniej nienawiść Wagnera do wiedzy, przemawiająca z jego kazania, nie jest z pewnością natchnięta duchem miłosierdzia i dobroci – ani też w ogóle duchem, jak się samo przez się rozumie. – Mało zresztą zależy na filozofii artysty, jeśli jest właśnie tylko filozofią dodatkową i sztuce jego żadnej nie wyrządza szkody. Nie można się nigdy dość wystrzegać, by nie brać za złe artyście okolicznościowej, może bardzo nieszczęśliwej i zarozumiałej maskarady; nie zapominajmy przecie, że mili artyści wszyscy razem i każdy z osobna są nieco aktorami i być nimi muszą, i bez aktorstwa trudno by im było czas dłuższy wytrzymać. Pozostańmy Wagnerowi w tym wierni, co w nim jest prawdziwego i pierwotnego – a mianowicie w tym, że my, uczniowie jego, samym sobie zostaniemy wierni, temu, co w nas jest prawdziwego i pierwotnego. Pozostawmy mu jego intelektualne widzimisię i spazmy, a rozważmy raczej sprawiedliwie, jak rzadkie strawy i potrzeby takiej sztuce, jak jego, mieć wolno, by mogła żyć i wzrastać! Nic nie szkodzi, że jako myśliciel tak często nie ma słuszności; słuszność i cierpliwość nie jego są rzeczą. Dość, że życie jego przed sobą samym ma słuszność, i że ją zachowuje, to życie, które na każdego z nas woła: "Bądź mężem i nie idź za mną jeno za sobą! Jeno za sobą!". Niech i nasze życie zachowa przed nami swe słuszne prawo! I my bądźmy wolni i nieustraszeni, w niewinnej samorodności z siebie samych rosnijmy i kwitnijmy! I oto, gdy spoglądam na takiego człowieka, dzwonią mi w ucho, dziś jeszcze, jak niegdyś te same zdania: "że namiętność lepsza jest od stoicyzmu i obłudy, że być uczciwym, nawet w złym, to lepiej, niż zatracić samego siebie w obyczajności przekazanej zwyczajem, że wolny człowiek może być równie zły jak dobry, że jednak niewolny człowiek jest hańbą

natury i nie uczestniczy w żadnej niebiańskiej czy ziemskiej pociesze; wreszcie, że każdy, kto chce być wolny, musi się stać nim przez samego siebie i że nikomu wolność, jak dar cudowny, nie spadnie w podótek!" (*Ryszard Wagner w Bayreuth*, I, 585).

100.

Nauka hołdowania. – Ludzie uczyć się muszą tak samo hołdu, jak pogardy. Każdy, kto idzie nowymi drogami i wielu na nowe prowadził drogi, odkrywa ze zdumieniem, jak niezgrabni i jak ubodzy są ci liczni w wyrazie swej wdzięczności, a nawet jak rzadko w ogóle wdzięczność ich objawić się umie. Zda się, że zawsze, gdy chce przemówić, coś jej w gardle staje, tak że tylko charczy i wśród charczenia milknie. Sposób, w jaki myśliciel odczuwa działanie swych myśli, ich przekształcającą i wstrząsającą moc, jest nieledwo komedią: niekiedy wygląda to, jakby ci, na których się podziałało, czuli się w gruncie rzeczy tym obrażeni i jakby swoją zagrożoną, jak się lękają, samoistość umieli tylko w przeróżnych wyrazić nieprzystojnościach. Potrzeba całych pokoleń, by wynaleźć choćby tylko uprzejmy sposób umowny podziękowania; i dopiero bardzo późno nastaje owa chwila, kiedy nawet we wdzięczność wchodzi pewnego rodzaju duch i genialność. Wtedy znachodzi się zazwyczaj ktoś, kto staje się wielkim odbiorcą wdzięczności, nie tylko za to, co sam dobrego uczynił, lecz najbardziej za to, co stopniowo nagromadzili poprzednicy jego, jako skarb tego, co najwyższe i najlepsze.

101.

Voltaire. – Wszędzie, gdzie istniał jakiś dwór, istniało prawidło dobrego mówienia, a przez to też prawidło stylu dla wszystkich piszących. Atoli mowa dworska jest mową dworaka, który nie posiada żadnego zawodu i który wzbrania się nawet w rozmowach o sprawach wiedzy używać wszelkich wygodnych wyrazów technicznych, ponieważ tracą zawodem; dlatego wszelki wyraz techniczny i wszystko, co zdradza specjalistę, jest w krajach kultury dworskiej kalaniem stylu. Dziś, gdy wszystkie dwory stały się karykaturami czasów dawnych i dzisiejszych, zdumiewamy się, że nawet Voltaire był na tym punkcie niesłychanie ostry i skrupulatny aż do dziwactwa (na przykład w sądzie o takich stylistach jak Fontenelle i [Montesquieu](#)) – bo wyemancypowaliśmy się właśnie wszyscy ze smaku dworskiego, gdy tymczasem Voltaire był jego ideałem!

102.

Słódko do filologów. – Że istnieją książki, tak wartościowe i królewskie, że całe pokolenia uczonych dobrze są użyte, jeśli ich trud utrzymuje te książki w czystości i zrozumiałości; dla ciągle nowego utwierdzenia tej wiary istnieje filologia. Przypuszcza ona z góry, że nie zbraknie owych rzadkich ludzi (jeśli ich od razu nie widać), którzy rzeczywiście umieją skorzystać z tych drogocennych książek – będą to zapewne ci, którzy sami podobne książki tworzą lub tworzyć by mogli. Chciałem rzec, iż filologia opiera się na szlachetnej wierze – że dla korzyści kilku nielicznych, którzy w końcu "zjawiają się", a których nie ma,

należy przedsięwziąć ogromną moc przykrej, nawet nieczystej roboty; jest to praca *in usum Delphinorum* [na użytek ludzi młodych (właśc. *in usum Delphini* – na użytek Delfina, francuskiego następcy tronu)].

103.

O muzyce niemieckiej. – Muzyka niemiecka jest już teraz dlatego bardziej muzyką europejską niż każda inna, ponieważ jedynie w niej została wyrażona owa przemiana, której Europa doznała wskutek rewolucji francuskiej: tylko niemieccy muzycy znają się na wyrazie wzburzonych tłumów ludowych, na owym potwornym, sztucznym zgiełku, który nie musi być nawet zbyt głośny – gdy tymczasem na przykład opera włoska zna tylko chóry sług lub żołnierzy, nie zaś lud. Pochodzi to stąd, że we wszelkiej muzyce niemieckiej dosłuchać się można głębokiej, mieszczańskiej zazdrości, jaką wzbudza noblesse, a mianowicie esprit i elegancja, jako wyraz dworskiej, rycerskiej, starej, pewnej siebie społeczności. Nie jest to wcale muzyka, jak owa Goethowskiego śpiewaka przed bramą, podobająca się też "w sali" i to królowi; tu nic można powiedzieć: *die Ritter schauen muthig drein, und in den Schoss die Schönen* [Rycerze patrzyli dziarsko weń, a na rycerzy damy – J.W. Goethe *Śpiewak*]. Już gracja występuje w muzyce niemieckiej nie bez nalotu wyrzutów sumienia; dopiero wobec wdzięku, wiejskiej siostry gracji, zaczyna Niemiec czuć się zupełnie moralnym – i odtąd coraz bardziej aż do wyżyn swej marzycielskiej, uczonej, często niedźwiedziowatej "wzniosłości", beethovenowskiej wzniosłości. Jeśli sobie wyobrazić pragniemy człowieka stworzonego do tej muzyki, to wyobraźmy sobie właśnie Beethovena i jak to on wygląda obok Goethego, podczas owego spotkania w Cieplicach; jak półbarbarzyńca obok kultury, jak lud obok szlachty, jak człowiek dobrotliwy obok dobrego i bardziej jeszcze niż "dobrego" człowieka, jak fantasta obok artysty, jak pocieszenia głodny obok pocieszonego, jak lubiący przesadzać i podejrzewać obok sprawiedliwego, jak dziwak i samodręczyciel, jak błazeńsko zachwycony i błogo nieszczęśliwy, serdecznie niepowściągliwy, jak zarozumiały i niezgrabny – i, w całości, jak "człowiek niepohamowany": tak też odczuł i określił go sam Goethe [Goethe spotkał się z Beethovenem w Cieplicach (w Czechach) w sierpniu 1812 r. Wyrażenie *ungebändigte Persönlichkeit* znajduje się w liście Goethego do Zeltera (przyp. tłum.)], Goethe wyjątkowy Niemiec, dla którego nie wynaleziono jeszcze równej mu rodem muzyki! – W końcu trzeba jeszcze rozważyć, czy nie należy owej coraz szerzej grasującej pogardy dla melodii i owego zniedołężnienia melodyjnego zmysłu u Niemców rozumieć jako demokratycznej nieprzystojności i oddziaływania rewolucji. Melodia bowiem zdradza tak jawną radość z prawności, a taką odrazę do wszystkiego stającego się, nieukształconego, do wolnego, że brzmi jak dźwięk z dawnego porządku europejskich spraw i jak uwiedzenie i wsteczność.

104.

O dźwięku mowy niemieckiej. – Wiadomo, skąd pochodzi niemczyzna, która od kilku stuleci stała się niemczyzną pisemną. Niemcy ze swą czcią dla wszystkiego, co pochodziło ze dworu, brali sobie pilnie we wszystkim, co pisać mieli, a więc w listach, dokumentach, ostatecznych wolach itd. za wzór kancelarie. Pisać kancelaryjnie, znaczyło pisać po dworsku, po rządowemu – było to coś wytwornego, w porównaniu z niemczyzną miasta, w którym się mieszkało. Stopniowo wyciągano konsekwencję i mówiono tak jak pisano – przez to było się jeszcze wytworniejszym, w formach słownych, w doborze słów i zwrotach, a wreszcie i w dźwięku; afektowano dźwięk słów, gdy mówiono, w końcu afektacja stała się

naturą. Może nigdzie nie wydarzyło się nic podobnego: przemoc stylu pisemnego nad mową, przesada i wytwoniosciostwo całego narodu jako podwalina języka powszechnego, już nie gwary. Sądzę, iż dźwięk niemieckiej mowy był w średniowieczu, a zwłaszcza po średniowieczu zasadniczo chłopski i pospolity; uszlachetnił się on nieco w ostatnich stuleciach, głównie przez to, że trzeba było naśladować tak wiele dźwięków francuskich, włoskich i hiszpańskich, a czynić to właśnie musiała niemiecka (i austriacka) szlachta, która nic mogła się wcale zadowolić językiem ojczystym. Lecz dla Montaigne'a, a bardziej jeszcze Racine'a, musiał język niemiecki mimo to ćwiczenie mieć brzmienie nieznośnie prostackie; a nawet dziś brzmi on w ustach podróżnego, pośród włoskiego tłumu, zawsze jeszcze bardzo surowo, po leśnemu, zachryple, jakby pochodził z dymnych izb i niegościnnych okolic. – Otóż zauważam, że obecnie znowu pośród dawnych podziwiaczy kancelarii grasuje podobna dążność do wytworności dźwięku i że Niemcy poczynają ulegać pewnemu szczególnemu "czarowi dźwięku", który trwając czas dłuższy, mógłby się stać prawdziwym niebezpieczeństwem mowy niemieckiej – gdyż obrzydliwszych dźwięków szukać w Europie próżno. Coś szyderczego, zimnego, obojętnego, niedbałego w głosie: to brzmi teraz Niemcom "wytwornie". I słyszę dobrą wolę względem tej dostojności w głosach młodych urzędników, nauczycieli, kobiet, kupców; nawet małe dziewczątka naśladowują już tę oficerską niemczyznę. Gdyż oficer, i to pruski, jest wynalazcą tych dźwięków, ten sam oficer, który jako żołnierz i zawodowiec posiada ów podziwu godny takt skromności, mogącej za wzór służyć wszystkim Niemcom razem (wliczając w to niemcekich profesorów i muzyków!). Lecz skoro tylko zacznie mówić i poruszać się, staje się najnieskromniejszą i najniesmacniejszą figurą w starej Europie – w nieświadomości własnej, bez wątpienia! I w nieświadomości dobrych Niemców, którzy podziwiają w nim męża z najlepszego i najwytworniejszego towarzystwa i chętnie pozwalają mu "ton sobie nadawać". On to też czyni! – a przede wszystkim wachmistrze i podoficerowie naśladowują ton jego i pogrubiają go. Zwróćcie uwagę na wykrzyki komendy, które formalnie napełniają rykiem wszystkie miasta niemieckie, dziś, kiedy u wszystkich bram odbywa się ćwiczenia, co za buta, co za wściekłe uczucie władzy, co za szyderczy chłód bije z tego ryku! Mająż Niemcy rzeczywiście stać się muzykalnym narodem? To pewne, że Niemcy militaryzują się teraz w dźwięku swej mowy, prawdopodobnie, wćwiczwszy się w wojskowe mówienie, będą wreszcie i po wojskowemu pisać. Bo nawyknienie do pewnych dźwięków wchodzi głęboko w charakter; posiadać się będzie wkrótce słowa i zwroty, a ostatecznie i myśli, które do tych dźwięków przystają! Może pisze się dziś już po oficersku; może czytam tylko za mało z tego, co się teraz w Niemczech pisze. Lecz jedno wiem tym pewniej: ogłaszane jawnie niemieckie głosy, które przenikają i za granicę, nic są natchnione przez niemiecką muzykę, lecz przez ów właśnie nowy dźwięk wstrętnej smakowi buty. Prawic w każdej mowie pierwszego niemieckiego męża stanu, a nawet wtedy, gdy rozbrzmiewa przez tubę królewską, jest akcent, który ucho cudzoziemca z odrazą odrzuca: lecz Niemcy go znoszą – znoszą samych siebie.

105.

Niemcy jako artyści. – Gdy Niemiec rzeczywiście raz popadnie w namiętność (a nie tylko, jak zwyczajnie, w dobrą wolę względem namiętności!) to zachowuje się w niej tak, jak właśnie musi, i nie myśli już o swoim zachowaniu. Prawdą jednak jest, że zachowuje się wówczas bardzo niezgrabnie i szpetnie i jakby bez taktu i melodii, tak, że widzowie uczuwają wtedy przykrość i wzruszenie i nic więcej – chyba, że wzniesie się do podniosłości i zachwycenia, do których pewne namiętności są zdolne. Wtedy nawet Niemiec staje się piękny! Przeczucie tego, na jakiej wyżynie dopiero piękność swe czary nawet na

Niemców zlewa, popycha artystów niemieckich w wyżyny i podniebia, i w wybujałość namiętności: więc rzeczywiste, głębokie pożądanie wyrwania się z brzydoty i niezgrabności, przynajmniej wyjrzenia z nich – hen ku lepszemu, lżejszemu, bardziej południowemu, słonecznemu światu. Siły ich są więc często tylko oznakami, że chcieliby tańczyć: te biedne niedźwiedzie, w których igrają ukryte nimfy i bogi leśne – a czasem i wyższe bóstwa!

106.

Muzyka jako orędowniczka. – "Pragnę jakiegoś mistrza sztuki dźwiękowej, rzekł nowator do swego ucznia, by przejął ode mnie myśli moje i wypowiedział je potem w swej mowie: tak wnknę lepiej ludziom w serca i uszy. Dźwiękami można skusić ludzi do każdego błędu i każdej prawdy: któż by zdołał obalić ton?" – "Więc chciałbyś nie ulegać obaleniu?" – zapytał uczeń. Nowator odparł: "Chciałbym, by kiełek wyrósł w drzewa. By nauka jakaś wyrósł mogła w drzewo, trzeba, by dłuższy czas w nią wierzone: by w nią wierzone, musi uchodzić za nieulegającą obaleniu. Drzewu potrzeba burz, wątpliwości, robactwa, złości, by mogło objawić rodzaj i siłę swego kiełku; niech się złamie, jeśli nie jest dość silne! Lecz kiełek zostaje zniszczony – nie obalony!". – Gdy to rzekł, zawołał uczeń jego z zapalem: "Lecz ja wierzę w twą sprawę i uważam ją za tak silną, że powiem wszystko, wszystko, co jeszcze mam przeciw niej na sercu". – Nowator uśmiechnął się w sercu swoim i pogroził mu palcem. "Tego rodzaju uczniostwo, rzekł potem, jest najlepsze, lecz jest niebezpieczne, i nie każdy rodzaj nauki je znosi".

107.

Nasza ostatnia wdzięczność dla sztuki. – Gdybyśmy nie byli nazwali sztuk dobrymi i nie wynaleźli tego rodzaju kultu nieprawdziwości: to udzielone nam teraz przez wiedzę zrozumienie powszechnej nieprawdziwości i kłamliwości – zrozumienie złudy i błędu jako warunku poznającego i odczuwającego istnienia – nie byłoby wcale do wytrzymania. Rzetelność wiodłaby w orszaku swym wstręt i samobójstwo. Tak jednak ma rzetelność nasza przeciwagę, która pomaga nam do wyminięcia takich konsekwencji: sztukę, jako dobrą wolę względem złudy. Nie zawsze wzbraniamy swemu oku zaokrąglać i do końca dosnuwać: i wtedy to już nie niedoskonałość wieczną przenosimy przez rzekę stawania się, wtedy zdaje się nam, że niesiemy boginię i jesteśmy dumni i dziecięcy w tej posłudze. Jako zjawisko estetyczne jest nam istnienie zawsze jeszcze znosne, i sztuka dała nam oko i rękę, a przede wszystkim czyste sumienie po to, byśmy z siebie samych takie zjawiska uczynić mogli. Musimy czasowo wypocząć po sobie przez to, że patrzymy na siebie w dal i w dół, i z artystycznej dali śmiejemy się z siebie i płacemy nad sobą: musimy odkryć bohatera i tak samo błazna, tkwiącego w naszej namiętności poznania, musimy radować się kiedy niekiedy ze swego nierozumu, byśmy umieli być radzi swojej mądrości! I właśnie, ponieważ w najdalszej głębi swej jesteśmy ludźmi ciężkimi i poważnymi i bardziej ciężarami niż ludźmi, przeto w niczym nie czujemy się tak dobrze, jak w czapce błazeńskiej: potrzebujemy jej wobec siebie samych – potrzebujemy wszelkiej junaczej, bujającej, tańczącej, drwiącej, dziecinnej i błogiej sztuki, by nie stracić owej wolności ponad rzeczami, której żąda od nas nasz ideał. Byłoby dla nas cofnięciem się, popaść właśnie ze swoją wrażliwą rzetelnością całkiem w moralność i gwoli przesrogim wymaganiom, które na tym punkcie sobie stawiamy, nawet jeszcze samym stać się cnotliwymi potworami i

straszydłami na ptaki. Powinniśmy móc stać ponad moralnością i nic tylko stać z trwożną sztywnością takiego, który boi się każdej chwili poślizgnąć i spaść, lecz także ponad nią bujać i igrać! Jakże moglibyśmy, mając to na celu, obyć się bez sztuki, bez błazna? – A dopóki jeszcze wstydzicie się siebie samych, nie należycie do nas!

## Wiedza radosna

### Księga trzecia

108.

Nowe walki. – Po śmierci Buddy pokazywano jeszcze przez stulecie cień jego w jaskini – olbrzymi, straszliwy cień. Bóg umarł: lecz taki jest już rodzaj ludzki, iż będą może jeszcze przez stulecia istniały jaskinie, w których będą pokazywali cień jego. – A my – my musimy jeszcze cień jego zwyciężyć!

109.

Strzeżmy się! – Strzeżmy się myśli, że świat jest żywą istotą. W jakim kierunku miałby się rozrastać? Czym by się żywił? Jakże by rósł i rozmnażał się? Wiemy przecie prawie, czym są twory organiczne: i mielibyśmy to coś niewymownie wtórne, późne, rzadkie, przypadkowe, co spostrzegamy tylko na skorupie ziemskiej, brać za coś istotnego, powszechnego, wiecznego, wzorem tych, którzy wszechświat zwą organizmem? Wstręt mnie przed tym bierze! Wystrzegajmy się już nawet wiary, że wszechświat jest maszyną; nie jest on z pewnością zbudowany w jednym tylko celu, wyrządzamy mu tym słowem "maszyna" zbyt wielki zaszczyt. Strzeżmy się przypuszczać w ogóle i wszędzie coś tak foremne, jak kołowe ruchy sąsiadujących z nami gwiazd; już spojrzenie na drogę mleczną budzi podejrzenie, czy nie ma tam ruchów o wiele dzikszych i sprzeczniejszych, zarazem czy nie ma gwiazd o wiecznych prostoliniowych kolejach spadania i tym podobnych. Ład gwiazdny, w którym żyjemy, jest wyjątkiem; ten ład i wcale duży przeciąg czasu, przezeń umożliwiony, umożliwiły znowu wyjątek z wyjątku: wykształcenie życia organicznego. Ogólny charakter świata jest przeciwnie chaosem po wszystkie wieki, nie w znaczeniu zbywającej konieczności, lecz zbywającego ładu, rozczłonkowania, formy, piękności, mądrości i jak tam jeszcze zwą się wszystkie nasze estetyczne człowieczości. Sądząc ze stanowiska naszego rozumu, to nieudane rzuty są nieomal powszechnym prawidłem, wyjątki nie są tajnym celem, a cała zabawka powtarza wiecznie swą zwrotkę, której za nic melodią nazwać nie można – a ostatecznie i słowo "nieudany rzut" jest już ucłowieczeniem, które zawiera w sobie naganę. Lecz jakże możemy ganić lub chwalić wszechświat. Strzeżmy się pomawiać go o bezlitosność lub nierozum, lub o ich przeciwieństwa: nie jest on ani doskonały, ani piękny, ani szlachetny i nie chce nic o tym wszystkim wiedzieć, nie dąży wcale do naśladowania człowieka! Nie dotyka go wcale żaden z naszych estetycznych i moralnych sądów! Nie ma on też żadnego popędu samozachowawczego, ani żadnych w ogóle popędów; nie zna też żadnych praw. Strzeżmy się mówić, że istnieją prawa w przyrodzie. Są tylko konieczności: nie ma ani tego, kto rozkazuje, ani tego, kto słucha, ani tego, kto wykracza. Jeśli wiecie, że nie ma wcale celów, to wiecie

też, że nie ma przypadku: bo tylko w świecie celów ma sens słowo "przypadek". Wystrzegajmy się też mówić, że śmierć jest przeciwna życiu. Co żyje, jest tylko rodzajem tego, co martwe i to rodzajem bardzo rzadkim. – Strzeżmy się myśli, że świat stwarza wiecznie coś nowego. Nie ma wcale wiecznotrwałych substancji: materia jest właśnie takim samym błędem, jak bóg eleatów. Lecz kiedyż dojdziemy do końca ze swoją ostrożnością i przezornością? Kiedyż przestaną nas już zaciemniać te wszystkie cienie Boga? Kiedyż odbóstwimy zupełnie przyrodę! Kiedyż będziemy mogli zacząć unaturalniać siebie, ludzi wraz z czystą nowo odkrytą, na nowo wyzwoloną naturą!

110.

Pochodzenie poznania. – Intelkt nie wytwarzał przez długie okresy czasu nic, oprócz błędów; niektóre z nich okazały się pożytecznymi i sprzyjającymi zachowaniu rodzaju; kto się na nie natknął lub je odziedziczył, toczył swój bój za siebie i swych następców z większym szczęściem. Takie błędne wierzenia, które dziedzicznie przechodziły coraz dalej i wreszcie stały się prawie zasadniczą treścią rodzaju ludzkiego, to te na przykład: że są rzeczy trwałe, że są rzeczy równe, że są rzeczy, materie, ciała, że rzecz jakaś jest tym, czym się wydaje, że wola nasza jest wolna, że co dla mnie jest dobre, jest też dobre w sobie i dla siebie. Bardzo późno dopiero wystąpili przeczyciele i wątpiciele, co do takich zdań – bardzo późno dopiero wystąpiła prawda, jako najzawodniejsza forma poznania. Zdawało się, że niemożliwe będzie z nią żyć, organizm nasz urządony był dla jej przeciwieństwa; wszystkie jego wyższe funkcje, spostrzeżenia zmysłów i wszelki rodzaj odczuwania w ogóle, pracowały owymi prastarymi, wcielonymi błędami zasadniczymi. Co więcej: zdania owe stały się nawet w zakresie poznania normami, którymi mierzono "prawdziwość" i "nieprawdziwość" – aż w najodleglejsze dziedziny czystej logiki. Więc: siła poznania nie leży w jego stopniu prawdy, lecz w jego starości i w jego wcieloności, jego charakterze warunku życia. Kiedy zdawało się, że życie i poznanie sobie przeczą, nigdy nie walczone poważnie; przeczenie i wątpienie uchodziły wtedy za szaleństwo. Owi wyjątkowi myśliciele, jak np. eleaci, którzy mimo to, iż wykazywali i podtrzymywali sprzeczności błędów naturalnych, wierzyli, iż możliwe jest też przeżywać to przeciwieństwo: wynaleźli mędrca, jako człowieka niezmiennego, bezosobistego i uniwersalnego patrzenia, jako jedno i wszystko zarazem, z sobie właściwą zdolnością do owego odwróconego poznania; wicrzyli, że ich poznanie jest zarazem zasadą życia. By jednak wszystko to twierdzić mogli, musieli też ludzić się co do swego własnego stanu: musieli zmyślać sobie bezosobistość i trwałość bez zmiany, nie rozumieć istoty poznającego, zaprzeczać potęgi popędów w poznaniu i pojmować w ogóle rozum jako zupełnie wolną, zrodzoną z samej siebie działalność, aktywność; zasłaniali sobie oczy na to, że i oni w sprzeciwianiu się wartościom, będącym w obiegu, lub w pożądaniu spokoju, lub wyłącznego posiadania, lub władztwa doszli do swoich twierdzeń. Wyższy rozwój rzetelności i sceptycyzmu uczynił w końcu i tych ludzi niemożliwymi, a życie ich i sądy okazały się także zależne od prastarych popędów i błędów zasadniczych wszelkiego, czuciem obdarzonego istnienia. – Owa wyższa rzetelność i sceptycyzm powstawały tam, gdzie dwa sprzeczne twierdzenia okazywały się zarówno przydatne do życia, ponieważ oba były zgodne z zasadniczymi błędami i ponieważ można się było spierać o wyższy lub niższy stopień pożytku dla życia; zarówno tam, gdzie nowe twierdzenia okazywały się życiu wprawdzie niepożytecznymi, lecz przynajmniej też nieszkodliwymi, jako objawy intelektualnego popędu do gry i niewinnymi a szczęśliwymi, jak wszystkie gry. Stopniowo napełniał się mózg ludzki takimi sądami i przekonaniem, w kłębie tym powstał ferment, walka i pożądanie mocy. Nie tylko pożytek i rozkosz, lecz wszelki rodzaj popędów

uczestniczył w tej walce o "prawdy"; intelektualna walka podniesiona została do znaczenia zajęcia, nabrała uroku, stała się powołaniem, obowiązkiem, godnością – poznanie i dążenie do prawdziwości stało się ostatecznie jako potrzeba w rzędzie innych potrzeb. Odtąd już nie tylko wiara i przekonanie, lecz także doświadczenie, przeczenie, nieufność, sprzeciw stały się mocą, wszystkie złe instynkty zostały podporządkowane poznaniu i oddane mu na usługi i okryły się blaskiem tego, co dozwolone, czczone, pożyteczne, a ostatecznie obdarzone zostały spojrzeniem i niewinnością dobrego. Poznanie więc stało się częścią samego życia i jako życie ciągle wzrastającą mocą; aż ostatecznie owo poznanie i owe prastare zasadnicze błędy zderzyły się z sobą, jedno i drugie jako życie, jedno i drugie jako moc, jedno i drugie w jednym i tym samym człowieku. Myśliciel: oto teraz istota, w której popęd do prawdy i owe błędy, sprzyjające zachowaniu życia, toczą swój pierwszy bój, skoro i popęd do prawdy okazał się sprzyjającą zachowaniu życia mocą. W porównaniu z ważnością tej walki reszta jest obojętna: postawiono tu ostatecznie pytanie co do warunku życia i tu po raz pierwszy usiłuje się doświadczeniem na pytanie to odpowiedzieć. Jak dalece prawda daje się wcielać? – oto pytanie, na tym polega doświadczenie.

#### 111.

Pochodzenie logiczności. – Jak w głowie ludzkiej powstała logika? Zapewne z nielogiki, której królestwo musiało być pierwotnie olbrzymie. Lecz niezliczenie wiele istot, które inaczej wnioskowały, niż my wnioskujemy, zginęło: zawsze jeszcze mogłaby istnieć prawdziwsza prawda! Kto na przykład nie dość często wynajdywać umiał to, co "równe", w stosunku do pożywienia lub w stosunku do wrogich mu zwierząt, kto więc zbyt powolnie podsumowywał, był zbyt w podsumowywaniu ostrożny, miał mniej szans utrzymania się przy życiu niż ten, który wobec wszystkiego, co było do siebie podobne, natychmiast wpadał na myśl tożsamości. Lecz przeważająca skłonność do uważania podobnego za równe, skłonność nielogiczna – bo nie ma nic równego w sobie – stworzyła dopiero wszystkie podwaliny logiki. Tak samo, aby powstało pojęcie substancji, w logice niezbędne, choć w najściślejszym znaczeniu nie odpowiada mu nic rzeczywistego – trzeba było przez długi czas nic widzieć i nie odczuwać zmienności w rzeczach; niewidzące dokładnie istoty miały przewagę nad tymi, które wszystko widziały "w toku". Sama już ostrożność przy wnioskowaniu, jeżeli istnieje w wysokim stopniu, wszelka skłonność do sceptycyzmu jest już wielce niebezpieczna w życiu. Nie byłyby się utrzymały żadne żywe istoty, gdyby nie była się tak nadzwyczajnie i silnie rozkrzewiła owa przeciwna skłonność, by raczej potwierdzać niż sądu zaniechać, raczej błędzić i zmyślać niż wyczekiwać, raczej zgadzać się niż zaprzeczać, raczej sądzić niż być sprawiedliwym. Przebieg logicznych myśli i wniosków w naszym teraźniejszym mózgu odpowiada procesowi i walce popędów, które w sobie pojedynczo wzięte są bardzo nielogiczne i niesprawiedliwe; dowiadujemy się zazwyczaj tylko o wyniku walki: tak szybko i tak skrycie działa w nas teraz ów prastary mechanizm.

#### 112.

Przyczyna i skutek. – Zwiemy to "wytłumaczeniem"; lecz "opisem" jest to, co nas odróżnia od dawniejszych stopni poznania i wiedzy. Opisujemy lepiej – nie tłumaczymy więcej niż nasi poprzednicy. Odkryliśmy różnorodną kolejność tam, gdzie człowiek naiwny i badacz dawniejszych kultur widział tylko dwie rzeczy, "przyczynę" i "skutek", jak mówiono;

udoskonaliliśmy obraz stawania się, lecz nie wydostaliśmy się ponad obraz, poza obraz. Szereg "przyczyn", który mamy przed oczyma, jest zupełniejszy; wnioskujemy: to i to musi wprawdzie poprzedzić, by owo nastąpiło – lecz nie pojęliśmy nic przez to. Jakość, na przykład w każdym przebiegu chemicznym, wydaje się potem jak i przedtem "cudem", tak samo ruch ciągły; nikt nie wytłumaczył pchnięcia. Skądże byśmy zaś mogli tłumaczyć! Operujemy samymi tylko rzeczami, których nie ma, liniami, płaszczyznami, ciałami, atomami, podzielonymi czasami; podzielonymi płaszczyznami – jakże też ma być choćby możliwe wytłumaczenie, jeśli z wszystkiego pierw obraz czynimy, swój obraz. To dosyć, że zapatrujemy się na wiedzę, jako na najmożliwiej wierne uprzystępnianie człowiekowi rzeczy, uczymy się coraz dokładniej opisywać siebie samych, opisując rzeczy i ich kolejność. Przyczyna i skutek; taka dwojakość nie istnieje prawdopodobnie – w rzeczywistości mamy przed sobą pewne *continuum*, z którego wyosabniamy kilka odłamków; tak jak ruch spostrzegamy zawsze tylko jako wyosobnione punkty, więc właściwie nie widzimy, lecz o jego istnieniu wnioskujemy. Nagłość, z jaką skutki się odcinają, wprowadza nas w błąd; jest to jednak tylko dla nas nagłość. Istnieje w tej samej sekundzie nagłości nieskończona moc przebiegów, uchodzących naszej uwagi. Intelkt, który by widział przyczynę i skutek jako *continuum*, nie w nasz sposób jako coś dowolnie rozdzielonego i rozczłonkowanego, który by widział tok zdarzenia – zarzuciłby pojęcie przyczyny i skutku i zaprzeczył istnienia wszelkiej warunkowości.

113.

Z nauki o truciznach. – Tak wiele składa się na to, by powstać mogło naukowe myślenie: a wszystkie te potrzebne rzeczy potrzeba było oddzielnie wynajdywać, ćwiczyć się w nich, pielęgnować! Poszczególne jednak miały one bardzo często zgoła inny skutek niż teraz, gdy w obrębie naukowego myślenia ograniczają się wzajemnie i trzymają w karności – działały jako trucizny, na przykład popęd wątpiący, popęd zaprzeczający, popęd wyczekujący, popęd gromadzący, popęd rozkładczy. Złożono wiele ludzkich hekatomb w ofierze, zanim popędy te nauczyły się pojmować swoją sąsiedzkość i czuć się wzajem funkcjami jednej organizującej mocy w jednym człowieku! Jakże dalecy jesteśmy jeszcze od tego, żeby do naukowego myślenia dołączyły się jeszcze i siły artystyczne i mądrość praktyczna życia, by wytworzył się wyższy organiczny system, w stosunku do którego uczone, lekarz, artysta i prawodawca, tacy jakimi ich teraz znamy, musieliby wydawać się nędznymi zabytkami starożytności!

114.

Rozległość moralności. – Nowy obraz, który widzimy, konstruujemy natychmiast z pomocą wszystkich starych doświadczeń, któreśmy poczynili, wedle stopnia swej rzetelności i sprawiedliwości. Nie ma wcale innych wydarzeń życiowych, oprócz moralnych, nawet w dziedzinie spostrzeżeń zmysłowych.

115.

Cztery błędy. – Człowieka wychowały własne błędy: widział on się najpierw zawsze tylko niezupełnie, po wtóre przypisywał sobie zawsze zmyślone właściwości, po trzecie odczuwał stosunek swój do zwierząt i natury wedle fałszywej hierarchii, po czwarte wynajdywał sobie coraz nowe tablice wartości i uważał je przez czas pewien za wieczne i bezwarunkowe, tak że raz ten, to znów ów popęd ludzki i stan wysuwał się na pierwsze miejsce i wskutek tej oceny bywał uszlachetniany. Jeśli się odliczy działanie tych czterech błędów, to odliczyło się też humanitarność, ludzkość i "godność ludzką".

116.

Instynkt stadny. – Gdzie spotykamy moralność, tam też znajdujemy ocenę i ustopniowanie ludzkich popędów i czynów. Te oceny i stopniowania są zawsze wyrazem potrzeb gromady i stada: to, co dla gromady przede wszystkim pożyteczne – i nadal, i z kolei – to jest też najwyższym miernikiem wartości wszystkich jednostek. Moralność wdraża jednostkę do roli funkcji stada i przypisywania sobie wartości tylko jako funkcja. Ponieważ warunki utrzymania jakiejś gromady były bardzo różne od warunków innej gromady, więc istniały bardzo różne moralności; a ze względu na przysze zasadnicze przekształcenia stad i gromad, państw i społeczeństw można prorokować, że będą jeszcze bardzo odmienne istniały moralności. Moralność to instynkt stadny w jednostce.

117.

Stadne wyrzuty sumienia. – W najdłuższych i najodleglejszych okresach ludzkości istniał zgoła inny wyrzut sumienia niż dzisiaj. Dziś czuje się człowiek odpowiedzialnym tylko za to, czego chce i co czyni i w samym sobie pokłada swą dumę: wszyscy nasi nauczyciele prawa wychodzą z tego samopoczucia i z tej uciechy, jak gdyby tu z dawien dawna tryskało źródło prawa. Lecz poprzez najdłuższy okres ludzkości nie było nic straszliwszego, jak czuć się jednostką. Być samym, odczuwać osobniczo, czy też słuchać, czy panować, stanowić indywidualium – to nie było wówczas uciechą, lecz karą; skazywano "na indywidualność". Wolność myśli uchodziła za przykrość. Jak my odczuwamy prawo i karby porządku jako przymus i szkodę, tak odczuwano niegdyś egoizm jako rzecz bolesną, jako właściwą niedolę. Być samym, samego siebie oceniać wedle własnej miary i wagi – to sprzeciwiało się wówczas smakowi. Skłonność do tego odczuwano by jako szaleństwo: bo samotności towarzyszyła wszelkiego rodzaju bieda, trwoga. "Wolna wola" była wówczas w najbliższym sąsiedztwie z nieczystym sumieniem: im bezwolniej działano, im bardziej przemawiał z działania instynkt stadny, a nie zmysł osobisty, tym człowiek wydawał się sobie moralniejszy. Wszystko, co szkodę wyrządzało stadu, czy jednostka chciała tego, czy nie chciała, sprawiało wówczas jednostce wyrzuty sumienia – a nadto jeszcze jej sąsiadowi, nawet całemu stadu! – Pod tym względem zmieniliśmy się najbardziej.

118.

Przychylność. – Czy to cnotliwie, jeśli jakaś komórka zmieni się w funkcję silniejszej komórki? Jest to mus. A czy jest źle, jeśli silniejsza przyswoi ją sobie? Jest to mus również;

jest to dla niej konieczne, ponieważ dąży do przeobfitego zastąpienia sobie straty i chce się odrodzić. Stosownie do tego należy rozróżniać w przychylności: popęd przyswajania i popęd ulegania, w miarę tego, czy przychylność odczuwa silniejszy czy słabszy. Radość i pożądanie idą w parze u silniejszego, który chce coś w swą funkcję przekształcić: radość i chęć, by być pożądanym, u słabszego, który by chciał stać się funkcją. – Litość jest w istocie swęj tym pierwszym, miłym wzruszeniem popędu przyswajania, na widok słabszego: przy czym zważyć jeszcze należy, że "silny" i "słaby" są pojęciami względnymi.

119.

Nie ma altruizmu! – Widzę u wielu ludzi nadmierną moc i rozkosz w chęci stania się funkcją; tłoczą się tam i mają najczulszy węch dla wszystkich owych miejsc, gdzie by właśnie oni funkcją być mogli. Należą tu kobiety, przemieniające się w funkcję mężczyzny, która w nim była właśnie słabo rozwinięta, i w ten sposób stające się jego sakiewką, jego polityką lub jego towarzyskością. Takie istoty utrzymują się same najlepiej, jeśli przylgną do cudzego organizmu: jeśli się im to nie uda, stają się gniewne, rozdrażnione i pożerają same siebie.

120.

Zdrowie duszy. – Ulubiona lekarska formuła moralna (której twórcą jest Ariston z Chios): "Cnota jest zdrowiem duszy" – musiałaby, by być użyteczna, przynajmniej tak zostać zmieniona: "Twoja cnota jest zdrowiem twojej duszy". Bo zdrowie samo w sobie nie istnieje, a wszystkie usiłowania określenia rzeczy tego rodzaju chybiły żałośnie. Musiałoby się znać twój cel, twoje widnokreśli, twoje siły, twoje podniety, twoje błędy, a mianowicie ideały i rojenia twojej duszy, by określić, co jedynie może oznaczać zdrowie twego ciała. Istnieją więc niezliczone zdrowia ciała; i im bardziej pozwala się podnosić głowę jednostce niepodlegającej porównaniu, im bardziej zarzucamy dogmat "o równości ludzi", tym pręcej musi zniknąć dla naszych lekarzy pojęcie normalnego zdrowia, obok normalnej diety, normalnego przebiegu choroby. Wówczas dopiero mogłoby być na czasie rozmyślać o zdrowiu i chorobie duszy, a właściwą każdemu cnotę zasadzać na jej zdrowiu, które oczywiście u jednego wyglądać by mogło jak przeciwieństwo zdrowia u drugiego. Ostatecznie pozostałoby jeszcze wielkie pytanie, czybyśmy mogli obyć się bez choroby, nawet dla rozwoju swych cnót, a mianowicie, czyby nasze pragnienie poznania i samopoznania nie potrzebowało zarówno chorej duszy, jak zdrowej; słowem, czy sama nawet żądza zdrowia nie jest przesadą, tchórzostwem i okrucieństwem najprzemysłniejszego barbarzyństwa i wstecznictwa.

121.

Życie nie jest żadnym argumentem. – Urządziliśmy sobie świat tak, żebyśmy w nim żyć mogli – ustanowiliśmy sobie ciała, linie, płaszczyzny, przyczyny i skutki, ruch i spoczynek, kształt i treść: bez tych artykułów wiary nikt by z nas teraz nie zniósł życia! Lecz nie są one przez to jeszcze niczym dowiedzionym! Życie nie jest żadnym argumentem; między warunkami życia mógłby się znajdować błąd!

Moralny sceptycyzm w chrześcijaństwie. – I chrześcijaństwo wielce się przyczyniło do oświaty: uczyło moralnego sceptycyzmu w sposób bardzo dojmujący i skuteczny, oskarżając, rozgoryczając, lecz z nieznużoną cierpliwością i przemyślnością; niszczyło w każdym poszczególnym człowieku wiarę we własne "cnoty": pod jego wpływem znikli z ziemi owi wielcy cnotliwi, w jakich opływała starożytność – owi popularni ludzie, którzy chadzali w wierze w swoją doskonałość z godnością bohatera walki byków. Gdy dziś, wychowani w tej chrześcijańskiej szkole sceptycyzmu, czytamy moralne księgi starożytnych, na przykład Seneki lub Epikura, to czujemy pewną żartobliwą wyższość i jesteśmy pełni tajnych wnikięć i przenikięć; mamy wrażenie jakby dziecko mówiło do starca lub jakaś młoda, piękna rozegzaltowana osoba do [La Rochefoucauld](#): wiemy lepiej, co to cnota! Ostatecznie jednak zastosowaliśmy ten sam sceptycyzm także do wszystkich religijnych stanów i przebiegów, jak grzech, skrucha, łaska, świętość i pozwoliliśmy robakowi toczyć tak skutecznie, że i przy czytaniu wszystkich ksiąg chrześcijańskich mamy to samo uczucie subtelnej wyższości i zrozumienia: znamy też uczucia religijne lepiej! Czas już znać je dobrze i dobrze opisywać, bo i wyznawcy starej wiary wymierają – ocalmy ich odbicie i ich typ, przynajmniej dla poznania!

Poznanie jest czymś więcej niż środkiem. – Nawet bez tej nowej namiętności – mam na myśli namiętność poznawania – robiłaby wiedza postępy: wiedza rosła dotychczas i stała się wielka bez niej. Dobra wiara w wiedzę, sprzyjający jej przesąd, który opanował teraz nasze państwa (a ongiś nawet Kościół), polega w gruncie rzeczy na tym, że owa bezwarunkowa skłonność i napór tak rzadko w niej się objawiały i że wiedza uchodzi właśnie nie za namiętność, lecz za stan i *ethos*. Często nawet wystarcza już *amour-plaisir* poznania (ciekawość), wystarcza *amour-vanite*, przywyknienie do niej, z ubocznym widokiem zaszczytu i chleba, wystarcza nawet dla wielu, że nie wiedzą, co począć mają z nadmiarem wolnego czasu, jeśli nie czytać, zbierać, porządkować, postrzegać, dalej podawać; ich "popęd naukowy" to nuda. Papież Leon Dziesiąty śpiewał raz (w [brewie](#) do Bernaldusa) pochwałę wiedzy: określa ją jako najpiękniejszą ozdobę i największą dumę naszego życia, jako szlachetne zajęcie w szczęściu i nieszczęściu: "bez niej, powiada w końcu, byłoby wszelkie przedsięwzięcie ludzkie pozbawione silnej podstawy – i z nią przecie jest ono jeszcze dość zmienne i niepewne!". Lecz ten umiarkowanie sceptyczny papież przemilcza, jak wszyscy inni kościelni chwalczy wiedzy, ostatni swój o niej sąd. Można dosłuchać się w jego słowach, co jak na takiego miłośnika sztuki jest dosyć dziwne, że stawia wiedzę ponad sztuką, ostatecznie jednak jest to tylko grzeczność, jeśli nie mówi tu o tym, co i on wysoko stawia ponad wiedzą: o "objawionej prawdzie" i o "wiecznej szczęśliwości duszy" – czym jest mu w porównaniu z tym ozdoba, duma, zabawa i upewnienie życia! "Wiedza jest czymś drugorzędnym, niczym ostatecznym, bezwarunkowym, nie jest zgoła przedmiotem namiętności" – sąd ten został w duszy Leona: właściwie chrześcijański sąd o wiedzy! – W starożytności uszczuplało jej godność i uznanie to, że nawet najgorliwsi jej uczniowie stawiali ponad nią dążenie do cnoty i że mniemano, iż oddaje się poznaniu najwyższą pochwałę, jeśli się je czci jako środek do cnoty. Jest to nowością w dziejach, że wiedza chce być czymś więcej niż środkiem.

Widnokrąg nieskończoności. – Opuściliśmy ląd i wsiedliśmy na statek. Zniszczyliśmy za sobą most – co więcej, zniszczyliśmy za sobą ląd! Nuże, statku! Strzeż się! W krąg ciebie leży ocean: prawda, że nie zawsze ryczy, a czasem spoczywa jak jedwab i złoto, i marzenie o dobroci. Lecz nadejdą godziny, kiedy poznasz, że jest nieskończony i że nie ma nic straszliwszego nad nieskończoność. O, jęku biednego ptaka, który czuł się wolny, a teraz uderza o ściany tej klatki! Biada, jeśli opadnie cię tęsknota za lądem, jak gdyby tam więcej było wolności – a nie ma już żadnego "lądu"!

Człowiek oszalały. – Czy nie słyszeliście o owym człowieku oszalałym, który w jasne przedpołudnie latarnię zaświecił, wybiegł na targ i wołał bezustannie: "Szukam Boga! Szukam Boga!". – Ponieważ zgromadziło się tam właśnie wielu z tych, którzy w Boga nie wierzyli, więc wzbudził wielki śmiech. Czyliż zginął? – spytał jeden. Czyż zabłąkał się jak dziecko? – rzekł drugi. – Czy się ukrywa? Może boi się nas? Czy nie wsiadł na okręt? Wywędrował? – tak krzyczeli i śmiali się w zgiełku. Oszalały człowiek wskoczył między nich i przeszywał ich spojrzeniami swymi. "Gdzie się Bóg podział? – zawołał. – Powiem wam! Zabiliśmy go – wy i ja! Wszyscy jesteśmy jego zabójcami! Lecz jakżeż to uczyniliśmy? Jakżeż zdołaliśmy wypić morze? Kto dał nam gąbkę, by zetrzeć cały widnokrąg? Cóż uczyniliśmy, odpętując ziemię od jej słońca? Dokąd zdąża teraz? Dokąd my zdążamy? Precz od wszystkich słońc? Nie spadamyż ustawicznie? I w tył, i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach? Jestże jeszcze jakieś na dole i w górze? Czyż nie błądzimy jakby w jakiejś nieskończonej nicości? Czyż nie owiewa nas pusty przestwór? Czy nie pozimniało? Czy nie nadchodzi ciągle noc i coraz więcej nocy? Nie trzebaż zapalać latarni w przedpołudnie? Czy nie słyhać jeszcze zgiełku grabarzy, którzy grzebią Boga? Czy nie czuć nic jeszcze boskiego gnicia? – I bogowie gniją! Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami? Najświętsze i najmoźniejsze, co świat dotąd posiadał, krwią spłynęło pod naszymi nożami – kto zetrze z nas tę krew? Jakaż woda obmyć by nas mogła? Jakież uroczystości pokutne, jakież igrzyska święte będziern musieli wynaleźć? Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi? Nie było nigdy większego czynu – i ktokolwiek tylko po nas się urodzi, gwoli czynowi temu należeć będzie do historii wyższej, niż wszelka dotąd była historia!". – Tu zamilkł człowiek oszalały i znów spojrzął na swoich słuchaczy: i oni milczeli, patrząc nań w zadziwieniu. W końcu cisnął latarnię o ziemię, że trzasła w kawały i zgasła. "Przyszedłem za wcześnie, rzekł potem, nie jestem jeszcze na czasie. To olbrzymie zdarzenie jest jeszcze w drodze i wędruje – nie doszło jeszcze do uszu ludzi, błyskawica i grzmot potrzebują czasu, światło gwiazd potrzebuje czasu, czyny, nawet skoro już są dokonane, potrzebują czasu, żeby je widziano i słyszano. Czyn ten jest im zawsze jeszcze dalszy niż gwiazdy najdalsze – a przecie sami go dokonali!" – Opowiadają też, że człowiek oszalały tego samego dnia jeszcze do różnych się wdzierał kościołów i nucił tam swoje *Requiem aeternam deo* [wieczne odpoczywanie Boga]. Wyprowadzany i zapytywany, odpowiadał wciąż jedno: "Czymże są jeszcze te kościoły, jeśli nie są grobowcami i pomnikami Boga?".

126.

Mistyczne wyjaśnienia. – Mistyczne wyjaśnienia uchodzą za głębokie; prawdą zaś jest, że nie są nawet płytkie.

127.

Oddziaływanie najdawniejszej religijności. – Każdy bezmyślny sądzi, że wola jest siłą jedynie działającą; chcieć, to coś niezłożonego, po prostu danego, nie pochodnego. zrozumiałego w sobie. Jest on przekonany, że jeśli coś czyni, na przykład wymierza uderzenie, to on jest tym, co uderza i że uderzył, ponieważ chciał uderzyć. Nie widzi w tym żadnego problemu, lecz uczucie woli wystarcza mu nie tylko do przyjęcia przyczyny i skutku, ale także do wiary, że ich stosunek rozumie. Nie wie nic o mechanizmie wydarzenia i wielorakiej drobiazgowej pracy, która wprawdzie musi być spełniona, by dojdź mogło do uderzenia, nie wie też o niezdolności woli w sobie do wykonania najmniejszej choćby tylko części tej pracy. Wola jest dla niego magicznie działającą siłą: wiara w wolę, jako w przyczynę skutków, jest wiarą w magicznie działające siły. Otóż pierwotnie człowiek wierzył wszędzie, gdzie widział jakieś wydarzenie, wierzył w działanie jakiejś woli jako przyczyny i jakichś poza nią osobiście chcących istot – pojęcie mechaniki było mu zgoła obce. Ponieważ jednak przez niesłychanie długi czas człowiek wierzył tylko w osoby (a nie w materię, siły, rzeczy i tak dalej), przeto wiara w przyczynę i skutek stała się dlań wiarą podstawową, którą posługuje się wszędzie, gdzie się coś wydarza – i teraz jeszcze instynktownie, wskutek resztek atawizmu najstarszego pochodzenia. Twierdzenia "nie ma skutku bez przyczyny", "każdy skutek jest znów przyczyną" wydają się uogólnieniami daleko ciałniejszymi twierdzeń: "gdzie jest działanie, tam była wola działania", "działać można tylko na istoty chcące", "nie doznaje się nigdy żadnego działania bez jakiegoś skutku, lecz wszystko czego się doznaje jest pobudzeniem woli" (do czynu, obrony, zemsty, odwetu) – lecz w pryncypalach ludzkości były te i owe twierdzenia identyczne, pierwsze nie były uogólnieniami drugich, lecz drugie objaśnieniami pierwszych. – Schopenhauer ze swoim postulatami, że wszystko, co istnieje, jest tylko czymś posiadającym wolę, osadził na tronie prastarą mitologię; zdaje się, że nigdy nie przedsięwziął rozbiórki woli, ponieważ wierzył, jak wszyscy, że wszelkie chcenie jest czymś niezłożonym i bezpośrednim – gdy tymczasem chcenie jest tylko tak zręcznie zbudowanym mechanizmem, że uchodzi prawie uwagi badającego oka. Przeciwstawiam mu te twierdzenia: po pierwsze – aby powstała wola, potrzebne jest wyobrażenie rozkoszy i przykrości. Po drugie: ażeby silną podniecie odczuć jako rozkosz lub przykreść, jest to rzeczą interpretującego intelektu, który oczywiście przeważnie jest przy tym czynny bez naszej świadomości; a jedna i ta sama podniecie może być interpretowana jako rozkosz lub przykreść. Po trzecie: tylko u istot intelektualnych istnieje rozkosz, przykreść i wola; ogromna ilość organizmów nie posiada nie podobnego.

128.

Wartość modlitwy. – Modlitwa wynaleziona została dla tych ludzi, którzy właściwie nigdy nie mają myśli z siebie i którym podniesienie ducha jest nieznanym lub przebiegającym

niepostrzeżone: cóż ci począć mają na miejscach świętych lub we wszystkich ważnych położeniach życiowych, wymagających spokoju i pewnego rodzaju powagi? By przynajmniej nie przeszkadzali, zaleciła im mądrość wszystkich zakonodawców, małych jak wielkich, formuły modlitewne jako długotrwałą mechaniczną pracę warg, związaną z wysiłkiem pamięci i z jednako ustanowionym ułożeniem rąk i nóg, i – oczu! Wtedy mogą sobie, podobnie Tybetańczykom, przeżuwać po niezliczone razy swe *Om mane padme hum* [słowa mantry tybetańskiej] lub jak w [Benaresie](#), imię boga Ram – Ram – Ram (i tak dalej z gracją lub bez niej) na palcach przeliczać: lub czcić Wisznę jego tysiącem – a Allaha jego dziewięćdziesięciu dziewięciu nazwami: lub mogą posługiwać się modlitewnymi młynkami i różańcami – rzecz główna w tym, by tą pracą unieruchomić ich na czas pewien i widok ich znośnym uczynić: taki rodzaj modlitwy wynaleziony został w interesie pobożnych, którzy sami w sobie znajdują myśli i podniesienie. I nawet ci mają swe godziny znużenia, kiedy kojąco wpływa na nich szereg czcigodnych słów i dźwięków i pobożna mechanika. Lecz przyjąwszy, że ci rzadcy ludzie – w każdej religii jest człowiek religijny wyjątkiem – umieją sobie pomóc: to owi ubodzy duchem nie umieją sobie pomóc, a zabronić im modlitewnego mełcia znaczy odebrać im ich religię: jak to coraz bardziej wykazuje protestantyzm. Religia nie wymaga właśnie od takich niczego więcej, tylko aby zachowywali w spokoju oczy, ręce, nogi i organy wszelkiego rodzaju: to ich na chwilę upiększa i – bardziej upodabnia do ludzi.

129.

Warunki Boga. – "Sam Bóg nie może istnieć bez mądrych ludzi" rzekł Luter i słusznie; lecz "Bóg jeszcze mniej istnieć może bez niemądrych ludzi" – o tym pocziwy Luter przemilczał!

130.

Niebezpieczne postanowienie. – Chrześcijańskie postanowienie uważania świata za szpetny i zły, uczyniło świat szpetnym i złym.

131.

Chrześcijaństwo i samobójstwo. – Chrześcijaństwo uczyniło dźwignią swej mocy pragnienie samobójstwa, niesłuchane za czasów swego powstania: zachowało tylko dwie formy samobójstwa, przybrało je w najwyższą godność i najwyższe nadzieje i zakazało wszystkim innym w sposób straszliwy. Lecz męczeństwo i powolne uśmiercanie się ascetów zostały dozwolone.

132.

Przeciw chrześcijaństwu. – Teraz wyrokuje przeciw chrześcijaństwu nasz smak, już nie nasze rozumowania.

133.

Zasada. – Nieunikniona hipoteza, na którą wpadać musi ludzkość wciąż na nowo, jest na dłuższą metę jednak mocniejsza niż najwierniej wyznawana wiara w coś nieprawdziwego (podobnie wierze chrześcijańskiej). Na dłuższą metę: to znaczy tu na przeciąg stu tysięcy lat

134.

Pesymiści jako ofiary. – Gdzie wzmaga się głęboka niechęć do życia, tam wychodzą na jaw skutki jakiegoś wielkiego błędu w diecie, którym przez długi czas grzeszył jakiś naród. Na przykład rozpowszechnienie się buddyzmu (nie jego powstanie) było w wielkiej części zależne od nadmiernego i prawie wyłącznego żywienia się Indów ryżem i od uwarunkowanego nim ogólnego osłabienia. Może patrzeć trzeba na nowoczesne europejskie niezadowolenie z tego stanowiska, że poprzedzający nas świat, całe średniowiecze, dzięki wpływom niemieckich skłonności na Europę, oddane było pijaństwu: średniowiecze to znaczy zatrucie alkoholem Europy. – Niemiecka niechęć do życia jest w istocie swej niedomaganiem zimowym, wliczając działanie piwnicznego powietrza i czadu pieców w niemieckich mieszkaniach.

135.

Pochodzenie grzechu. – Grzech, jak się go teraz odczuwa wszędzie, gdzie chrześcijaństwo włada lub władało niegdyś: "grzech" jest uczuciem żydowskim i żydowskim wynalazkiem, i ze względu na to tło wszelkiej chrześcijańskiej moralności dążyło chrześcijaństwo w rzeczy samej do "zzydzenia" całego świata. Do jakiego stopnia udało mu się to w Europie, widać najlepiej z wysokiego stopnia obcości, którą zawsze jeszcze odczuwamy względem greckiej starożytności – świata, który nie znał uczucia grzechu – mimo dobrą wolę zbliżenia się do niej i przyswojenia jej swemu ciału, a tej nie brakowało całym pokoleniom i wielu znakomitym jednostkom. "Bóg jest ci łaskaw, tylko jeśli załujesz" – dla Greka rzecz godna pośmiewiska i gorsząca: rzekłby "tak niech odczuwają niewolnicy!". Poddano się Bogu wszechmocnemu, a jednak mściwemu: moc jego jest tak wielka, że nie może w ogóle żadnej ponieść szkody, tylko na punkcie czci. Każdy grzech jest uchybieniem w szacunku, *crimen laesae maiestatis divinae* [zbrodnią obrazy majestatu boskiego] i niczym więcej! Skrucha, upodlenie, tarzanie się w prochu – to pierwszy i ostatni warunek, od którego zależy jego łaska: więc przywrócenie mu boskiej czci! Czy grzech zresztą wyrządzi szkodę, czy zaszczepił głęboką rosnącą niedolę, która człowieka po człowieku jak choroba chwyta i dławi – o to nie troszczy się ten ambitny orientala w niebie: grzech jest wykroczeniem przeciw niemu, nie przeciw ludzkości! – komu udzielił swej łaski, temu udziela też beztraski o przyrodzone grzechu następstwa. Bóg i ludzkość są tu tak rozdzieleni, tak na dwu przeciwległych umieszczeni biegunach, że w gruncie rzeczy przeciw ostatniej w ogóle

zgrzeszyć nie można – każdy czyn należy rozważać tylko ze względu na następstwa nadprzyrodzone, nie na przyrodzone: tego chce żydowskie uczucie, dla którego wszystko, co przyrodzone, jest niegodne samo w sobie. Grecy natomiast bliscy byli myśli, że i występki może godność posiadać – nawet kradzież, na przykład u Prometeusza, nawet rzeź bydła, jako objaw obłąkanej zawiści, przykładem Ajaksa: w potrzebie swej wzmówienia i wcielenia godności w występki, wynaleźli tragedię – sztukę i uciechę, która obca pozostała najgłębszej istocie Żyda, mimo całe jego poetyckie uposażenie i skłonność do wzniosłości.

136.

Naród wybrany. – Żydzi, którzy uważali się za naród wybrany wśród narodów, a to ponieważ są moralnym wśród narodów geniuszem (mocą tej zdolności pogardzania człowiekiem w sobie, bardziej niż jakikolwiek naród) – Żydzi rozkoszowali się podobnie swym boskim monarchą i świętym, jak szlachta francuska Ludwikiem Czternastym. Szlachta ta pozwoliła zabrać sobie całą moc swoją i świetną wielmożność i stała się pogardy godna: by tego nie czuć, by móc o tym zapomnieć, potrzebowała królewskiego blasku, królewskiej powagi i pełni mocy nieporównalnej, do której dostęp stał tylko szlachcie otworem. Skoro zgodnie z tym pierwszeństwem wzniesiono się do wyżyny dworu i stąd patrząc, widziano wszystko pod sobą, wszystko pogardy godnym wydoszło się ponad wszelką drażliwość sumienia. Piętrono więc z umysłu wieżę królewskiej mocy coraz wyżej w chmury i dokładano do tej budowy ostatnie kamienie własnej mocy.

137.

Mówiąc przenośnią. – Ktoś jak Jezus Chrystus mógł istnieć tylko wśród krajobrazu żydowskiego – mam na myśli krajobraz, ponad którym wisiła ustawicznie posepna i wyniosła chmura, burzą gniewu Jehowy brzemienna. Tu jedynie odczuwano rzadki nagły przebłysk samotnego promienia słońca wskroś szarego powszechnego i ciągłego dnia podobnego do nocy, jako cud "miłości", jako promień niezasłużonej "łaski". Tu jedynie mógł Chrystus śnić swą tęczę i swą drabinę niebieską, po której Bóg zstępował do ludzi; wszędzie indziej zresztą jasna pogoda i słońce uchodziły nazbyt za prawidło i codzienność.

138.

Błąd Chrystusa. – Założyciel chrześcijaństwa mniemał, że nic nie sprawia ludziom tak wiele cierpienia, jak ich grzechy – był to błąd, błąd tego, który się czuł bez grzechu i któremu w tym względzie zbywało na doświadczeniu! Napełniła się więc dusza jego owym przedziwnym, fantastycznym miłosierdziem dla niedoli, która nawet w jego narodzie, wynalazcy grzechu, rzadko wielką była niedolą! – Lecz chrześcijanie umieli mistrzowi swemu dorobić słuszną i błędą jego wyświęcić na "prawdę".

139.

Barwa namiętności. – Takie natury, jak apostoła Pawła, mają dla namiętności "złe spojrzenie"; poznają z nich tylko to, co brudne, oszpecające i co łamie serce – więc idealne ich parcie dąży do zniszczenia namiętności: w boskości widzą zupełną, wolną od tych rzeczy czystość. Zgoła inaczej niż Paweł i Żydzi, zwrócili Grecy idealne swe parcie właśnie ku namiętnościom i kochali je, podnosili, pozłacali, ubóstwiali; widocznie czuli się w namiętności nic tylko szczęśliwsi, lecz i czystszy i bardziej boscy niż kiedy indziej. A chrześcijanie? Chcieliż w tym względzie stać się Żydami? Czy może stali się nimi?

140.

Zbyt po żydowsku. – Jeśli Bóg chciał stać się przedmiotem miłości, to powinien był w pierw zrzec się sądenia i sprawiedliwości – sędzia, nawet sprawiedliwy sędzia, nie jest wcale przedmiotem miłości. Założyciel chrześcijaństwa odczuwał na tym punkcie nie dość subtelnie – jako Żyd.

141.

Zbyt na sposób wschodni. – Jak to? Bóg, który ludzi kocha pod warunkiem, że w niego wierzą, i który ciska straszne spojrzenia i groźby na tego, który w tę miłość nie wierzy! Jak to? Miłość pod zastrzeżeniami, byłoby to uczucie wszechmocnego Boga! Miłość, która nawet nie opanowała uczucia czci i podrażnionej mściwości? Jakże wschodnie to wszystko! "Jeśli cię kocham, cóż cię to obchodzi?" – to już wystarczająca krytyka całego chrześcijaństwa.

142.

Kadzidło. – Budda mówi: "nie schlebiaj swemu dobroczyńcy!". Powtórzcie to zdanie w chrześcijańskim Kościele – oczyści natychmiast powietrze z całej chrześcijańkości.

143.

Największy pożytek wielobóstwa. – By jednostka stawiała sobie swój własny ideał i z niego wysnuwała swe ustawodawstwo, swoje radości i prawa – to uchodziło dotychczas za najpotworniejsze z wszystkich ludzkich pobłędzeń i za bałwochwalstwo samo w sobie: w rzeczy samej ci nieliczni, którzy się na to ważyli, potrzebowali zawsze apologii przed sobą samymi, a ta brzmiała zazwyczaj: "Nie ja! Nie ja! Tylko bóg przeze mnie!". W cudownej sztuce i mocy stwarzania bogów – w wielobóstwie – mógł się popęd ten wyładowywać, w niej się oczyszczał, udoskonalał, uszlachetniał: bo był to pierwotnie popęd pospolity i niepozorny. pokrewny uporowi, nieposłuszeństwu i zawiści. Być wrogim temu popędowi dążenia do własnego ideału: było niegdyś powszechnym prawem obyczajowym. Istniała tu tylko jedna norma: "Człowiek w ogóle" – a każdy naród mniemał, że posiada tę jedną i ostateczną normę. Lecz ponad i poza sobą, daleko nad światem, wolno było widzieć

mnożość norm: jeden bóg nie był zaprzeczeniem i lżeniem drugiego boga! Tu pozwalano sobie nasamprzód na indywidualia, tu czczono nasamprzód prawo indywidualne. Wynalazek bogów, bohaterów i nadludzi wszelkiego rodzaju, jak i współludzi i podludzi, karłów, boginek, centaurów, satyrów, demonów, diabłów był nieocenionym przygotowawczym ćwiczeniem do usprawiedliwienia samolubstwa i świetnej wielmożności jednostki: wolność, której użyczono jednemu bogu przeciwko innym bogom, nadawano później sobie samemu przeciwko ustawom i obyczajom, i sąsiadom. Jednobóstwo natomiast, ta skostniała nauka o jednym normalnym człowieku – więc wiara w jednego normalnego Boga, obok którego istnieją jeszcze tylko fałszywe kłamne bóstwa – była może największym niebezpieczeństwem dotychczasowej ludzkości; tu groził jej ów przedwczesny zastój, do którego, o ile widzieć możemy, doszła już od dawna największa liczba innych gatunków zwierzęcych; wszystkie one wierzą w jedno zwierzę normalne i w ideał swego gatunku i ostatecznie wszczepiły sobie w ciało i krew obyczajność obyczaju. W wielobóstwie spoczywał wzór wolnomyślności i wielomyślności człowieka: moc stwarzania sobie nowych i własnych oczu i ciągle nowych i jeszcze bardziej własnych: tak że wśród wszystkich zwierząt tylko dla człowieka nie istnieją żadne wieczne horyzonty i perspektywy.

144.

Wojny religijne. – Największym postępem tłumów była dotąd wojna religijna: bo dowodzi ona, że tłum zaczyna z uszanowaniem traktować pojęcia. Wojny religijne powstają dopiero wtedy, gdy przez subtelniejsze sporności sekt wysubtelni się rozum powszechny: tak że nawet tłum staje się bystrzejszy i przywiązuje wagę do drobnostek, a nawet uważa za możliwe, że "wieczna szczęśliwość duszy" zależy od drobnych różnic w pojęciach.

145.

Niebezpieczeństwo jaroszów. – Przeważne nadmierne spożywanie ryżu prowadzi do używania opium i narkotyków, tak samo jak przeważne nadmierne spożywanie ziemniaków prowadzi do wódki – prowadzi jednak, w wyższym oddziaływaniu, także do sposobów myślenia i czucia, działających narkotycznie. W zgodzie z tym jest to, że głosiciele narkotycznych sposobów myślenia i czucia, jak owi indyjscy nauczyciele, sławią właśnie i chcieliby uczynić prawem tłum obowiązującym dietę czysto roślinożerną: chcą w ten sposób wywołać i pomnożyć potrzebę, którą oni zadowolili są zdolni.

146.

Niemieckie nadzieje. – Nie zapominajmy przecie, że nazwy ludów są zazwyczaj obelgami. Tatarzy na przykład są według imienia swego "psami": tak ochrzczili ich Chińczycy. Niemcy, *die "Deutschen"*: oznacza pierwotnie pogan "*Heiden*"; tak nazywali Goci po nawróceniu wielki tłum swych niechrzczonych jedнопlemieńców wedle wskazówki przekładu Septuaginty, gdzie poganie określani są słowem, oznaczającym w grece »ludy«: patrz Ulfilasa. – Byłoby zawsze jeszcze Niemcom możliwe uczynić sobie ze starego swego obelżywego miana następnie miano zaszczytne, gdyby stali się pierwszym

niechrześcijańskim narodem Europy: Schopenhauer poczytywał im za chlubę, że mają do tego zadatki. W ten sposób doszłoby do kresu dzieło Lutera, który ich uczył być nierzymskimi i mówić: "Tu stoję ja! Nie mogę inaczej!".

147.

Pytanie i odpowiedź. – Co przejmują nasamprzód od Europejczyków dzikie ludy? Wódkę, chrześcijaństwo, europejskie narkotyki. – A od czego giną najprędzej? – Od europejskich narkotyków.

148.

Gdzie powstają reformacje. – W czasach wielkiego zepsucia Kościoła był Kościół w Niemczech najmniej zepsuty: dlatego tu powstała reformacja, jako znak, że nawet początki zepsucia odczuwało się jako nieznośne. Stosunkowo bowiem żaden naród nie był nigdy bardziej chrześcijański niż Niemcy w czasach Lutera: ich chrześcijańska kultura była właśnie gotowa rozwinąć się jak przepyszny kwiat – brakło tylko jeszcze jednej nocy; lecz ta przyniosła burzę, która wszystkiemu położyła kres.

149.

Niepowodzenie reformacji. – O wyższej kulturze Greków nawet w bardzo dawnych czasach świadczy to, że kilkakrotne usiłowania założenia nowych greckich religii spełzły na niczym; świadczyło, że już wcześniej istniała w Grecji mnogość różnorodnych indywiduali, których różnorodne potrzeby nie dały się załatwić jednym i jedynym przepisem wiary i nadziei. Pitagoras i Platon, może i Empedokles, a już o wiele wcześniej orficy marzyciele, dążyli do założenia nowych religii; a obaj najpierw wymienieni posiadali tak szczerze dusze i zdolności religijnych prawodawców, że nie można się dość nadziwić ich niepowodzeniu: doszli tylko do sekt. Każdym razem, gdzie nie udaje się reformacja całego narodu i tylko sekty głowę podnoszą, wolno wnioskować, że naród jest już w sobie bardzo różnorodny i zaczyna się wyzwaląć z grubych instynktów stadnych i obyczajności zwyczajów: pełen to znaczenia stan przejściowy, który zwykło się spotwarzać jako upadek obyczajów i zepsucie, gdy tymczasem zwiastuje on dojrzewanie jaja i bliskie pęknięcie skorupy. To, że reformacja Lutera udała się na północy, jest oznaką, że północ pozostała poza południem Europy i posiadała jeszcze bardzo jednorodne i jednobarwne potrzeby; i nie byłoby w ogóle nastąpiło żadne schrześcijanienie Europy, gdyby kultura starego południowego świata nie była się stopniowo zbarbaryzowała przez nadmierną domieszkę barbarzyńskiej krwi germańskiej i nie utraciła swojej kulturalnej przewagi. Im powszechniej i bezwarunkowiej działać może jednostka lub myśl jednostki, tym jednorodniejszy i tym niższy musi być tłum, na który się działa: gdy tymczasem usiłowania przeciwne zdradzają przeciwne potrzeby wewnętrzne, które też siebie zadowolić pragną i odnieść zwycięstwo. Odwrotnie można przypuszczać zawsze istnienie prawdziwej wyżyny kulturalnej, jeśli potężne i żądne władzy natury osiągają tylko drobny i sekciarski skutek: to samo stosuje się do sztuk i różnych dziedzin poznania. Gdzie panowanie, tam istnieją tłumy: gdzie tłumy, tam istnieje potrzeba

niewolnictwa. Gdzie istnieje niewolnictwo, tam jest niewiele tylko indywidualów, a te mają przeciw sobie instynkty stadne i sumienie.

150.

Z krytyki świętych. – Aby mieć jakąś cnotę, trzebaż chcieć mieć ją w najbrutalniejszej jej formie? – jak to było chęcią i potrzebą chrześcijańskich świętych: którzy znosili życie tylko z tą myślą, że na widok ich cnoty każdego opada pogarda samego siebie. Lecz cnotę, która w ten działa sposób, nazywam brutalną.

151.

O źródle religii. – Metafizyczna potrzeba nie jest źródłem religii, jak chce Schopenhauer, lecz jej późniejszą odroślą. Pod władzą religijnych myśli przyzwyczajono się do wyobrażenia "innego (tylnego, górnego, dolnego) świata", a wobec zniszczenia religijnego obłędu czuje się niemiłą próżnię i brak – i oto wyrasta z tego uczucia znów "inny świat", lecz teraz już metafizyczny tylko, a nie religijny. Lecz to, co w praczasach do wytworzenia sobie innego świata w ogóle prowadziło, nie było popędem i potrzebą, jeno błędem w wykładzie pewnych przebiegów naturalnych, zakłopotaniem umysłu.

152.

Największa zmiana. – Oświecenie i barwy wszystkich rzeczy zmieniły się! Nie rozumiemy już dokładnie, jak ludzie dawni odczuwali to, co najbliższe i najczęstsze – na przykład dzień i jawę: ponieważ starożytni wierzyli w sny, życie miało na jawie inne światła. A tak samo całe życie z odblaskiem śmierci i jej znaczeniem: nasza "śmierć" jest zupełnie inną śmiercią. Wszystkie wydarzenia przeżyte lśniły inaczej, ponieważ błyszczał z nich Bóg; wszystkie postanowienia i widoki dalekiej przyszłości również: ponieważ posiadano wyrocznie i tajemne wskazy i wierzono w przepowiednie. „Prawdę” odczuwano inaczej, ponieważ obłąkany mógł ongiś uchodzić za narzędzie jej głosu – co nas przejmuje grozą lub śmiechem. Każda nieprawość działała inaczej na uczucie: bo obawiano się boskiej odpłaty, nie tylko zaś kary obywatelskiej i utraty czci. Czym była radość w czasie, gdy wierzono w diabła i kusiciela! Czym namiętność, gdy widziano czatujące w pobliżu demony! Czym filozofia, kiedy wątpliwość odczuwano jako najniebezpieczniejszego rodzaju grzech, a mianowicie jako zbrodnię przeciw wiecznej miłości, jako nieufność przeciw wszystkiemu, co było dobre, wysokie, czyste i łaskawe! – Ubarwiliśmy te rzeczy na nowo, i wciąż je malujemy – lecz cóż możemy my dzisiejsi wobec barw przepychu owej dawnej mistrzyni! – mam na myśli dawną ludzkość.

153.

*Homo poeta.* "Ja sam, który najwłasnoręczniejszym wykonałem tę tragedię nad tragediami, o ile jest gotowa; ja, który węzeł moralności dopiero wplotłem w istnienie i tak zacisnąłem, że tylko bóg jakiś rozwiązać go może – tak przecie żąda Horacy! – ja sam obaliłem teraz w czwartym akcie wszystkich bogów z moralności! Cóż teraz stanie się z aktem piątym! Skąd wziąć teraz tragiczne rozwiązanie! – Mamże zacząć rozmyślać nad »rozwiązaniem komicznym«?"

154.

Różne niebezpieczeństwa życia. – Nie wiecie wcale, co przeżywacie, biegniecie jak pijani przez życie i spadacie co pewien czas z jakichś schodów. Lecz, dzięki waszemu upojeniu, nie łamiecie jednak przy tym waszych członków: mięśnie wasze są zbyt mdłe, a głowa wasza zbyt ciemna, żebyście czuli, że kamienie tych schodów są tak twarde, jak to my inni czujemy! Dla nas jest życie większym niebezpieczeństwem: jesteśmy ze szkła – biada, jeśli się potracimy! Wszystko zaś przepadło, jeśli upadniemy!

155.

Czego nam brak. – Kochamy wielką przyrodę i odkryliśmy ją: pochodzi to stąd, że w głowach naszych braknie wielkich ludzi. Przeciwnie Grecy: ich poczucie przyrody było inne jak nasze.

156.

Najbardziej wpływowy. – Że człowiek jakiś opiera się całemu swemu czasowi, wstrzymuje go u bramy i do odpowiedzialności pociąga, to musi wywierać wpływ! Czy chce tego, to obojętne; rzecz w tym, że to może.

157.

*Mentiri.* [udawać, fałszować, kłamać] – Bacność! – On rozmyśla: wnet będzie kłamstwo gotowe. To jest stopień kultury, na którym stały całe narody. Rozważmy więc, co Rzymianie wyrażali słowem *mentiri*.

158.

Niewygodna właściwość. – Wszystkie rzeczy znajdować głębokimi – to niewygodna właściwość: sprawia ona, że wyteża się ustawicznie oczy, a w końcu widzi się zawsze więcej, niż się życzyło.

159.

Każda cnota w swoim czasie. – Kto teraz jest nieugięty, temu rzetelność jego sprawia często wyrzuty sumienia: bo nieugiętość jest cnotą innego okresu jak rzetelność.

160.

W obcowaniu z cnotami. – Można być i przed cnotą bez godności i pochlebcą.

161.

Do miłośników czasu. – Zbiegły ksiądz i wypuszczony skazaniec stroją ustawicznie miny: chcą mieć minę bez przeszłości. – Lecz czyście widzieli już ludzi, którzy wiedzą, że przyszłość odzwierciedla się w ich twarzy, a którzy są tak uprzejmi względem was, miłośnicy "czasu", że stroją minę bez przyszłości?

162.

Egoizm. – Egoizm jest perspektywicznym prawem odczuwania, wedle którego to, co najbliższe, wydaje się wielkim i ważkim: gdy tymczasem w miarę oddalania wszystkie rzeczy tracą na wielkości i wadze.

163.

Po wielkim zwycięstwie. – Najlepsze w wielkim zwycięstwie jest to, że odbiera ono zwycięzcy lęk przed klęską. "Czemuż by też raz nie przegrać?" – Mówi sobie: "jestem teraz dość na to bogaty".

164.

Szukający spokoju. – Poznają duchy szukające spokoju po wielu ciemnych przedmiotach, które ustawiają wokół siebie: kto spać chce, zaciemnia swój pokój lub włazi w jaskinię. – Wskazówka dla tych, którzy nie wiedzą, czego właściwie najbardziej szukają, a wiedzieć by to chcieli!

165.

O szczęściu wyrzekających się. – Kto sobie czegoś zasadniczo i na przeciąg długiego czasu odmawia, ten spotkawszy to samo przypadkiem na nowo, mniemać będzie, że je odkrył – a jakiegoż szczęścia każdy doznaje odkrywca! Bądźmy mędrsi niż węże, które za długo w tym samym leżą słońcu.

166.

Zawsze w swoim towarzystwie. – Wszystko, co jest mi pokrewne, w przyrodzie i historii, przemawia do mnie, chwali mnie, popycha mnie naprzód, pociesza mnie – wszystkiego innego nie słyszę lub zapominam wnet. Jesteśmy ciągle tylko w swoim towarzystwie.

167.

Mizantropia i miłość. – Tylko wtedy mówi się o tym, że się ma ludzi do syta, gdy ich już strawić nie można, a przecie ma się jeszcze pełny ich żołądek. Mizantropia jest skutkiem nazbyt łakomej miłości ludzi i "ludożerstwa" – lecz któż też ci kazał połykać ludzi, jak ostrygi, mój książę Hamlecie?

168.

O chorym. – "Źle z nim!" – Na czym mu zbywa? – "Cierpi na żądzę, by być chwalonym, a nie znajduje dla niej pokarmu". – Niepojęte! Cały świat czci go i nosi go nie tylko na rękach, ale i na ustach! – "Tak, lecz on słyszy fałszywie pochwałę. Jeśli go chwali przyjaciel, brzmi mu to, jak gdyby ten sam siebie chwalił; chwali go nieprzyjaciel, brzmi mu to, jak gdyby ten chciał za to być chwalony; chwali go wreszcie ktoś z pozostałych – pozostaje wcale niewielu, tak jest sławny! – to obraża go to, że nie chce się go mieć ani za przyjaciela, ani za nieprzyjaciela; zwykł mówić: "Cóż mi zależy na kimś, który może nawet wobec mnie odgrywać sprawiedliwego!"

169.

Jawni wrogowie. – Waleczność wobec wroga jest czymś w sobie: mimo to można być zawsze jeszcze tchórzem i niezdecydowanym bez głowy. Tak sądził Napoleon o "najwaleczniejszym człowieku", którego znał, o [Muracie](#) – z czego wynika, że jawni wrogowie są niezbędni dla niektórych ludzi, jeśli ci wznieść się mają do swojej cnoty, swojej męskości i pogody.

170.

Z tłumem. – Biega on dotychczas za tłumem i jest jego chwalcą; lecz pewnego dnia stanie się jego przeciwnikiem! Bo kroczy za tłumem w wierze, że gnuśność jego dobrze na tym wyjdzie: nie przekonał się jeszcze, że tłum nie dość jest gnuśny dla niego! Że przez ciągle naprzód! Że nie pozwala nikomu przystawać! – A on tak chętnie przystaje!

171.

Sława. – Jeśli wdzięczność wielu dla jednego wyzbędzie się wszelkiego wstydu, wówczas powstaje sława.

172.

Psowacz smaku. – A: "Psujesz smak! – tak mówią wszędzie". B: "Niewątpliwie! Psuję każdemu smak dla jego partii – tego mi żadna nie wybaczy partia".

173.

Być głębokim i zdawać się głębokim. – Kto wie, że jest głęboki, stara się o jasność. Kto chce tłumowi zdawać się głęboki, stara się o ciemność. Bo tłum uważa za głębokie wszystko, czego dna zobaczyć nie może: jest tak trwożliwy i tak niechętnie wchodzi do wody.

174.

Na uboczu. – Parlamentaryzm, to jest publiczne pozwolenie wyboru pomiędzy pięciu zasadniczymi mniemaniami, pochlebia tym licznym, którzy by chętnie chcieli zdawać się samoistnymi i indywidualnymi i walczyć o swoje mniemania. Ostatecznie jednak obojętne jest, czy nakazuje się stada jedno mniemanie, czy mu się na pięć mniemań pozwala – kto od tych pięciu publicznych mniemań zboczy i na uboczu stanie, ma zawsze całe stado przeciw sobie.

175.

O wymowności. – Kto posiadał dotąd najbardziej przekonującą wymowność? Bicie w bębny: i dopóki królowie mają je w swej mocy, dopóty są najlepszymi mówcami i podżegaczami ludu.

176.

Współczucie. – Ci biedni panujący książęta! Wszystkie ich prawa zmieniają się teraz niespodzianie w roszczenia, a wszystkie te roszczenia brzmią wnet jak uroszczenia! I jeśli tylko mówią "my" lub "mój naród", to śmieje się już stara, złośliwa Europa. Prawdziwie, naczelny mistrz ceremonii współczesnego świata robiłby niewiele z nimi ceremonii; może by zawyrokował: *les souverains rangent aux parvenus* [władcy podporządkowują się dorobkiewiczom].

177.

W sprawie "wychowania". – W Niemczech brak wyższemu człowiekowi wielkiego środka wychowawczego: śmiechu wyższych ludzi; ci nie śmieją się w Niemczech.

178.

Dla moralnego oświecenia. – Trzeba Niemcom wybić z głowy ich Mefistofelesa: i ich Fausta w dodatku. Są to dwa moralne przesady wrogie wartości poznania.

179.

Myśli. – Myśli są cieniami naszych uczuć – zawsze ciemniejsze, pustsze, prostsze od nich.

180.

Dobre czasy wolnych duchów. – Wolne duchy pozwalają sobie na wolność także wobec wiedzy – a na razie pozwala się im także na nią, dopóty – dopóki Kościół jeszcze stoi! O tyle mają teraz swoje dobre czasy.

181.

Chodzenie śladem i poprzedzanie. – A: "Z dwóch będzie zawsze jeden chodził śladem, drugi będzie zawsze poprzedzał, dokądkolwiek los ich powiedzie. A jednak pierwszy stoi ponad tamtym, wedle cnoty swej i ducha swego!". – B: "A jednak? A jednak? To mówisz dla tamtych, nie dla mnie, nie dla mnie! – *Fit secundum regulam* [pasuje do reguły; staje się stosownym do reguły]".

182.

W samotności. – Jeśli się żyje samotnie, to nie mówi się zbyt głośno, nie pisze się zbyt głośno, bo człowiek boi się pustego pogłosu – krytyki nimfy Echo. – A wszystkie głosy inaczej dzwonią w samotności.

183.

Muzyka najlepszej przyszłości. – Największym muzykiem byłby dla mnie ten, który by znał tylko smutek najgłębszego szczęścia i nie znał żadnego smutku poza tym: takiego nie było dotychczas.

184.

Sprawiedliwość. – Lepiej dawać się okradać, niż mieć wkoło siebie straszdyła na ptaki – oto mój smak. I jest to w każdym razie rzeczą smaku – i nic więcej!

185.

Ubogi. – Jest dziś ubogi: lecz nie dlatego, że mu wszystko wzięli, jeno dlatego, że wszystko precz rzucił – cóż mu po tym! Przywykł z najdyać. – To ubodzy źle rozumieją jego dobrowolne ubóstwo.

186.

Nieczyste sumienie. – Wszystko, co teraz czyni, jest prawe i zwyczajne – a jednak ma on przy tym nieczyste sumienie. Bo to, co nadzwyczajne, jest jego zadaniem.

187.

Co obraża w wykładzie. – Artysta ten obraża mnie sposobem, w jaki wyklada swe pomysły: tak obszernie, tak wyraźnie i tak grubymi sztuczkami przekonywania, jak gdyby mówił do motłochu. Jesteśmy zawsze po pewnym czasie, użyczonym jego sztuce, jak gdyby w "złym towarzystwie".

188.

Praca. – Jak bliska jest teraz nawet najbezczyńniejszemu z nas praca i robotnik! Królewska uprzejmość w słowie "wszyscy jesteście robotnikami!" byłaby jeszcze za Ludwika Czternastego cynizmem i bezwstydem.

189.

Myśliciel. – Jest myślicielem: to znaczy umie rzeczy brać prościej, niż są.

190.

Przeciw chwalcom. – A: "Chwałą nas tylko nasi równi!". – B: "Tak! A kto cię chwali, mówi ci: jesteś mi równy!".

191.

Przeciw niejednej obronie. – Najbardziej zdradzieckim sposobem szkodenia jakiejś sprawie jest bronić jej z umysłu błędnymi argumentami.

192.

Dobrodusznicy. – Co odróżnia owych dobrodusznych, którym życzliwość promienieje z twarzy, od innych ludzi? Jest im dobrze w obecności jakiejś nowej osoby i są w niej wnet zakochani; sprzyjają jej za to, ich pierwszym sądem jest: "podoba mi się". Następuje u nich po sobie: życzenie i przywłaszczenie (niewiele sobie robią skrupułu co do wartości drugiego), szybkie przywłaszczenie, radość z posiadania i postępowanie na korzyść posiadanego.

193.

Dowcip Kanta. – Kant chciał w uderzający "cały świat" sposób dowieść, że "cały świat" ma słuszność – był to tajemny dowcip tej duszy. Pisał przeciw uczonym na korzyść przesądu ludu, lecz dla uczonych, a nie dla ludu.

194.

Człowiek "otwartego serca". – Ów człowiek postępuje prawdopodobnie zawsze wedle utajonych zasad: bo nosi zawsze przystępne zasady na języku i nieomal w otwartej ręce.

195.

Śmiech bierze! – Patrzcie no! Patrzcie! Biegnie precz od ludzi – ci jednak biegną za nim, ponieważ on biegnie przed nimi – ależ bo są też stadem!

196.

Granica naszego słuchu. – Słyszysz tylko te pytania, na które jest się w mocy znaleźć odpowiedź.

197.

Przeto baczność! – Niczego nie udzielamy tak chętnie drugim jak pieczęci tajemnicy – wraz z tym, co pod nią.

198.

Przykrość dumnego. – Dumnemu sprawiają przykrość nawet ci, którzy go naprzód posuwają: z gniewem patrzy na konie swego wozu.

199.

Szczodrość. – Szczodrość jest u bogatych często tylko rodzajem nieśmiałości.

200.

Śmiech. – Śmiać się znaczy: cieszyć się z cudzej szkody, lecz z czystym sumieniem.

201.

Pochwała. – W pochwie jest zawsze pewnego rodzaju zgiełk: nawet w pochwie, którą oddajemy samym sobie.

202.

Marnotrawca. – Nie jest on jeszcze tak ubogi, jak ów bogacz, który cały swój skarb już raz przeliczył – marnotrawi ducha swego z nierozumem marnotrawczyni przyrody.

203.

*Hic niger est.* [oto jest czarny (charakter); Horacy, *Satyry* I, 4, w. 85] – Zazwyczaj nie ma on żadnej myśli – lecz wyjątkowo przychodzą mu złe myśli.

204.

Żebrak i dworność. – "Nie jest się niegrzecznym, jeśli się stuka kamieniem do drzwi, u których brak dzwonka" – tak myślą żebracy i potrzebujący wszelkiego rodzaju; lecz nikt nie przyznaje im słuszności.

205.

Potrzeba. – Potrzeba uchodzi za przyczynę powstawania: w rzeczywistości jest ona często tylko skutkiem tego, co powstało.

206.

Podczas deszczu. – Deszcz pada i myślę o biednych ludziach, którzy się teraz tłoczą do kupy, ze swymi licznymi troskami, niewéwiczeni do ich ukrywania, więc każdy gotów i pełen dobrej woli zadawać ból drugiemu i sprawiać sobie nawet przy niepogodzie mizerny rodzaj przyjemności. – To, tylko to jest ubóstwem ubogich!

207.

Zazdrośnik. – Oto zazdrośnik – nie należy mu życzyć dzieci; zazdrościłby im, ponieważ nie może stać się już dzieckiem.

208.

Wielki mąż! – Z tego, że ktoś jest "wielkim mężem", niekoniecznie jeszcze wynika, że jest mężem; może jest on tylko chłopcem lub kameleonem wszystkich wieków życia, lub zaczarowaną samicą.

209.

Pewien rodzaj pytania o uzasadnienia. – Istnieje sposób pytania nas o nasze uzasadnienia, wobec którego zapominamy nie tylko o naszych najlepszych uzasadnieniach, lecz także czujemy budzącą się w nas przekorę i odrazę do uzasadnień w ogóle – bardzo ogłupiający sposób pytania i nie lada fortel ludzi o tyrańskich skłonnościach.

210.

Miara pilności. – Nie należy chcieć przewyższyć pilności swego ojca – to przyprawia o chorobę.

211.

Tajni wrogowie. – Móc sobie tajnego utrzymywać wroga – to zbytek, na który moralność nawet wysoko nastrojonych duchów nie bywa zazwyczaj dość bogata.

212.

Pozory ładu. – Umysł jego ma złe maniere, jest skwapliwy i jęka się z niecierpliwości: więc nie przeczuwa się nawet, w jakiej duszy o długim oddechu i szerokiej piersi jest u siebie.

213.

Droga do szczęścia. – Pewien mędrzec zapytał błazna, jaka jest droga do szczęścia. Ten odparł bez zwłoki, jak ktoś, którego pytają o drogę do najbliższego miasta: "Podziwiaj samego siebie i żyj na ulicy!". "Stój, zawołał mędrzec, wymagasz za wiele, wystarczy już podziwiać samego siebie!" Błazen odparł: "Lecz jakże można podziwiać się nieustannie, nie pogardzając nieustannie?".

214.

Wiara uszczęśliwia. – Cnota daje szczęście i pewnego rodzaju błogość tylko tym, którzy mają silną wiarę w swą cnotę – lecz nie owym subtelniejszym duszom, których cnota polega na głębokiej nieufności ku sobie i ku wszelkiej nocie. Ostatecznie więc i tutaj "wiara uszczęśliwia"! – a nie, zważcie dobrze, cnota.

215.

Ideał i materiał. – Masz tu dostojny przed oczyma ideał: lecz czy i ty jesteś tak dostojnym materiałem, by mógł powstać z ciebie taki obraz boski? A bez tego – czyż nie jest cała robota twoja barbarzyńskim rzeźbiarstwem? Lżeniem swego ideału?

216.

Niebezpieczeństwo w głosie. – Mając zbyt donośny głos w gardle, niepodobna prawie myśleć o rzeczach subtelnych.

217.

Przyczyna i skutek. – Przed skutkiem wierzy się w inne przyczyny jak po skutku.

218.

Moja antypatia. – Nie lubię ludzi, którzy by wywierać działanie muszą pękać podobnie bombom, i w których bliży jest się zawsze w niebezpieczeństwie postradania słuchu – lub jeszcze czegoś.

219.

Cel kary. – "Celem kary jest poprawa tego, który karze" – oto ostatnia ucieczka obrońców kary.

220.

Ofiara. – O ofierze i ofiarowaniu myślą zwierzęta ofiarne inaczej niż widzowie: lecz nie pozwalano im od dawna dojść do słowa.

221.

Szacunek. – Ojcowie i synowie szanują się daleko więcej między sobą niż matki i córki

222.

Poeta i kłamca. – Poeta widzi w kłamcy swego mlecznego brata, któremu wypił ukradkiem mleko; tak więc pozostał ów nędznym i nie doszedł nawet do czystego sumienia.

223.

Wikariat zmysłów. – I oczy są do słuchania – rzekł pewien stary spowiednik, który ogłuchł; a pośród ślepców jest ten królem, kto ma najdłuższe uszy.

224.

Krytyka zwierząt. – Lękam się, że zwierzęta uważają człowieka za istotę sobie równą, która sposobem bardzo niebezpiecznym straciła zdrowy rozum zwierzęcy – za zwierzę niespełna rozumu, za śmiejące się zwierzę, za płaczące zwierzę, za nieszczęsne zwierzę.

225.

Naturalni. – "Zło wywierało zawsze wielkie wrażenie! A natura jest zła! Bądźmy więc naturalni" – tak wnioskuje tajemnie wielcy ścigacze wrażenia wśród ludzkości, których się nazbyt często do wielkich zaliczało ludzi.

226.

Nieufni i styl. – Mówimy najsilniejsze rzeczy po prostu, pod warunkiem, że są wokoło nas ludzie, którzy wierzą w naszą siłę; takie otoczenie kształci "styl prosty". Nieufni mówią emfatycznie, nieufni czynią emfatycznymi.

227.

Chybiony wniosek, chybiony strzał. – Nie może on owoładnąć sobą; i z tego wnosi owa kobieta, że będzie łatwo nim owoładnąć i zarzuca na niego swe sieci – biedaczka, wkrótce stanie się jego niewolnicą.

228.

Przeciw pośrednikom. – Kto chce pośredniczyć między dwoma odważnymi myślicielami, piętnowany jest miernością: nie ma oczu po temu, by widzieć jednokrotność; widzenie podobieństw i upodabnianie jest oznaką słabych oczu.

229.

Przekora i wierność. – Z przekory trzyma się on jakiejś rzeczy, którą na wskroś przeziiera – nazywa to jednak "wiernością".

230.

Brak umiejętności milczenia. – Cała jego istota nie przemawia do przekonania – pochodzi to stąd, że nie przemilczał nigdy żadnego dobrego czynu, który spełnił.

231.

Gruntowni. – Powolni w poznaniu mniemają, że powolność właściwa jest poznaniu.

232.

Śnić. – Albo nie śnić wcale, albo zajmująco. Trzeba się nauczyć tak samo czuwać – wcale nie lub zajmująco.

233.

Najniebezpieczniejszy punkt widzenia. – To, co teraz czynię lub czego poniecham, jest dla wszystkiego, co przyjdzie, tak ważne jak największe wydarzenie przyszłości: z tej olbrzymiej perspektywy oddziaływania są wszystkie czynności jednakowo wielkie i małe.

234.

Pocieszająca mowa muzykanta. – "Życie twe nie dzwoni ludziom w uszy: dla nich żyjesz życiem niemym, a wszelka subtelność melodii, wszelki delikatniejszy pomysł kolejności i następstwa pozostaje dla nich skryty. Prawda: nie przechodzisz szeroką ulicą z muzyką pułkową – lecz przeto nie mają ci poczciwi przecie żadnego prawa mówić, że sposobowi twego życia zbywa na muzyce. Kto ma uszy, niech słucha".

235.

Duch i charakter. – Niejeden dosięga szczytu dzięki charakterowi, lecz duch jego nie jest właśnie do tej wyżyny dostosowany – a niejeden odwrotnie.

236.

By tłum poruszyć. – Czyż ten, kto chce tłum poruszyć, nie musi być aktorem względem samego siebie? Czyż nie musi samemu sobie wpierw nadać groteskowej wyrazistości i całej swej osoby i sprawy przedstawić w tym pogrubieniu i uproszczeniu?

237.

Uprzejmy. – "Jest on tak uprzejmy!" – Tak, ma zawsze przy sobie placek dla Cerbera, a jest tak bojaźliwy, że każdego za Cerbera uważa, i ciebie i mnie – to jest jego "uprzejmość".

238.

Niezawistny. – Pozbawiony jest zawiści, lecz nie ma w tym jego zasługi: ponieważ chce zdobyć kraj, którego nikt jeszcze nie posiadał i nikt też nawet nie widział.

239.

Bezradosny. – Jedyne bezradosny człowiek wystarczy już, by całemu domostwu nadać trwałą ponurość i posępne niebo; i tylko cudem dzieje się, że tego jednego brak! – Szczęście jest daleko mniej zaraźliwą chorobą – skąd to pochodzi?

240.

Nad morzem. – Nie zbudowałbym sobie domu (i potrzebne to nawet do mego szczęścia nie być właścicielem domu!), gdybym jednak musiał, to bym wybudował go, jak niejeden Rzymianin, aż w morze – miałbym ja z tym pięknym potworem niejedną tajemnicę wspólną.

241.

Dzieło i artysta. – Artysta ten jest ambitny i nic więcej: w końcu jest dzieło jego tylko powiększającym szkłem, które ofiaruje każdemu, kto ku niemu spogląda.

242.

*Suum cuique*. [każdemu to, co mu się należy] – Aczkolwiek wielka jest moja chciwość wiedzy: to nie mogę wydobyć z rzeczy nic innego nad to, co już do mnie należy – posiadanie innych zostaje w rzeczach. Jakże to możliwe, by człowiek był złodziejem i rabusiem!

243.

Początek "dobra" i "zła". – Coś lepszego wynajdzie tylko ten, kto potrafi czuć: "to nie jest dobre".

244.

Myśli i słowa. – Nie można i swoich myśli zupełnie oddać w słowach.

245.

Pochwała w wyborze. – Artysta wybiera swoje tematy: jest to jego sposób pochwały.

246.

Matematyka. – Chcemy dokładność i ścisłość matematyki wprowadzić we wszystkie umiejętności, o ile to tylko jest gdzieś możliwe; nie żebyśmy przypuszczali, że na tej drodze poznamy rzeczy, lecz by przez to ustalić nasz ludzki do rzeczy stosunek. Matematyka jest tylko środkiem do powszechnej i ostatecznej znajomości ludzi.

247.

Nawyknienie. – Wszelkie nawyknienie czyni rękę naszą dowcipniejszą, a dowcip nasz mniej rączym.

248.

Książki. – Cóż zależy na książce, która nas nawet nie unosi precz od wszystkich książek.

249.

Westchnienie poznającego. – "Och, ty chciwości moja! – W duszy tej nie mieszka wcale bezosobistość – raczej pożądana wszystkiego osobistość, która by chciała przez wiele indywidualności patrzeć jak przez swoje oczy i chwytać jakby swymi rękoma – nawracająca jeszcze nawet po zagarnięciu przeszłości osobistość, która niczego stracić nie chce, co by do niej w ogóle należeć mogło! O, ty płomieniu mej chciwości! Och, móc się odrodzić w stu istotach!" – Kto nie zna westchnień tych z doświadczenia, nie zna też namiętności poznającego.

250.

Wina. – Chociaż najbystrzejsi sędziowie czarownic, a nawet czarownice same, przekonani byli o winie czarownictwa, mimo to wina nie istniała. Tak ma się rzecz z wszelką winą.

251.

Nierozumiani cierpiący. – Wspaniałe natury cierpią inaczej, niż to sobie wyobrażają ich czciciele: cierpią najsrożej z powodu nieszlachetnych, małoskownych wzburzeń niejednej złej chwili, słowem z powodu zwątpień we własną wspaniałość – nie zaś z powodu ofiar i męczeństw, których od nich zadanie ich żąda. Dopóki Prometeusz lituje się nad ludźmi i ofiaruje się za nich, jest szczęśliwy i wielki w sobie; lecz gdy zazdrosny się staje o Zeusa i o hołdy, które składają mu śmiertelni – wtedy cierpi!

252.

Raczej być winnym. – "Raczej winnym pozostać, niż płacić pieniądzem, który nie nasz obraz nosi!" – Tego żąda nasza samowładcza udzielność.

253.

Zawsze w domu. – Pewnego dnia osiągamy swój cel i wtedy z dumą zwracamy uwagę na długie podróże, któreśmy dlań odbyli. W rzeczywistości nie zauważyliśmy, żeśmy podróżowali. Właśnie dlatego doszliśmy tak daleko, iż na każdym miejscu mniemaliśmy, żeśmy w domu.

254.

Przeciw zakłopotaniu. – Kto zawsze jest głęboko zajęty, jest hen ponad wszelkim zakłopotaniem.

255.

Naśladowcy. – A: "Jak to? Nie chcesz żadnych naśladowców?". B: "Nie chcę, by mnie w czymś naśladowano; chcę, by każdy chadzał własną drogą, tak samo, jak ja to czynię". A: "Więc?" –

256.

Naskórkowość. – Wszyscy ludzie głębocy pokładają szczęśliwość swą w tym, by być raz podobnymi do ryb latających i igrac na najwyższych szczytach fal; jako najlepsze cenią w rzeczach to, że posiadają one powierzchnię: ich naskórkowość – *sit venia verbo* [niech mi będzie wolno powiedzieć].

257.

Z doświadczenia. – Niejeden nie wie, jak jest bogaty, aż doświadczy, co za bogaci ludzie go okradają.

258.

Przeczyciele przypadku. – Żaden zwycięzca nie wierzy w przypadek.

259.

Z raj u. – "Dobro i zło są przesądami Boga" – rzekł wąż.

260.

Tabliczka mnożenia. – Jeden nie ma nigdy słuszności: lecz od dwóch zaczyna się prawda. – Jeden nie może się dowieść: lecz dwóch nie można już zbić.

261.

Oryginalność. – Co to jest oryginalność? Coś widzieć, co jeszcze żadnego nie ma miana, jeszcze nazwane być nie może, jakkolwiek leży przed oczami wszystkich. Tacy już zwyczajnie są ludzie, że dopiero miano czyni im jakąś rzecz w ogóle widzianą. – Oryginalni byli też przeważnie nadawcami mian.

262.

*Sub specie aeterni.* [z punktu widzenia wieczności] – A: "Oddalasz się coraz szybciej od żyjących: wnet wykreślą cię z list swoich!". – B: "Jest to jedyny sposób, by uczestniczyć w przywileju zmarłych". – A: "W jakim przywileju?". – B: "Że już nie można umrzeć".

263.

Bez próżności. – Jeśli kochamy, to pragniemy, by braki nasze pozostały w ukryciu – nie z próżności, lecz aby nie cierpiała istota kochana. Tak kochający chciałby uchodzić za Boga – i to też nie z próżności.

264.

Co czynimy. – To, co czynimy, nie jest nigdy rozumiane, jeno chwalone lub ganione.

265.

Największy sceptycyzm. – Czymże są ostatecznie prawdy ludzkie? – Są to niedające się zbić błędy ludzkie.

266.

Gdzie okrucieństwa potrzeba. – Kto jest wielki, jest okrutny dla swoich cnót i względów drugorzędnych.

267.

Mając cel wielki. – Mając cel wielki, jest się nawet ponad sprawiedliwością, nie tylko ponad swymi czynami i sędziami swymi.

268.

Co czyni bohatera? – Iść naprzeciw zarazem najwyższemu swemu cierpieniu i najwyższej swej nadziei.

269.

W co wierzysz? – W to: że wagi wszystkich rzeczy na nowo trzeba oznaczyć.

270.

Co mówi ci sumienie? – "Winienesz stać się tym, kim jesteś".

271.

W czym leżą największe twe niebezpieczeństwa? – W litości.

272.

Co kochasz w innych? – Swoje nadzieje.

273.

Kogo nazywasz złym? – Tego, który chce zawsze zawstydząć.

274.

Co wydaje ci się najbardziej ludzkie? – Oszczędzić komuś wstydu.

275.

Co jest pieczęcią osiągniętej wolności? – Przestać się wstydzić samego siebie.

# Wiedza radosna

## Księga czwarta

### *Sanctus Januarius*

O                    ty,                    którego                    miecz                    płomienny  
W                    kry                    rozbił                    mojej                    duszy                    lód,  
Że                    mknie                    ku                    toni                    mórz                    bezdennej  
W                    najwyższych                    swych                    nadziei                    cud:  
Jaśniejsza                    co                    dzień,                    zdrowsza                    żwawiej,  
Choć                    ją                    miłosny                    pęta                    mus,  
Wolna:                    –                    więc                    cuda                    twoje                    sławi,  
O sanctus Januarius!

Genua, styczeń 1882

276.

Na Nowy Rok. – Żyję jeszcze, myślę jeszcze: muszę jeszcze żyć, bo muszę jeszcze myśleć. *Sum, ergo cogito: cogito, ergo sum*. Dziś pozwala sobie każdy wypowiedzieć swe życzenia i najukochańsze myśli: więc i ja chcę też powiedzieć, czego dziś sobie życzyłem od siebie samego i jaka mi myśl tego roku nasamprzód przez serce przebiegła – jaka myśl ma mi być podstawą, poręką i słodyczą całego dalszego życia! Chcę uczyć się coraz więcej, to, co konieczne w rzeczach, widzieć jako piękne – tak stanę się jednym z tych, którzy rzeczy pięknymi czynią. *Amor fati* [umiłowanie losu]: to niechaj odtąd będzie mą miłością! Nie chcę prowadzić wcale wojny przeciw brzydocie. Nie chcę oskarżać, nie chcę oskarżać nawet oskarżyciela. Odwracanie oczu niech będzie moim jedynym przeczeniem! A na ogół: chcę tylko jeszcze kiedyś być potwierdzicielem!

277.

Osobista opatrność. – Istnieje pewien wysoki punkt życia: jeśliśmy go osiągnęli, to z całą swą wolnością, choćbyśmy najbardziej nawet odmawiali pięknemu chaosowi istnienia pieczołowitego rozumu i dobroci, stajemy raz jeszcze wobec największego niebezpieczeństwa duchowej niewoli i mamy najcięższą wytrzymać próbę. Teraz bowiem zjawia się dopiero przed nami z natrętną siłą myśl o osobistej opatrności i ma za sobą najlepego rzeczownika, naoczność, teraz, gdy widzimy jak na dłoni, że wszystko, wszystko, co nas spotyka, wychodzi nam na dobre. Życie każdego dnia i każdej godziny zdaje się nie pragnąć niczego, jak tylko zawsze na nowo dowodzić tego pewnika: cokolwiek się zdarzy, pogoda czy

niepogoda, strata przyjaciela, choroba, potwarz, spóźnienie się listu, wywichnięcie nogi, spojrzenie rzucone w głąb kramu kupieckiego, przeciwargument, otwarcie książki, sen, oszustwo: wszystko okazuje się natychmiast lub wkrótce potem jako rzecz, której "braknąć nie mogło" – jest pełne głębokiego znaczenia i pożytku właśnie dla nas! Czyż istnieje niebezpieczniejsze uwodzicielstwo niż wypowiedzenie wiary bogom Epikura, owym beztruskim nieznanym i uwierzenie w jakieś zatroskane i małostkowe bóstwo, które nawet każdy włoszek na naszej głowie zna osobiście i nie czuje wstrętu do najmizerniejszej posługi? Otóż – sądzę pomimo wszystko! – że winniśmy zostawić w pokoju bogów i usłużne geniusze również, i zadowolić się przekonaniem, że nasza własna teoretyczna i praktyczna zręczność w wykładaniu i porządkowaniu wydarzeń doszła teraz do szczytu. Nie powinniśmy też zbyt wysokiego mieć wyobrażenia o tej palcowo biegłej mądrości swojej, gdy czasem uderzy nas niespodzianką cudowna harmonia, powstająca przy grze na naszym instrumencie; harmonia, brzmiąca zbyt pięknie, byśmy się ważyć mogli przypisać ją sobie samym. W istocie ktoś gra tu i ówdzie wraz z nami – luby przypadek: prowadzi nas przy sposobności dłoń, a najmędrza opatrność nie mogłaby piękniejszej wymyślić muzyki nad tę, która udaje się wtedy naszej niemądrej dłoni.

278.

Myśl o śmierci. – Sprawia mi melancholijne szczęście żyć w pośrodku tego zamętu uliczek, potrzeb, głosów: ileż rozkoszy, niecierpliwości, pożądania, ileż spragnionego życia i upojenia życiem wychodzi tu na jaw każdej chwili! A jednak będzie wszystkim tym zgiełkującym, żyjącym, życia spragnionym wkrótce tak cicho! Za każdym stoi jego cień, jego ciemny towarzysz drogi! Jest to zawsze jakby ostatnia chwila przed odjazdem okrętu wychodźczego; ma się sobie wzajem więcej do powiedzenia niż kiedykolwiek, godzina nagli, ocean i jego pustynne milczenie czekają niecierpliwie poza całym tym zgiełkiem – tak zachłanne, tak pewne swego łupu! A wszyscy, wszyscy mniemają, że Dotąd było niczym lub byle czym, że bliska przyszłość jest wszystkim: i stąd ten pośpiech, ta wrzawa, to przegłuszanie się i ubieganie! Każdy chce w tej przyszłości być pierwszy – a przecie śmierć i cisza śmiertelna jest jedyną pewnością i jedyną tej przyszłości wspólnotą! Jak dziwnie, że ta jedyna pewność i wspólnota nie ma żadnego prawie wpływu na tych ludzi i że najdalsi są oni od świadomości bractwa śmierci! Szczęśliwy jestem widząc, że ludzie zupełnie myśleć nie chcą o myśli o śmierci. Chętnie przyczyniłbym się do tego, by im uczynić myśl o życiu po stokroć jeszcze godniejszą myślenia.

279.

Przyjaźń gwiazdna. – Byliśmy przyjaciółmi i staliśmy się sobie obcy. Lecz to słuszne i nie chcemy przed sobą tego ukrywać i zaciemniać, jak gdybyśmy się tego wstydzili mieli. Jesteśmy dwa okręty, z których każdy ma swój cel i swą drogę; możemy się skrzyżować i razem dzień święty święcić, jak to uczyniliśmy – i wtedy spoczywały dzielne okręty w jednej przystani i w jednym słońcu, iż mogło się zdawać, jakby już były u celu i jakby miały być cel jeden. Lecz wtedy wszechmocna potęga naszego zadania rozpędziła nas znowu, na różne morza i zwrotniki, i może nie zobaczymy się już nigdy – a może też zobaczymy się, lecz nie poznamy się już: różne morza i słońca przemieniły nas! Żeśmy obcymi sobie stać się musieli, jest prawem ponad nami: właśnie dlatego winniśmy też stać się sobie czcigodniejszymi!

Właśnie dlatego winna stać się świętsza myśl o naszej dawnej przyjaźni! Istnieje prawdopodobnie ogromna niewidzialna krzywa i kolej gwiazdna, w której nasze tak różne drogi i cele mieścić się mogą jako drobne przestrzenie – wzniesmy się do tej myśli! Lecz życie nasze jest krótkie, a siła wzroku naszego słaba, byśmy czymś więcej być mogli niż przyjaciółmi w znaczeniu owej wzniosłej możliwości. – Więc wierźmy w swą przyjaźń gwiazdną, nawet gdybyśmy sobie wzajem być musieli nieprzyjaciółmi ziemskimi.

280.

Architektura poznających. – Potrzeba będzie kiedyś, i to prawdopodobnie wkrótce kiedyś, zrozumienia, czego przede wszystkim brak naszym wielkim miastom: cichych i obszernych, w dal rozpostartych miejsc do rozmyślenia, miejsc o wysoko sklepionych, długich krużgankach na wypadek niepogody lub zbytniego skwaru, dokąd nie przenika zgiełk wozów i wywoływaczy i gdzie by wytworniejsza przystojność zakazywała nawet księżom głośnej modlitwy: budowli i ogrodów, które jako całość wyrażają wzniosłość namysłu i chodzenia uboczem. Minął czas, gdy Kościół posiadał monopol rozmyślenia, gdy *vita contemplativa* musiała być wprzód zawsze *vita religiosa*; a wszystko, co Kościół zbudował, tę myśl wyrażało. Nie wiem, jakbyśmy mogli poprzestać na tych budowlach, nawet gdyby wyzuły się ze swego przeznaczenia kościelnego; budowle te, jako domy Boga i strojne przybytki nadświatowego obcowania, przemawiają mową zbyt patetyczną i strwożoną, abyśmy, bezbożni, tam swoimi myślami myśleć mogli. Chcemy mieć siebie przetłumaczonych na kamień i rośliny, chcemy przechadzać się w sobie, chodząc po tych salach i ogrodach.

281.

Umieć znaleźć koniec. – Pierwszorzędnym mistrzów można po tym poznać, że umieją, w wielkim jak w małym, w sposób doskonały znaleźć koniec, czy to koniec jakiejś melodii czy myśli, czy to piąty akt tragedii lub akcji państwowej. Najpierwsi niższego stopnia stają się zawsze ku końcowi niespokojni i nie opadają w tak dumnym, spokojnym spadku w morze, jak na przykład wzgórze koło Portofino – tam, gdzie pobraże genueńskie dośpiewywa melodię swą do końca.

282.

Chód. – Są maniery ducha, którymi i wielkie duchy zdradzają, że pochodzą z tłumu lub półtłumu – mianowicie chód i krok ich myśli jest ich zdrajcą: nie umieją chodzić. Tak też Napoleon ku głębokiemu swemu zmartwieniu nie umiał chodzić po książęcu i "prawowicie" przy sposobnościach, gdzie właściwie umieć to trzeba, jak podczas procesji koronacyjnych i rzeczy tym podobnych: i w tym wypadku był zawsze tylko dowódcą kolumny – dumnym i prędkim i bardzo tego świadomym. – Można się uśmieć, patrząc na tych pisarzy, którzy szeleszczą wkoło siebie fałdzistymi szatami okresu: chcą w ten sposób zakryć swe nogi.

283.

Przygotowawcy. – Pozdrawiam wszystkie oznaki, które zwiastują, że zaczyna się czas bardziej męski i wojowniczy, który przede wszystkim znów do czci przywróci waleczność! Albowiem winien utorować drogę jeszcze wyższemu czasowi i zgromadzić siły, których ów kiedyś potrzebować będzie – ów wiek, co w poznanie wniesie heroizm i będzie toczył wojny gwoźli i ich następstwom. Do tego potrzeba teraz wielu przygotowawców, ludzi walecznych, którzy nie mogą przecie wyskoczyć z nicości – ani też z piasku i mułu dzisiejszej cywilizacji i wykształcenia wielkowiejskiego ludzi, którzy umieją być mi leżący, samotni, zdecydowani, w niewidzialnej działalności zadowoleni i ciągli: ludzi, którzy skłonnością wewnętrzną we wszystkich rzeczach szukają tego, co w nich przez wyciężyć trzeba; ludzi, którym pogoda, cierpliwość, prostota, pogarda wielkich próżności właściwa jest, zarówno jak wielkoduszność w zwycięstwie i wzgląd na małe próżności wszystkich zwyciężonych; ludzi z ostrym i wolnym sądem o wszystkich zwycięzcach i o udziale przypadku w każdym zwycięstwie i sławie; ludzi, którzy mają własne święta, własne dni pracy, własne czasy żaloby, nawykłych i pewnych w rozkazywaniu a zarazem gotowych, gdzie trzeba, słuchać, w jednym i drugim jednako dumnych, jednako swej własnej służących sprawie; bardziej na niebezpieczeństwo wystawionych ludzi, straszliwszych ludzi, szczęśliwszych ludzi! Bo, wierzcie mi! – tajemnica, by zebrać żniwo największego urodzaju i największej rozkoszy z istnienia, zwie się: żyć niebezpiecznie! Budujcie miasta swe na Wezuwiuszu! Wysyłajcie swe statki na niezbadane morza! Żyćcie w wojnie z równymi sobie i z samymi sobą. Bądźcie łupieżcami i zdobywcami, dopóki nie możecie być władcami i posiadaczami, wy poznający! Czas wkrótce minie, gdzie starczyć wam mogło żyć skrycie w lesie, podobnie płochym jeleniom! W końcu poznanie wyciągnie dłoń po to, co mu się należy: będzie chciało panować i posiadać, a wy wraz z nim!

284.

Wiara w siebie. – Niewielu ludzi w ogóle ma wiarę w siebie – a z tych niewielu jedni otrzymują ją jako pożyteczną ślepotę i częściowe zaciemnienie ducha (co by ujrzeli, gdyby samych siebie do dna widzieć mogli!), drudzy muszą ją dopiero zdobywać: wszystko, co dobrego, tęgiego, wielkiego czynią, jest najpierw argumentem przeciw sceptykowi, który w nich mieszka – należy go przekonać lub wmówić w niego, a na to trzeba prawie geniuszu. Są to wielcy niewystarczający sobie.

285.

*Excelsior!* [wyższy, wznioślejszy] – "Nie będziesz już nigdy się modlił, już nigdy ubóstwiał, nigdy w bezkresnej odpoczywał ufności – zabronisz sobie stawać i wypręgać swe myśli przed ostateczną mądrością, ostateczną dobrocią, ostateczną mocą – nie będziesz miał żadnego ustawicznego stróża i przyjaciela dla siedmiu swych samotności – będziesz żyć bez widoku na wzgórza, które śnieg dźwigają na czole, a żary w swym sercu – nie będzie dla ciebie żadnego odpłatcy, żadnego poprawiciela w ostatniej instancji – nie będzie żadnego już rozumu w tym, co się dzieje, żadnej miłości w tym, co ci się stanie – nie będzie dla serca

twego stało otworem żadne miejsce odpoczynku, gdzie by znajdować tylko mogło, a niczego już nie szukać – bronić się będziesz przeciw wszelakiemu ostatecznemu pokojowi, pragnąć będziesz wiecznego nawrotu wojny i pokoju – człowiecze wyrzeczenia, czy we wszystkim tym chcesz wyrzeczenia? Kto ci da siły ku temu? Nikt jeszcze nie miał tej siły!" – Jest jezioro, które pewnego dnia odmówiło sobie odpływu, i wzniosło tam tamę, dokąd odpływało dotychczas: odtąd wzbiera jezioro to coraz wyżej. Może właśnie owo wyrzeczenie użyć nam siły, która znieść nam pozwoli samo wyrzeczenie; może człowiek będzie coraz wyżej wzbierał, odkąd przestanie przelewać się w Boga.

286.

W przerwie. – Są tu nadzieje: lecz cóż z nich ujrzye lub usłyszycie, jeśliście we własnych swych duszach nie przeżyli blasku i żaru i jutrzni? Mogę tylko przypominać – więcej nie mogę! Poruszać kamienie, zwierzęta zmieniać w ludzi – czy tego chcecie ode mnie? Ach, jeśli kamieniami i zwierzętami jeszcze jesteście, to szukajcie sobie wprzód swego Orfeusza!

287.

Rozkosz z ślepoty. – "Myśli moje, rzekł wędrowiec do swego cienia, mają mi wykazywać, gdzie stoję: lecz nie powinny mi zdradzać, dokąd idę. Kocham nieznamość przyszłości i nie chcę zginąć z niecierpliwości i przedsmaku zakazanych rzeczy".

288.

Wysokie nastroje. – Zdaje mi się, że większość ludzi nie wierzy w ogóle w wysokie nastroje, chyba na chwile, najwyżej na kwadrans – wyjąwszy tych nielicznych, którzy znają z doświadczenia dłuższy przeciąg trwania wysokiego uczucia. Lecz nawet człowiek jednego wysokiego uczucia, że jest wcieleniem jedyne wielkiego nastroju – był dotąd tylko snem i zachwycającą możliwością: historia nie daje nam jeszcze żadnego pewnego tej rzeczy przykładu. Mimo to mogłaby też kiedyś zrodzić takich ludzi – wówczas, gdyby stworzyło się i ustaliło mnóstwo przychylnych uprzednich warunków, których teraz i najprzychylniejszy przypadek nie zdołałby razem zgromadzić. Może tym przyszłym duszom byłoby zwyczajnym stanem rzeczy to właśnie, co dotąd tu i ówdzie wchodziło czasem w dusze nasze, jako ze zgrozą odczuwany wyjątek: ustawiczny ruch między wyżyną a głębią i uczucie wyżyny i głębi, ustawiczne jakby wstępowanie po schodach, a zarazem jakby spoczywanie na chmurach.

289.

Na okręty. – Jeśli się zważy, jak na każdą jednostkę działa filozoficzne ryczałtowe usprawiedliwienie jej sposobu życia i myślenia – to jest podobnie ogrzewającemu,

błogosławiącemu, zapładniającemu, jej osobiście świecącemu słońcu, jak czyni ją niezależną od pochwały i nagany, wystarczającą sobie, bogatą, hojną w szczęściu i życzliwości, jak nieustannie przetwarza zło w dobro, siły wszystkie doprowadza do rozkwitu i dojrzałości i nie dozwala wcale rozwinąć się małym chwastom zgryzoty i zgryźliwości – to woła się w końcu z pożądaniem: oby przecie wiele takich nowych słońc jeszcze stworzono! Niech i zły, i nieszczęśliwy, i człowiek wyjątkowy ma swoją filozofię, swe dobre prawo, swój blask słoneczny! Nie litować się nad nimi potrzeba! – tego pomysłu wielkoduszności musimy się oduczyć, chociaż tak długo ludzkość uczyła się go i w nim ćwiczyła – nie ustanawiamy żadnych spowiedników, zaklinaczy dusz i odpuścicieli grzechów! Lecz nowej sprawiedliwości potrzeba! I nowego hasła! I nowych filozofów! I moralna ziemia jest okrągła! I moralna ziemia ma swoje antypody! I antypody mają swe prawo istnienia! Jest jeszcze nowy świat do odkrycia – i więcej niż jeden! Na okręty, filozofowie!

290.

Jednego trzeba. – Charakterowi swemu "nadać styl" – wielka i rzadka sztuka! Uprawia ją ten, kto spojrzeniem ogarnia wszystko, czym jest natura jego w siłach i słabościach, i który potem wciąga to w artystyczny plan, aż każdy szczegół ukaże się jako sztuka i rozum i nawet słabość zachwyci oko. Tu przydano wielki kawał drugiej natury, tam część pierwszej natury odjęto: oba razy po długim ćwiczeniu i codziennej nad tym pracy. Tutaj brzydotę, która się zdjąć nie dała, schowano, tam przemieniono ją we wzniosłość. Wiele nieokreślonego, opierającego się kształtowaniu zachowano i wyzyskano dla perspektywy: winno działać z odległości i niezmierności. W końcu, gdy dzieło skończone, okazuje się, jak wszystko to było pod przymusem tego samego smaku, który w ogóle i szczególe władał i kształtował: czy smak był dobry, czy zły, to mniej ważne, niż się mniema – dość, że jest to smak! Będą to silne, żadne władzy natury, które w takim przymusie, w takim poddaniu się i dążeniu do całkowitości pod własnym prawem, najwyższej swej używają rozkoszy; namiętność ich potężnego chcenia doznaje folgi na widok wszelkiej stylizowanej natury, wszelkiej zwyciężonej i służącej natury; nawet jeśli budują pałace lub zakładają ogrody nie pozostawiają naturze wolnej ręki. Odwrotnie, są słabymi, samymi sobą niewładającymi charakterami ci, którzy nienawidzą zwartości stylu. Czują, że gdyby nałożyli sobie ten gniewny przymus, staliby się pod nim pospolitymi: stają się niewolnikami, gdy tylko służą, nienawidzą służenia. Takie duchy – mogą to być duchy najwyższego rzędu – dążą zawsze do tego, by samych siebie i swe otoczenie kształtować i przemieniać w wolną naturę – dziką, samowolną, dziwaczną, nieporządną, niespodzianą – i dobrze czynią, ponieważ tylko w ten sposób sprawiają sobie przyjemność! Bo jednego trzeba: by człowiek osiągnął z siebie zadowolenie – bądź to przez to lub inne zmyślenie i sztukę: tylko wtedy dopiero jest człowiek w ogóle znośnym widokiem! Kto z siebie niezadowolony, jest ustawicznie gotów mścić się za to: my inni będziemy jego ofiarami, choćby tylko w tym, że zawsze będziemy musieli znosić jego brzydki widok. Bo widok brzydoty czyni złym i posępnym.

291.

Gen u a. – Przypatrywałem się dobrą chwilę temu miastu, jego willom i ogrodom i dalekiemu okręgowi jego zamieszkałych wzgórz i zboczy; w końcu muszę rzec: widzę twarze

minionych pokoleń – okolica ta obsiana jest obrazami dzielnych i wielmożnych ludzi. Oni żyli i chcieli żyć po śmierci – to mówią ich domy, budowane i zdobione z myślą o stuleciach, nie o przelotnej chwili: byli dobrotliwi dla życia, choć mogli często być źli dla siebie samych. Widzę zawsze budującego, jak spoczywa wzrokiem swym na wszystkim, co zbudowane zostało w krąg niego w dali i w pobliżu, a zarówno na mieście, morzu i zarysach wzgórz, jak wzrokiem tym wywiera moc i zdobywa: wszystko to chce nagiąć do swego planu i ostatecznie swoją uczynić własnością przez to, że wszystko to staje się tego planu częścią. Cała ta okolica obrosła tym wspaniałym, nienasyconym egoizmem żądy posiadania i zdobyczy; i jak ludzie ci nie uznawali żadnej granicy w oddali i w swym pragnieniu nowości ustawiali nowy świat obok starego, tak samo też powstawał w ojczyźnie zawsze każdy przeciw każdemu i wynachodził sposób wyrażenia swej wyższości i postawienia swej osobistej nieskończoności pomiędzy sobą a swym sąsiadem. Każdy zdobywał sobie raz jeszcze ojczyste swe miasto dla siebie, narzucając mu przemoc swoich architektonicznych myśli i niejako przetwarzając je w rozkosz dla oczu swego domu. Na północy, jeśli przyglądamy się sposobowi budowania miast, imponuje prawo i powszechna radość z prawności i posłuszeństwa: zgaduje się przy tym owo wewnętrzne stawianie się na równi, poddanie się ładowi, które musiało opanować dusze wszystkich budujących. Tu jednak, na każdym skrucie, znajdziesz człowieka samego dla siebie, który zna morze, przygody, Wschód, człowieka, który niechętny jest prawu i sąsiadowi, jako pewnemu rodzajowi nudy i który wszystko ustanowione i stare zawistnym mierzy spojrzeniem: chciałby cudowną chytrą fantazją wszystko to przynajmniej w myślach raz jeszcze na nowo ustanowić i rękę swą na tym, myśl swoją w to włożyć choćby tylko dla chwili słonecznego popołudnia, gdy nienasycona jego i melancholijna dusza sytość uczuje, a oku jego tylko to, co jego własne, a nic obcego ukazać się nie śmie.

292.

Do kaznodziejów moralności. – Nie chcę moralizować, lecz tym, którzy to czynią, daję tę radę: jeśli chcecie najlepsze rzeczy i stany pozbawić ostatecznie wszelkiej czci i wartości, to nuże, bierzcie je dalej na język jak dotąd! Postawcie je na szczycie moralności i prawcie od rana do wieczora o szczęściu cnoty, o spokoju duszy, o sprawiedliwości i tkwiącej w rzeczach odpłacie: w ten sposób, jak to czynicie, przyczepia się w końcu do tych wszystkich dobrych rzeczy popularność i krzyk uliczny; lecz wtedy też ściiera się z nich wszelkie złoto i więcej jeszcze: wszelkie złoto w nich zmienia się w ołów. Zaprawdę, znacie się na odwrotnej sztuce alchemii: na pozbawianiu wartości tego, co najwartościowsze! Uchwycie się raz na próbę innego przepisu, by nie jak dotąd osiągać przeciwieństwo tego, czego szukacie: zaprzeczajcie owych dobrych rzeczy, odbierzcie im poklask tłumu i łatwy obieg, uczynicie je znów ukrytymi wstydlivościami dusz samotnych, mówcie: moralność jest czymś zabronionym! Może w ten sposób pozyskacie dla tych rzeczy ten rodzaj ludzi, na których jedynie coś zależy, mam na myśli heroicznych! Lecz wówczas musi w tym być coś, co przejmuję lękiem, a nie, jak dotychczas, wstrętem! Nie chciałoby się dziś rzec o moralności, jak [Mistrz Eckhart](#): "proszę Boga, by mnie skwitował z Boga"?

293.

Nasze powietrze. – Wiemy to dobrze: kto tylko jak podczas przechadzki rzuca czasem okiem na wiedzę, sposobem kobiet i niestety też wielu artystów: dla tego posiada surowość jej służby, ta nieubłaganość w szczegółach jak w ogóle, ta szybkość w rozważaniu, sądzeniu, osądzaniu, coś przejmującego zawrotem głowy i strachem. Mianowicie przestrasza go to, że najcięższych wymaga się tu rzeczy, najlepszych dokonywa, bez przypadających za to pochwał i odznaczeń, raczej, jak pośród żołnierzy, rozlegają się nieomal tylko nagany i ostre wytyki – ponieważ sprawność uchodzi tu za правило, pobłędzenie za wyjątek: правило jednak ma tu, jak wszędzie, usta milczące. Z tą "surowością wiedzy" ma się rzecz tak samo, jak z formą i uprzejmością najlepszego towarzystwa: przestrasza niewtajemniczonego. Kto jednak przywykł do niej, nie mógłby wcale żyć gdzie indziej, tylko w tej, jasnej, przejrzystej, mocnej, silnie elektrycznością przepojonej atmosferze, w tej męskiej atmosferze. Wszędzie poza tym jest mu nie dość czysto i powietrzno: domyśla się, że tam najlepsza jego sztuka nikomu nie przyniosłaby dość pożytku, a jemu samemu nie sprawiałaby uciechy, że pośród nieporozumień połowa jego życia wymknęłaby się przez palce, że potrzeba by ustawicznie wiele ostrożności, ukrywania i tłumienia w sobie – samych wielkich i bezużytecznych uszczerbków siły! W tym zaś surowym, lecz czystym żywiole posiada całą swą siłę: tu może latać! Po cóż by znów miał schodzić ku owym mętnym wodom, gdzie trzeba pływać i brodzić i brudzić swe skrzydła! Nie! Tam żyć nam zbyt ciężko, cóżemy winni, żeśmy do powietrza zrodzeni, do czystego powietrza, my współzawodnicy świetlnego promienia, i że najchętniej, podobnie jemu, cwałowalibyśmy na pyłkach eteru i nie precz od słońca, lecz ku słońcu! Tego jednak nie możemy – pragniemy tedy czynić, co jedynie umiemy: nieść ziemi światło, być "światłem ziemi"! I po to mamy swe skrzydła i swą szybkość, i surowość, dlatego jesteśmy męscy i nawet straszliwi, podobni ogniowi. Niechaj się boją nas ci, którzy nie umieją się nami ogrzać i rozjaśnić!

294.

Przeciw potwarcom przyrody. – Niemili są mi to ludzie, w których każda naturalna skłonność natychmiast chorobą się staje, czymś szpecącym, a nawet haniebnym – ci uwiedli nas ku mniemaniu, że skłonności i popędy człowieka są złe; oni są przyczyną naszej wielkiej niesprawiedliwości dla przyrody, dla wszelkiej przyrody! Jest dość ludzi, którzy mogą oddawać się swym popędom z wdziękiem i beztrząsą: lecz nic czynią tego z obawy przed ową urojoną "złą istotą" przyrody! Stąd to pochodzi, że tak mało znaleźć można wśród ludzi dostojności: której odznaką będzie zawsze nie obawiać się siebie, nie oczekiwać po sobie nic haniebnego, bez namysłu lecieć, gdzie nas rwie – nas, urodzone ptaki! Dokądkolwiek kiedy przybędziemy, zawsze będzie wolno i słonecznie wkoło nas.

295.

Krótkie nawyknięcia. – Kocham krótkie nawyknięcia i uważam je za nieoceniony środek poznawania wielu rzeczy i stanów, i w głąb aż w sedno ich słodczy i goryczy; natura moja jest cała sporządzona dla krótkich nawyknień, nawet w potrzebach swego cielesnego zdrowia i w ogóle, jak dalece tylko widzieć mogę: od rzeczy najniższych do najwyższych. Zawsze wierzę, że to będzie mnie trwale zadowalało – i krótkie nawyknięcie żywi ową wiarę namiętności, wiarę w wieczność – i że jestem zazdrości godzien, i że to znalazł i poznał – i oto rzecz ta żywi mnie w południe i wieczorem i roztacza głębokie zadowolenie wkoło siebie

i we mnie, tak że nie pragnę ludzi, chyba by porównywać lub pogardzać lub nienawidzić. I pewnego dnia nadszedł jej czas: dobra rzecz bierze rozbrat ze mną, nie jak coś, co wstrętem mnie napawa – lecz spokojna i mnie syta, jak ja jej, i jak gdybyśmy sobie wzajem wdzięczni być musieli i tak sobie podawali ręce na rozstanie. I już czeka rzecz nowa u drzwi, i tak samo wiara moja – niespożyta błaznica i mędrzyni! – że to nowe będzie tym prawdziwym, tym ostatecznie prawdziwym. Tak dzieje się z potrawami, myślami, ludźmi, miastami, poezjami, muzyką, naukami, porządkami dnia i trybami życia. Natomiast nienawidzę trwałych nawyknień i sądzę, że tyran zbliża się do mnie i że grubiej moja rozkosz z życia, gdzie wydarzenia tak się układają, że zdają się z nich siłą konieczności wyrastać trwałe nawyknięcia: na przykład skutkiem urzędu, skutkiem ustawicznego przebywania z tym samym człowiekiem, skutkiem stałego miejsca zamieszkania, skutkiem jednostajnego zdrowia. Tak, wszelkiej swej nędzy i niedomaganiu, i co tylko jest we mnie niedoskonałego – jestem wdzięczny w najskrytszej głębi swej duszy, ponieważ pozostawia mi to sto drzwi tylnych, przez które uciec mogę od trwałych nawyknień. – Najnieznośniejsze oczywiście, najstraszniejsze właśnie, byłoby dla mnie życie zupełnie bez nawyknień, życie, które ustawicznie wymaga improwizacji; to byłoby mym wygnaniem i mym Sybirem.

296.

Stała opinia. – Stała opinia była niegdyś rzeczą najbardziej pożyteczną; i zawsze, gdzie tylko społeczność opanowana jest jeszcze instynktem stadnym, jest dla każdej jednostki dziś jeszcze rzeczą najzgodniejszą z celem podawać swój charakter i swe zajęcie za niezmiennie – nawet gdyby nimi w gruncie rzeczy nie były. "Można się spuścić na niego, pozostanie jednaki" – to jest we wszystkich niebezpiecznych położeniach społeczności pochwała, która ma mieć największe znaczenie. Społeczność czuje z satysfakcją, że ma niezawodne, każdej chwili gotowe narzędzie w cnocie tego, w dumie tamtego, w rozmyślaniu i namiętności trzeciego – i zaszczycą tę naturę narzędzia, tę wierność samemu sobie, tę niezmiennność w zapatrywaniach, usiłowaniach i nawet niecotach, najwyższymi swymi zaszczytami. Taki szacunek, który wszędzie wraz z obyczajnością obyczaju kwitnie i kwitnął, wychowuje "charaktery" i osławia wszelką przemianę, przeinaczanie, samo przeistaczanie. Jest to w każdym razie, choćby nie wiedzieć jak wielki zresztą był pożytek tego sposobu myślenia, najszkodliwszy dla poznania sposób powszechnego sądu: bo właśnie dobra wola poznającego, nielekająca się oświadczyć każdej chwili przeciw swemu dotychczasowemu mniemaniu i w ogóle nie ufać wszystkiemu, co w nas chce się stać stałe – jest tu osądzona i osławiona. Ustrój umysłowy poznającego, jako będący w sprzeczności ze "stałą opinią", uchodzi za niezaszczytany, gdy tymczasem skamieniałość zapatrywań cieszy się całym szacunkiem – pod kłatwą takiego mniemania musimy żyć dziś jeszcze! Jak ciężko się żyje, czując ocenę wielu stuleci wkoło siebie i przeciw sobie! Prawdopodobnym jest, że przez wiele wieków poznanie obarczone było nieczystym sumieniem i że wiele musiało być samowzgardy i tajemnej nędzy w historii największych duchów.

297.

Móć przeczyć. – Każdy wie teraz, że umieć znosić przeczenie to wysoki znak kultury. Niektórzy wiedzą nawet, że człowiek wyższy życzy sobie i wywołuje cudze przeczenie, by otrzymać wskazówkę co do swojej, jemu dotychczas nieznannej niesprawiedliwości. Lecz to,

że się może przeczyć, że się osiągnęło czyste sumienie we wrogości względem tego, co nawykłe, przekazane, uświęcone to więcej niż tamto oboje, i właściwie wielkie, nowe, zdumiewające w naszej kulturze, krok nad krokami oswobodzonego ducha: kto to wie?

298.

Westchnienie. – Schwytałem myśl tę po drodze i szybko sięgnąłem po najbliższe złe słowa dla jej utrwalenia, aby mi znów nie uleciała. I oto mi umarła z tych suchych słów i wisi, i chwieje się na nich i prawie już nie wiem, gdy na nią spojrzę, jak mogłem takiego doznawać szczęścia, schwytawszy tego ptaka.

299.

Czego należy się nauczyć od artystów. – Jakie mamy środki, by uczynić rzeczy pięknymi, pociągającymi, pożądanymi, jeśli nimi nie są? – A sędzę, że nie są nimi w sobie nigdy! Tu możemy nauczyć się czegoś od lekarzy, kiedy na przykład rozcieńczają gorycz i wlewają wino, wsypują cukier w mieszalnik; lecz więcej jeszcze od artystów, którzy właściwie ustawicznie dążą do takich wynalazków i kunsztów. Oddalać się od przedmiotów, aż się już wielu rzeczy w nich nie widzi, a wielu dopatrzeć się musi, aby je widzieć jeszcze – lub widzieć rzeczy z boku i jakby w wycinku – lub tak je ustawić, że się częściowo przysłaniają i perspektywicznie jeno przezierają – lub oglądać je przez barwne szkło lub w świetle zorzy wieczornej – lub dać im powierzchnię i naskórek niezupełnie przejrzysty; tego wszystkiego powinniśmy się nauczyć od artystów, a poza tym mądrzej być niż oni. Bo u nich kończy się zazwyczaj ta ich wysoka sztuka tam, gdzie kończy się sztuka, a zaczyna życie; my jednak chcemy być poetami w życiu i przede wszystkim w najdrobniejszym i najcodzienniejszym!

300.

Przygrywki do wiedzy. – Sądzićież, że umiejętności byłyby powstały i urosły, gdyby nie byli biegli przed nimi czarodzieje, alchemicy, astrologowie i czarownice, jako ci, którzy swymi obietnicami i przygrywkami musieli wprawdzie stworzyć pragnienie, głód i smakowanie w zakrytych i zabronionych mocach? Co więcej, że musiało się nieskończenie więcej obiecywać, niż kiedykolwiek spełnione być może, aby w ogóle cośkolwiek spełniło się w królestwie poznania? – Może w ten sam sposób, jak nam przedstawiają się tu przygrywki i przygotowania do wiedzy, którym oddawano się i które odczuwano wcale nie jako takie, może w ten sam sposób wyda się jakiemuś dalekiemu stuleciu cała religia, jako ćwiczenie i przygrywka: może jest ona przedziwnym środkiem do tego, by kiedyś poszczególni ludzie rozkoszować się mogli całym poprzestawianiem na sobie Boga i całą jego mocą samowyzwolenia. Tak! – zapytać można – byłaby człowiek w ogóle, bez tej religijnej szkoły i tych przeddziejów, nauczył się czuć głód i pragnienie siebie i z siebie czerpać sytość i pełnię? Musiałże wprzód Prometeusz roić, że ukradł światło i pokutować za to – by ostatecznie odkryć, że stworzył światło, pożądając światła, i że nie tylko człowiek, lecz i bóg był dziełem jego rąk i gliną w jego rękach? Byłoby wszystko tylko obrazem

obrazotwórcy? – tak samo jak urojenie, kradzież, Kaukaz, sęp i cała tragiczna Prometea wszystkich poznających?

301.

Urojenie ludzi kontemplacyjnych. – Wysocy ludzie różnią się tym od niższych, że niewypowiedzianie więcej widzą i słyszą, i myśląc widzą i słyszą – i właśnie to różni człowieka od zwierzęcia i wyższe zwierzęta od niższych. Świat staje się coraz pełniejszy temu, kto wyrasta w wyżynę człowieczeństwa; spotyka on coraz więcej zarzuconych na siebie wędek interesu; mnogość jego podniet wzrasta ustawicznie, a tak samo mnogość jego rodzajów rozkoszy i przykrości – wyższy człowiek staje się zawsze zarazem szczęśliwszy i nieszczęśliwszy. Przy tym jednak ustawicznie towarzyszy mu urojenie: mniema on, że stoi jako widz i słuchacz przed wielkim widowiskiem muzycznym, którym jest życie: nazywa naturę swoją kontemplacyjną i przeocza przy tym, że on sam jest właściwie też poetą i dopowiadaczem życia – że się oczywiście bardzo różni od aktora tego dramatu, tak zwanego człowieka działającego, lecz jeszcze bardziej od jakiegoś tylko widza i gościa przed sceną. Jemu, jako poecie, zapewne, że właściwa jest *vis contemplativa* i spojrzenie wstecz na swe dzieło, lecz zarazem i przede wszystkim *vis creativa*, której brak człowiekowi działającemu, cokolwiek by też oczywistość i wszechświatowa wiara rzecz mogły. My, myśląco-odczuwający, jesteśmy tymi, którzy naprawdę i nieustannie czynią, czego tu jeszcze nie ma: cały wiecznie rosnący świat ocen, barw, wag, perspektyw, drabin, stopni, potwierzeń i zaprzeczeń. Tego przez nas wynalezione zmyślenia tak zwani ludzie praktyczni (nasi aktorzy, jak się rzekło) ustawicznie się uczą, ćwiczą się w nim, przekładają je na ciało i rzeczywistość, nawet codzienność. Co tylko w dzisiejszym czasie ma wartość, to nie posiada jej w sobie, wedle natury swej – natura jest zawsze bez wartości – jeno nadano, darowano temu kiedyś wartość, a my byliśmy tymi dawcami i darującymi! My dopiero stworzyliśmy świat, który obchodzi coś człowieka! – Lecz właśnie brak nam wiedzy o tym i jeśli ją kiedyś w jakiejś chwili uchwycimy, to w najbliższej zapominamy znów o niej: nie znamy najlepszej swej mocy i cenimy się, my ludzie kontemplacyjni, o jeden stopień za mało – nie jesteśmy ani tak dumni, ani tak szczęśliwi, jakbyśmy być mogli.

302.

Niebezpieczeństwo najszczęśliwszego. – Posiadać zmysły wytworne i smak wytworny; do tego, co najwyszukańsze i najlepsze w duchu, być nawykłym jako do prawdziwego i najbliższego pokarmu; cieszyć się silną, śmiałą i zuchwałą duszą; ze spokojnym okiem i pewnym krokiem iść przez życie, zawsze przygotowanym na ostateczność jak na święto i pełnym pożądania nieodkrytych światów i mórz, ludzi i bogów; nasłuchiwać każdej pogodnej muzyki, jak gdyby tam waleczni mężowie, żołnierze, żeglarze odpoczynek sobie sprawiali krótki i uciechę, w naj głębszym rozkoszowaniu się chwilą ulec przemocy łez i całej purpurowej zadumie szczęśliwego: któż by nie chciał, by wszystko to było właśnie jego posiadaniem, jego stanem! Było to szczęście Homera! Stan tego, który wynalazł Grekom ich bogów – nie, sobie samemu swych bogów! Lecz nie kryjmy tego przed sobą: z tym szczęściem Homera w duszy jest się też najpodatniejszym cierpieniem stworzeniem pod słońcem! I tylko za tę cenę kupuje się najkosztowniejszą muszlę, jaką fale istnienia dotąd na brzeg wyrzuciły! Jako posiadacz jej, staje się człowiek coraz subtelniejszy w cierpieniu, i

ostatecznie zbyt subtelny: drobne niezadowolenie i wstręt wystarczyły w końcu, by Homerowi życie obmierzić. Nie mógł odgadnąć głupiej zagadki, którą mu zadali młodzi rybacy! Tak, drobne zagadki są niebezpieczeństwem najszcześniejszego!

303.

Dwóch szczęśliwych. – Zaprawdę, człowiek ten, mimo swą młodość, zna się na improwizacji życia i wprawia nawet najprzebieglejszego ostrzegacza w zdumienie – bo zdaje się, że nigdy nie chybia, acz gra uścicznie w grę najniebezpieczniejszą. Przypominają się owi improwizujący mistrzowie dźwięku, którym by też słuchacz przypisać chciał boską nieomyślność ręki, mimo że się tu i ówdzie mylą, jak myli się każdy śmiertelny. Lecz są oni wyćwiczeni i wynalazczy i w okamgnieniu zawsze gotowi najbardziej przypadkowy ton, ku któremu popycha ich rzut palca lub usposobienie chwili, wciągnąć natychmiast w ład tematycznej składowości i tchnąć w przypadek piękną myśl i duszę. – Tu zaś zupełnie inny człowiek: temu nie udaje się w gruncie rzeczy nic, czegokolwiek chce i cokolwiek planuje. To, na czym przypadkowo zawisł swym sercem, zawiodło go już kilkakrotnie nad przepaść i w najbliższe poblizze zaguby; a jeśli się jeszcze jej wymknął, to jednak z pewnością nie "z podbitym okiem" tylko. Sądźcie, że jest z tego powodu nieszczęśliwy? Dawno postanowił sobie nie brać własnych życzeń i planów zbyt do serca. "Nie uda mi się to, tak przemawia do siebie, to uda mi się może owo; a na ogół nie wiem, czy nie jestem obowiązany do wdzięczności bardziej swemu niepowodzeniu niż jakiemu bądź powodzeniu. Czym stworzony do tego, by być upartym i nosić rogi bawole? To, co dla mnie stanowi wartość i wynik życia leży gdzie indziej; duma moja, jak i nędza moja, leży gdzie indziej. Wiem więcej o życiu, bom tak często był bliski jego utraty: i właśnie dlatego mam więcej z życia niż wy wszyscy!"

304.

Pozbywamy się, czyniąc. – W gruncie rzeczy wstrętne mi są wszystkie owe moralności, które mówią: "Nie czyn tego! Wyrzeknij się! Przewycięź się!" – sprzyjam natomiast wszystkim owym moralnościom, które mnie pobudzają, by coś czynić i powtarzać i od rana do wieczora i w nocy śnić o tym i o niczym nie myśleć jak: by to dobrze zrobić, tak dobrze, jak ja to tylko mogę! Kto tak żyje, od tego odpada ustawicznie jedno po drugim to, co do takiego życia nie należy: bez nienawiści i odrazy widzi on, że dziś to, jutro owo rozbrat z nim weźmie, podobne liściom pożółkłym, które każdy żywszy powiew drzewu porywa: lub nie widzi wcale, że coś z nim rozbrat bierze, tak surowo patrzy oko jego w swój cel i w ogóle naprzód siebie, nigdy w bok, wstecz, w dół. "Działanie nasze ma określać, czego czynić nie mamy: nie czynimy, czyniąc" – tak podobam sobie, tak brzmi moje *placitum* [zasada, pogląd]. Lecz nie chcę z otwartymi oczyma dążyć ku swemu zubożeniu, nie znoszę żadnych cnót zaprzecznych – cnót, których istotą jest zaprzeczanie i odmawianie sobie.

305.

Panowanie nad sobą. – Owi nauczyciele moralności, którzy najpierw i z góry nakazują człowiekowi zdobyć moc nad sobą, nabawiają go przez to osobliwej choroby: ustawicznej drażliwości na wszystkie naturalne poruszenia i skłonności, i czegoś w rodzaju świerzby. Cokolwiek by go odtąd tknęło, pociągało, wabiło, pobudzało, z wewnątrz czy zewnątrz – zawsze zdaje się temu drażliwemu, jak gdyby jego panowaniu nad sobą zagrażało niebezpieczeństwo: nie śmie powierzyć się już żadnemu popędowi, żadnemu wolnemu wzlotowi skrzydeł, lecz stoi ustawicznie w postawie obronnej uzbrojony przeciw samemu sobie, z okiem ostrym i nieufnym, wieczny stróż swego grodu, którym uczynił samego siebie. Tak, może być tym wielki! Lecz jakże nieznośny stał się dla innych, jak ciężki dla samego siebie, jak zubożały i odcięty od najpiękniejszych przypadkowości duszy! A także od wszelkiego dalszego pouczenia się. Bo trzeba umieć zatracić siebie na czas pewien, jeśli się chcemy nauczyć czegoś od rzeczy, którymi sami nie jesteśmy.

306.

Stoik i epikurejczyk. – Epikurejczyk wyszukuje sobie położenia, ludzi, a nawet wydarzenia, które najbardziej przystają do jego skrajnie pobudliwej intelektualnej natury, zrzeka się reszty, to znaczy największej części – bo byłoby to dlań zbyt silnym i ciężkim pokarmem. Stoik natomiast ćwiczy się w połykaniu kamieni i robactwa, odrzuców szkła i skorpionów i w nieodczuwaniu wstrętu; żołądek jego ma się stać w końcu obojętny na wszystko, co przypadek istnienia weń wsypie – przypomina on ową arabską sektę Assauów, których poznaje się w Algierze; i podobnie jak ci niewrażliwi, lubi także przy wystawianiu na jaw swej niewrażliwości mieć zaproszoną publiczność, bez której właśnie chętnie obchodzi się epikurejczyk: ten ma przecie swój "ogród"! Dla ludzi, którzy są improwizacją losu, dla takich, którzy żyją w czasach przemocy i zależności od nagłych, zmiennych ludzi, może stoicyzm być bardzo pożyteczny. Kto jednak poniekąd przewiduje, że los pozwoli mu pruć długą nić, czyni dobrze, jeśli urządza się po epikurejsku; wszyscy ludzie duchowej pracy czynili to dotąd! Dla nich bowiem byłoby ubytkiem nad ubytkami utracić swoją pobudliwość i otrzymać natomiast w podarunku stoicką twardą skórę z jeżowymi kolcami.

307.

Na obronę krytyki. – Teraz okazuje ci się błędem coś, co niegdyś kochałeś jako prawdę lub prawdopodobieństwo: odtrącasz to od siebie i mniemasz, że rozum twój odniósł przez to zwycięstwo. Lecz może ów błąd był wówczas, gdy byłeś jeszcze inny – jesteś zawsze inny – tak samo dla ciebie konieczny, jak wszystkie twoje terażniejsze "prawdy", niby skóra, która ci wiele zatajała i skrywała, czegoś jeszcze widzieć nie śmiała. Nowe twe życie zabiło dla ciebie owo mniemanie, a nie twój rozum: niepotrzebujesz go już i oto wali się samo, a nierozum wypełza z niego, jak robactwo na światło. Jeśli krytykujemy, to nie jest to niczym samowolnym i bezosobistym – jest to, przynajmniej bardzo często, dowód, że istnieją w nas żywe, popierające wzrost siły, które odtrącają korę. Zaprzeczamy i musimy zaprzeczać, bo coś chce w nas żyć i potwierdzać, coś czego może jeszcze nie znamy, jeszcze nie widzimy! – To na obronę krytyki...

308.

Historia każdego dnia. – Co tworzy u ciebie historię każdego dnia? Przypatrz się swoim nawyknieniom, z których się ona składa: czy są one wytworem niezliczonych drobnych tchórzostw i lenistw, czy też twej waleczności i wynalazczego rozumu? Jakkolwiek różne są oba wypadki: byłoby możliwe, że ludzie udzieliliby ci jednakiej pochwały i że też rzeczywiście przyniósłbyś im, tak czy tak, jednaki pożytek. Jednak pochwała i pożytek, i poważanie mogą wystarczyć temu, kto chce mieć tylko czyste sumienie – lecz nie tobie badaczu nerek, który przeniknąłeś sumienie.

309.

Z siódmej samotności. – Pewnego dnia zatrzasnął wędrowiec drzwi za sobą, stanął i płakał. Potem rzekł: "Ten pęd i popęd do prawdy, rzeczywistości, nie – pozorności, pewności! Jakżem nań zły! Czemuż za mną właśnie chodzi ten namiętny i posepny poganiacz! Chciałbym odpocząć, lecz nie pozwala mi! Wieleż do zatrzymania się kusi mnie rzeczy! Wszędzie istnieją dla mnie ogrody Armidy [zaczarowany ogród pełen zmysłowych rozkoszy, wspaniałych kwiatów i owoców, miejsce, w którym uwięzieni bohaterowie zapominają o swoich obowiązkach; Armida – piękna czarodziejka, bohaterka *Jerozolimy wyzwolonej* Torquata Tassa]: i stąd coraz nowe rozłaki i nowe gorycze serca! Muszę dalej podnosić stopę, tę znużoną, zranioną stopę: a ponieważ muszę, więc rzucam często na najpiękniejszą rzecz, która zatrzymać mnie nie mogła, złe wstecz spojrzenie – ponieważ zatrzymać mnie nie mogła!".

310.

Wola i fala. – Jak chciwie przybija ta fala, jak gdyby było coś do zdobycia! Jak wpełza z zastraszającym pośpiechem w najwnętrniejsze kąty skalistych rozpadlin! Zda się chce kogoś ubiec; coś tam zda się ukryte, co ma wartość i wielką wartość. – A teraz powraca, nieco powolniej, wciąż jeszcze cała biała ze wzruszenia – czy rozczarowania? – Czy znalazła, czego szukała? Czy udaje rozczarowaną? Lecz już się zbliża inna fala, chciwsza i dziksza jeszcze niż pierwsza, a także jej dusza zdaje się pełna tajemnic i pożądliwości poszukiwania skarbów. Tak żyją fale – tak żyjemy my, którzy chcemy! – więcej nie powiem. – Tak? Nie ufacie mi? Gniewacie się na mnie, piękne potwory? Lękacie się, że zdradzę całkiem waszą tajemnicę? Nuże! Gniewajcie się na mnie, dźwigajcie swe zielone, niebezpieczne ciała jak wysoko możecie, piętrzcie mur między mną a słońcem – tak jak teraz! Zaprawdę, nic już nie zostało ze świata, jeno zielony zmierzch i błyskawice zielone. Szalejcie, jak chcecie, wy zuchwałe, ryczcie z rozkoszy i złości – lub zanurzcie się znowu, wysypcie w głąb swoje szmaragdy, zarzućcie na nie nieskończone białe kędzierze piany i waru – z wszystkiemu rad, bo z wszystkim tak wam do twarzy i lubię was za wszystko: jakże ja bym was zdradził! Bowiem – słuchajcie dobrze – znam was i waszą tajemnicę, znam wasze plemię! Wy i ja, jesteśmy przecie z jednego plemienia! – Wy i ja mamy przecie jedną tajemnicę!

311.

Załamane światło. – Nie jest się zawsze walecznym i jeśli jest się znużonym, wtedy jęczy się też czasem w ten sposób: "Tak ciężko ból człowiekowi sprawiać – och, że też to potrzebne! Cóż nam pomoże żyć w ukryciu, jeśli nie chcemy dla siebie zachować tego, co wywołuje zgorszenie? Nie byłoby pożyteczniejszym żyć w zgiełku i względem jednostek naprawiać to, w czym grzeszyć trzeba i grzeszyć się musi względem wszystkich? Być głupim z głupcem, próżnym z próżnym, marzycielskim z marzycielem? Czy nie byłoby to słuszne, wobec tak zuchwałego stopnia zbaczania od ogółu? Gdy słyszę o złościach innych względem siebie – czyż nie jest pierwsze me uczucie uczuciem zadowolenia? Tak słuszna! – zdaję się mówić do nich – przystaję tak mało do was i mam tak wiele słuszności po swej stronie: bawcie się co dzień moim kosztem, jak często możecie! Tu są braki moje i omyłki, tu moje urojenie, mój niesmak, moje zakłopotanie, moje łyzy, moja próżność, moja sowa skrytość, moje sprzeczności! Tu naśmiać się możecie! Więc śmieJCie się też i cieszcie! Nie gniewam się na prawo i naturę rzeczy, które chcą, by braki i omyłki sprawiały radość! – Oczywiście, były niegdyś »piękniejsze« czasy, gdy posiadanie każdej poniekąd nowej myśli czyniło jeszcze człowieka w poczuciu swym tak niezbędnym, że wybiegało się z nią na ulicę i wołało: »Patrz! Królestwo Boże się zbliża!« – Nie czułbym swego ubytku, gdyby mnie brakło. Wszyscy jesteśmy zbędni!". Lecz, jak się rzekło, tak nie myślimy, gdyśmy mężni: nie myślimy o tym.

312.

Mój pies. – Bólowi swemu nadałem imię i wołam go "psie" – jest tak samo wierny, tak samo natrętny i bezwstydnym, tak samo zabawny, tak samo mądry, jak każdy inny pies – i mogę być jego panem i złości swe na nim wywierać: jak inni to czynią z swymi psami, sługami, żonami.

313.

Żadnych obrazów męczeństwa. – Chcę postąpić jak Rafael i nie malować już żadnego obrazu męczeństwa. Jest dość podniosłych rzeczy, by wyszukiwać trzeba wzniosłość tam, gdzie żyje ona w siostrzeństwie z okrucieństwem; a ambicja moja nadto nic znalazłaby żadnego zadowolenia, gdybym chciał zrobić z siebie wzniosłego katowskiego pacholka.

314.

Nowe zwierzęta domowe. – Chcę mieć wkoło siebie swego lwa i swego orła, by mieć każdej chwili wskazówki i przepowiednie i wiedzieć, jak wielka lub jak szczupła jest siła moja. Czy muszę dziś patrzeć w dół ku nim i lękać się ich? I czy powróci godzina, kiedy one ku mnie będą patrzeć w górę, i w lęku?

315.

O ostatniej godzinie. – Burze są mym niebezpieczeństwem: czy spotka mnie burza, która mi zagładę przyniesie, jak Oliwierowi Cromwellowi burza przyniosła zagładę? Czy też zagasnę jak światło, które nie wiatr dopiero zgasił, lecz które znużyło i przesyciło się sobą samym – wypalone światło? Lub w końcu: czy sam siebie zagaszę, by się nie wypalić?

316.

Ludzie proroczy. – Nie macie poczucia, że ludzie proroczy są ludźmi bardzo cierpiącymi: sadzicie, że dany im jest "dar" piękny, i chętnie też sami mieć byście go chcieli – lecz wyrażę się porównaniem. Jak bardzo cierpieć mogą zwierzęta skutkiem elektryczności powietrza i chmur! Widzimy, że niektóre ich rodzaje posiadają proroczą zdolność pod względem pogody, na przykład małpy (jak to nawet jeszcze w Europie dobrze obserwować można i nie tylko w menażeriach: bo na Gibraltarze). Lecz nie myślimy o tym, że ich boleści – są miast nich prorokami! Gdy silna dodatnia elektryczność nagle pod wpływem nadciągającej, jeszcze długo niewidocznej chmury przeistacza się w elektryczność ujemną i gdy przygotowuje się zmiana pogody, wtedy zwierzęta zachowują się tak, jak gdyby zbliżał się nieprzyjaciel i przysposabiają się do obrony lub do ucieczki; najczęściej chowają się – rozumieją złą pogodę nie jako pogodę, lecz jako wroga, którego rękę już czują.

317.

Spojrzenie wstecz. – Uświadamiamy sobie rzadko patos każdego okresu życia, jako taki, dopóki w okresie tym stoimy, lecz sądzimy, że jest to jedynie odtąd dla nas możliwy i rozumny stan i na wskroś *ethos*, nie patos – by jak Grecy mówić i odróżniać. Kilka dźwięków muzycznych przywołało mi dziś na pamięć zimę i dom, i najbardziej pustelnicze życie i zarazem uczucie, w którym żyłem wówczas – sądziłem, że wiecznie będę mógł tak żyć. Lecz teraz pojmuję, że było to na wskroś patosem i namiętnością, rzeczą, dającą się przyrównać tej boleściwie otuszonej i pewnej pocieszenia muzyce – podobnych rzeczy nie można mieć na lata lub nawet na wieki: byłoby się przez to zbyt "nadziemskim" dla tej planety.

318.

Mądrość w boleści. – W boleści jest tyle mądrości, co w rozkoszy: należy ona, jak ta ostatnia, do najwyższego gatunku sił rodzaj utrzymujących. Gdyby tym nie była, to by była zginęła dawno; że boli, to nie jest argumentem przeciw niej, to jest jej istotą. W boleści słyszę rozkaz kapitana okrętu: "zwijajcie żagle!". Śmiały żeglarz, człowiek, musiał wyćwiczyć się na sto sposobów ustawiać żagle, inaczej byłoby zbyt prędko po nim, a ocean pochłonięby go zbyt szybko. Musimy umieć też żyć z uszczuploną energią: skoro tylko ból daje swój sygnał niebezpieczeństwa, czas, by ją uszczuplić – jakieś wielkie niebezpieczeństwo, jakaś burza nadciąga, i dobrze czynimy, "wydymając" się możliwie najmniej. Prawda, że istnieją ludzie, którzy za zbliżaniem się wielkiego bólu słyszą właśnie rozkaz przeciwny i którzy nigdy nic spoglądają dumniej, waleczniej, szczęśliwiej, jak wówczas, gdy burza nadciąga; a nawet ból sam daje im najwyższe chwile! To ludzie heroiczni, wielcy dawcy bólu ludzkości; owi nieliczni lub rzadcy, którzy właśnie tej samej

potrzebują apologii, co ból w ogóle – i zaprawdę! – nie należy im jej odmawiać! Są to utrzymujące rodzaj, popierające rodzaj moce najwyższego stopnia i choćby tylko dlatego, że walczą przeciw uczuciu błogości i nie ukrywają wstrętu do tego rodzaju szczęścia.

319.

Jako interpretatorzy swych wydarzeń przeżytych. – Pewien rodzaj uczciwości obcy był wszystkim założycielom religii i im podobnym: nie czynili sobie nigdy ze swych wydarzeń przeżytych poznawczej sprawy sumienia. "Co właściwie przeżyłem? Co wtedy działało się we mnie i wkoło mnie? Czy rozum mój był dość jasny? Czy wola moja była zwrócona przeciw wszystkim oszustwom zmysłów i dzielna w swej obronie przeciw fantastyczności?" – tak nie pytał z nich żaden, tak nie pyta nawet dziś jeszcze żaden z tych miłych pobożnisiów: czują oni raczej pragnienie rzeczy zwracających się przeciw rozumowi i nie chcą sobie robić trudności w zaspakajaniu go – tak tedy przeżywają "cuda" i "odrodzenia" i słyszą głosy aniołów! Lecz my, my inni, spragnieni rozumu, chcemy swym wydarzeniom przeżyтым tak bystro w oczy patrzeć, jak naukowemu doświadczeniu, godzina po godzinie, dzień w dzień! My sami sobie chcemy być doświadczeniami i zwierzętami doświadczalnymi.

320.

Widząc się znowu. – A: "Czy rozumiem cię jeszcze dobrze? Szukasz? Gdzie jest pośród teraźniejszego rzeczywistego świata twój kąt i gwiazda? Gdzie ty możesz położyć się w słońcu, tak by i tobie dostała się jakaś przewyżka dobra i byt twój znalazł usprawiedliwienie? Niech to każdy sam za siebie czyni – zdajesz się mi mówić – i niech wybije sobie z głowy gadanie o ogóle, troskę o innych i o społeczność!". – B: "Chcę więcej, nie jestem szukającym. Chcę dla siebie własne słońce stworzyć".

321.

Nowa przezorność. – Nie każcie nam już myśleć tyle o karach, naganach i poprawach. Rzadko zmienimy jakąś jednostkę; a gdyby nam to się udało, to może niepostrzeżenie uda nam się coś jeszcze: ujrzymy, że ona nas zmieniła! Dbajmy raczej, by nasz własny wpływ na wszystko, co przyjdzie, więcej niż jej wpływ ważył i przeważał! Nie walczmy w zapasach wręcz! – a tym są wszelkie kary, nagany i chęci poprawy! – lecz podnieśmy siebie samych tym wyżej! Nadajmy swemu wzorowi coraz bardziej lśniące barwy! Zaciemnijmy tamtego swoim światłem! Nie! Nie chcemy gwoli niemu stać się sami ciemniejsi, podobnie wszystkim karzącym i niezadowolonym! Chadzajmy raczej uboczem! Odwracajmy wzrok!

322.

Porównanie. – Owi myśliciele, w których wszystkie gwiazdy kołowymi kolejami krążą, nie są najgłębsi; kto wgląda w siebie, jak w olbrzymi przestwór świata i drogi mleczne w sobie nosi, ten też wie, jak nieprawidłowe są wszystkie drogi mleczne; wiodą aż do chaosu i labiryntu bytu.

323.

Szczęście w przeznaczeniu. – Największe odznaczenie wyświadcza nam przeznaczenie, gdy kazało nam czas pewien walczyć po stronie naszych przeciwników. Przez to zostaliśmy z góry przeznaczeni do wielkiego zwycięstwa.

324.

*In media vita.* – Nie! Życie mnie nie zawiodło! Z roku na rok znajduję je coraz bogatszym, godniejszym pożądaniami i pełniejszym tajemnic – od owego dnia, gdy nawiedziła mnie wielka oswobodzicielka, owa myśl, że życie może być doświadczeniem poznającego – a nie obowiązkiem, a nie potrzebą, a nie oszustwem! – A poznanie samo: niech będzie komuś innemu czymś innym, na przykład łóżem spoczynku, lub drogą do łóża spoczynku, lub zabawą, lub próżnowaniem – dla mnie jest ono światem niebezpieczeństw i zwycięstw, gdzie i heroicznym uczuciom nie braknie miejsc do tańca i ochoty. "Życie jest środkiem poznania" – z tą zasadą w sercu można nie tylko dzielnie, lecz można nawet żyć wesoło i śmiać się wesoło! A któż umiałby w ogóle dobrze śmiać się i żyć, jeśli wprawdzie nie znał się dobrze na wojnie i zwycięstwie?

325.

Czego do wielkości potrzeba. – Któż osiągnie coś wielkiego, nie czując w sobie mocy i woli zadawania wielkich cierpień? Umieć cierpieć to najmniejsza: słabe kobiety, a nawet niewolnicy, doprowadzają w tym często do mistrzostwa. Lecz nie zginąć z wewnętrznej niedoli i niepewności, kiedy się wielki ból zadaje i słyszy tego bólu krzyk – to jest wielkie i tego do wielkości potrzeba.

326.

Lekarze dusz i ból. – Wszyscy kaznodzieje moralni, jak i wszyscy teologowie, posiadają jeden wspólny narów: wszyscy starają się wmówić w ludzi, że jest z nimi bardzo źle i że konieczna jest twarda, ostateczna, radykalna kuracja. A ponieważ ludzie na ogół zbyt gorliwie, i przez całe stulecia, podawali naukom tym ucho, przeszło w końcu rzeczywiście na nich coś z tego zabobonu, że bardzo źle z nimi: tak, że już dziś zbyt chętni są i gotowi wzdychać i niczego nie znachodzić już w życiu i stroić wzajemnie posępne miny, jak gdyby naprawdę już zbyt ciężko było wytrzymać. W rzeczywistości są oni niepohamowanie pewni swego życia i zakochani w nim – i pełni niewymownych chytrości i przebiegłości, aby

przełamać nieprzyjemność, a bólowi i nieszczęściu cierń jego wyrwać. Zda mi się, że o boleści i nieszczęściu mówi się zawsze przesadnie, jak gdyby przesada w tym względzie była rzeczą wyższego sposobu życia: natomiast milczy się z umysłu o tym, że na boleść istnieje cały bezлік środków sprawiających ulgę, jak ogłuszenia lub gorączkowy pośpiech myśli, lub spokojne położenie, lub dobre i złe wspomnienia, zamysły, nadzieje i wiele rodzajów dumy i litości, które wywierają nieomal działanie *anaestheticorum*, gdy tymczasem, przy najwyższych stopniach bólu, następują już same z siebie omdlenia. Znamy się wcale dobrze na wsączaniu słodyczy w swe gorycze, to jest w gorycze duszy; mamy środki pomocne w swej waleczności i wzniosłości, jak i w szlachetniejszych deliriach uległości i rezygnacji. Strata jest ledwo godzinę stratą: w jakiś sposób spada nam wraz z nią jakiś podarunek z nieba – nowa siła na przykład: a choćby tylko nowa sposobność do siły! Cóż majaczyli kaznodzieje moralni o wewnętrznej "niedoli" złych ludzi! Cóż nam łgali nawet o nieszczęściu ludzi namiętnych! – tak, łgarstwo jest tu należytyym słowem: wiedzieli bardzo dobrze o przebogatym szczęściu tego rodzaju ludzi, lecz przemilczali je na śmierć, ponieważ obalało ich teorię, wedle której wszelkie szczęście powstaje dopiero po zniszczeniu namiętności i zamilknięciu woli! A co na ostatek dotyczy recepty tych wszystkich dusznych lekarzy i ich zachwalania twardej, radykalnej kuracji, to wolno spytać: czy to nasze życie jest rzeczywiście dość bolesne i uciążliwe, by z korzyścią było wymienienie go na stoicki sposób życia i skamieniałość? Nie jest nam tak źle, byśmy się źle mieć musieli na sposób stoicki!

327.

Brać poważnie. – Intelkt jest u największej części ludzi ociężałą, ciemną i skrzypiącą maszyną, którą trudno w ruch wprawić: nazywają to "rzecz brać poważnie", jeśli chcą z pomocą tej maszyny pracować i sprawnie myśleć – o, jakże trudno musi im być sprawnie myśleć! Rozkoszne zwierzę człowiek traci, zda się, dobry humor każdym razem, gdy sprawnie myśli: staje się "poważne"! A "gdzie śmiech i wesołość, tam nic po myśleniu" – tak brzmi przesąd tego najpoważniejszego zwierzęcia względem wszelkiej "wiedzy radosnej". – Nuże! Pokażmy, że to przesąd!

328.

Szkodzenie głupocie. – Niewątpliwie, że tak uparcie i z takim przekonaniem głoszona wiara, iż egoizm jest pogardy godny, przyniosła na ogół szkodę egoizmowi (na rzecz, jak to stokrotnie powtarzać będę, instynktu stadnego), mianowicie przez to, że odebrała mu czyste sumienie i kazała w nim szukać właściwego źródła wszelkiego nieszczęścia. "Samolubstwo twoje jest nieszczęściem twego życia" – tak brzmiało kazanie przez całe wieki: przyniosło to, jak się rzekło, szkodę samolubstwu i odebrało mu wiele ducha, wiele pogody, wiele wynalazczości, wiele piękności; ogłupiło, zeszpeciło i zatrulo samolubstwo! – Filozoficzna starożytność natomiast pouczała o innym głównym źródle nieszczęścia: od Sokratesa myśliciele nieznużenie pouczali: "wasza bezmyślność i głupota, wasze oddawanie się falom życia bez prawidła, wasze podporządkowanie się mniemaniom sąsiada jest powodem, dla którego tak rzadko dochodzicie do szczęścia – my myśliciele jesteśmy jako myśliciele najszczęśliwsi". Nie rozstrzygajmy tu, czy kazanie to przeciw głupocie jest lepiej

uzasadnione niż owo kazanie przeciw samolubstwu; to jednak pewna, że odebrało głupocie czyste sumienie – ci filozofowie wyrządzili szkodę głupocie.

329.

Wczas i próżnowanie. – Jest indyjska, krwi indyjskiej właściwa dzikość w sposobie, w jaki Amerykanic zabiegają o złoto: a ich pośpiech bez tchu w pracy – właściwy występki Nowego Świata – zaczyna już zarażać starą Europę dzikością i zupełnie dziwną rozpościerać ponad nią bezdusność. Wstydzą się już dziś ludzie spoczynku; długie rozmyślanie sprawia nieomal wyrzuty sumienia. Myśli się z zegarkiem w rękę, jak się je obiad, z okiem zwróconym na gazetę giełdową – żyje się jak ktoś, który ustawicznie "mógłby czegoś zaniedbać". "Lepiej co bądź robić, niż nic" – i ta zasada jest sznurem do zdławienia wszelkiego wykształcenia i wszelkiego wyższego smaku. I jak naocznie wszystkie formy giną z powodu tego pośpiechu pracujących: tak też zamiera wszelkie poczucie samej formy, ucho i oko dla melodii poruszeń. Dowód tego leży w wymaganej teraz wszędzie niezgrabnej wyraźności we wszystkich położeniach, gdzie człowiek chce być uczciwy wobec ludzi, w obcowaniu z przyjaciółmi, kobietami, krewnymi, dziećmi, nauczycielami, uczniami, przewodnikami i książętami – nie ma się wcale czasu i wcale siły na ceremonie, na uprzejmości w sposób niebezpośredni, na wszelkie *esprit* zabawy i w ogóle na wszelkie *otium* [spokój, odpoczynek; również – czas przeznaczony na pracę umysłową]. Bo życie wśród łowów za zyskiem zmusza nieustannie do ekspensowania ducha swego aż do wyczerpania, w ustawicznym maskowaniu się i podejściu, i ubieganiu: właściwą dziś cnotą jest uczynić coś w krótszym czasie niż ktoś inny. Tak więc istnieją rzadko tylko godziny dozwolonej uczciwości: w tych jednak jest się znużonym i chciałoby się nie tylko sobie "dać folgę", lecz się wzdłuż i wszerz, i niezgrabnie rozciągnąć. Stosownie do tego pisze się teraz listy, których styl i duch pozostanie zawsze właściwym "znamieniem czasu". Jeśli istnieją jeszcze przyjemności towarzyskie i artystyczne, to są to przyjemności, jakie przyrządzają sobie zapracowani do upadłego niewolnicy. Och, to zadowolenie "radości" u tych wykształconych i nieukształconych! Och, to wzbierające podejrzenie wszelkiej radości! Praca pozyskuje coraz bardziej wszelkie czyste sumienie: skłonność do radości nazywa się już "potrzebą wypoczynku" i zaczyna się wstydzić samej siebie. "Winno się coś swemu zdrowiu" – mówi się, gdy nas schwytano na wycieczce. Nawet wkrótce dojść może do tego, że się ulegać będzie skłonności do życia kontemplacyjnego (to znaczy do przechadzki z myślami i przyjaciółmi) nie bez pogardy dla siebie i nieczystego sumienia. – Otóż! Niegdyś było odwrotnie: na pracy ciążyło nieczyste sumienie. Człowiek dobrego pochodzenia ukrywał swą pracę, gdy go potrzeba do pracy zmuszała. Niewolnik pracował pod uciskiem uczucia, że czyni coś pogardy godnego – "czynność" sama była czymś pogardy godnym. "Dostojność i cześć posiada jedynie *otium* i *bellum* [wojna, służba wojskowa]": tak brzmiał głos starożytnego przesądu.

330.

Poklask. – Myśliciel nie potrzebuje poklasku i bicia w dłoń, pod warunkiem, że pewny jest własnego przyklasku: bez tego jednak obejść się nie może. Czy są ludzie, którzy i bez tego i bez wszelkiego w ogóle rodzaju poklasku obejść się mogą? Wątpię; i nawet o najmędrszych mówi Tacyt, który nie jest oszczercą mędrców: *quando etiam sapientibus*

*gloriae cupido novissima exuitur* [kiedy nawet mądrzy wyzbędą się największego pragnienia sławy] – to znaczy u niego: nigdy.

331.

Raczej głuchym być niż ogłuszonym. – Niegdyś chciano sobie stworzyć rozgłos: dziś nie wystarcza to już, bo targowisko jarmarczne zbyt stało się wielkie – dziś musi to być rozkrzyk. Wynikiem tego jest, że i dobre gardła się przekrzyczą, a najlepszy nawet towar zachwalają głosy ochryple; bez jarmarcznego krzykactwa i chryпки nie ma dziś geniuszu. – Jest to oczywiście złe stulecie dla myśliciela: musi on uczyć się wśród dwu wrzasków znachodzić jeszcze sobie ciszę i tak długo udawać głuchego, aż się nim stanie. Póki się tego nie nauczył, grozi mu niebezpieczeństwo, że zginie z niecierpliwości i bólów głowy.

332.

Zła godzina. – Każdy z pewnością filozof miał złą godzinę, kiedy myślał: cóż ja znacę, jeśli nie wierzą także moim złym argumentom! I wówczas przeleciał jakiś złośliwy ptaszek obok niego i ćwierkał: "Cóż ty znacysz! Cóż ty znacysz!".

333.

Co znaczy poznawać? – *Non ridere, non lugere, neque detestari, sed intelligere!* [nie śmiać się, nie biadać ani nie przeklinać, lecz rozumieć] mówi Spinoza – tak prosto i wzniośle, jak to jest jego zwyczajem. Tymczasem: czymże innym jest w gruncie rzeczy to *intelligere*, jeśli nie formą, w której nam owe trzy pierwsze uczucia naraz uczuć się dają? Wynikiem tych różnych i sprzeciwiających się sobie popędów: chęci wyśmiewania, oskarżania, przeklinania. Zanim możliwe jest poznanie, musiał wprawdzie każdy z tych popędów wyjawiać swoje jednostronne zapatrywanie na pewną rzecz lub zdarzenie; następnie powstała walka tych jednostronności, a z niej wynikł pewien pośrodek, uspokojenie, pewne przyznanie słuszności na wszystkie trzy strony, pewnego rodzaju sprawiedliwość i ugoda; bo dzięki sprawiedliwości i ugodzie mogą wszystkie te popędy ocalić swe istnienie i zarazem słuszność. My, do których świadomości dochodzą tylko ostatnie sceny pojednania i końcowe obrachunki tego długiego przebiegu, sądzimy następnie, że *intelligere* jest czymś pojednawczym, sprawiedliwym, dobrym, czymś istotnie popędom przeciwstawionym; gdy tymczasem jest ono tylko pewnym zachowaniem się wzajemnym popędów. Przez bardzo długie czasy pojmowano myślenie jako myślenie w ogóle: teraz dopiero świta nam prawda, że największa część naszego duchowego działania przebiega bez naszej świadomości i naszego uczucia: sądzę jednak, że te popędy, które tu walczą z sobą, są snadź zdolne dać się przy tym uczuć sobie wzajem i ból sobie sprawiać – owo gwałtowne, nagłe wyczerpanie, które nawiedza wszystkich myślicieli, tu może mieć swoje źródło (jest to wyczerpanie na polu walki). Być może, że w walczących wnętrzach naszych istnieje niejeden ukryty heroizm, lecz z pewnością nic boskiego, wiecznie spoczywającego w sobie, jak mniemał Spinoza. Myślenie świadome, a mianowicie myślenie filozofa, jest najślabszym i dlatego też stosunkowo

najłagodniejszym i najspokojniejszym rodzajem myślenia: i dlatego właśnie filozof może najłatwiej pobyć co do natury poznania.

334.

Trzeba nauczyć się kochać. – Tak dzieje się z nami w muzyce: naprzód trzeba się w ogóle jakiejś figury lub zwrotki nauczyć słuchać, dosłuchiwać, rozróżniać, odosabniać jako pewne życie dla siebie i odgraniczać; potem trzeba trudu i dobrej woli, by ją znieść mimo jej obcości, mieć cierpliwość dla jej spojrzenia i wyrazu i dobroć dla tego co w niej dziwne – w końcu przychodzi chwila, gdy do niej przywykamy, kiedy jej oczekujemy, gdy przeczuwamy, że brakłoby nam jej, gdyby jej nie stało i teraz zniewala nas ona i wywiera swój czar ciągle, ciągle i nie przestaje dopóty, dopóki nie staniami się jej pokornymi i zachwyconymi kochankami, którzy niczego lepszego już nie chcą od świata, tylko jej i znowu jej. – Tak jednak dzieje się z nami nie tylko w muzyce: właśnie tak nauczyliśmy się kochać wszystkie rzeczy, które kochamy. Otrzymujemy ostatecznie zawsze nagrodę za naszą dobrą wolę, cierpliwość, sprawiedliwość, łagodność względem obcości – w tym, że obcość odrzuca z wolną swą zasłonę i nowe niewysłowione ukazuje piękno – jest to jej podzięką za naszą gościnność. – Tak samo jeśli kto samego siebie kocha, nauczył się tego tą samą drogą. Nie ma innej drogi. I kochać trzeba się uczyć.

335.

Górami fizyka! – Iluż to ludzi umie obserwować! I wśród tych nielicznych, którzy to umieją iluż obserwuje siebie samych! "Każdy jest samemu sobie najdalszy!" – wiedzą to wszyscy badacze nerek, ku swej przykrości; a zdanie "poznaj siebie samego" jest, w ustach Boga i do ludzi powiedziane, nieomal złościwością. Że jednak tak rozpaczliwie ma się rzecz z obserwacją siebie, o tym nie świadczy nic bardziej niż sposób, w jaki prawie każdy mówi o istocie jakiejś moralnej czynności, ten szybki, łatwy, pewny siebie, gadatliwy sposób, to jego spojrzenie, uśmiech, usługana gorliwość. Ktoś zda się chce ci powiedzieć: "Ależ, mój drogi, trafiłeś bardzo dobrze! Zwracasz się ze swym pytaniem właśnie do kogoś, kto ma prawo udzielić ci odpowiedzi: przypadkiem w niczym nie jestem tak mądry, jak w tym. Więc: jeśli człowiek osądzi »tak jest słusznie«, jeśli potem wnioskuje »dlatego stać się to musi!« i wtedy czyni, co w ten sposób uznał za słuszne i konieczne – to istota jego czynności jest moralna!". Lecz, przyjacielu mój, mówisz mi tu o trzech czynnościach miast o jednej: także twój sąd na przykład "tak jest słusznie" jest czynnością – czyż nie można już było sądzić w moralny lub niemoralny sposób? Dlaczego uważasz to i właśnie to za słuszne? – "Bo mówi mi to moje sumienie; sumienie nie przemawia nigdy niemoralnie, ono określa przecie, co ma być moralne!" – Lecz dlaczego słuchasz głosu swego sumienia? I o ile posiadasz prawo uważać taki sąd za prawdziwy i nieomylny? Dla tej wiary – czyż już nie ma sumienia? Czy nic nie wiesz o sumieniu intelektualnym? O sumieniu poza swym "sumieniem"? Sąd twój "tak jest słusznie" ma przeddzieje w twoich popędach, skłonnościach, odrzaczach, doświadczeniach i niedoświadczeniach; "jakże więc powstał?" winieś pytać, a potem jeszcze: "co prze mnie właściwie do dania mu posłuchu?". Możesz rozkazowi jego dać posłuch jak dzielny żołnierz, który słyszy rozkaz swego oficera. Lub jak kobieta, która kocha rozkazującego. Lub jak pochlebca i tchórz, który się rozkazującego boi. Lub jak głupiec, który idzie za czymś, bo nie ma co rzec przeciw temu. Słowem, na sto sposobów możesz

sumieniu swemu dawać posłuch. Lecz to, że słyszysz ten i ów sąd jako głos sumienia – więc, że odczuwasz coś jako słuszne, może zależeć od tego, że nigdy nie rozmyślałeś nad sobą, i przyjmowałeś na ślepo, co ci od dzieciństwa jako słuszne określano: lub od tego, że chleb i zaszczyty były dotąd twym udziałem dzięki temu, co obowiązkiem zwiesz swoim – uchodzi to u ciebie za "słuszne", ponieważ zdaje ci się twoim "warunkiem bytu" (że jednak posiadasz słuszne prawo do bytu, zda ci się niezbitym!). Niewzruszoność twego moralnego sądu mogłaby zawsze być jeszcze dowodem właśnie twojej osobistej marnoty, bezosobistości, twoja "moralna siła" mogłaby mieć swe źródło w twoim uporze – lub w twojej niezdolności widzenia nowych ideałów! I, krótko mówiąc: gdybyś był bystrzej myślał, lepiej obserwował i więcej się uczył, to tego obowiązku swego i tego "sumienia" swego nie byłbyś już w żadnym razie nazywał obowiązkiem i sumieniem; wiadomość tego, jak w ogóle niegdyś powstały sądy moralne, zmierzałaby ci te patetyczne słowa – tak jak obmierzył ci już inne patetyczne słowa, na przykład "grzech", "zbawienie duszy", "odkupienie". – A teraz nie mów mi nic o kategorycznym rozkazie, mój przyjacielu! – słowo to łaskocze mi ucho i śmiać się muszę, mimo twą tak poważną obecność: przypomina mi się przy tym stary Kant, który za karę, że matactwem zdobył "rzecz samą w sobie" – także rzecz bardzo śmieszną – został omotany przez "kategoryczny imperatyw" i, z nim w sercu, z powrotem zabłądził do "Boga", "duszy", "wolności" i "nieśmiertelności", podobny lisowi, który z powrotem zabłądził do swej klatki – choć jego to siła i rozsądek rozbiły tę klatkę! Jak to? Podziwiasz kategoryczny imperatyw w sobie? Tę "niewzruszoność" swego tak zwanego moralnego sądu? Tę "bezwzględność" uczucia "tak, jak ja, muszą wszyscy o tej rzeczy sądzić"! Podziwiają raczej w tym swe samolubstwo! I ślepotę, małostkowość i bezpretensjonalność swego samolubstwa! Samolubstwem bowiem jest odczuwać swój sąd jako prawo powszechne: a ślepe, małostkowe i bezpretensjonalne znowu samolubstwo, ponieważ zdradza, żeś samego siebie jeszcze nie odkrył, żeś samemu sobie jeszcze żadnego własnego, najbardziej własnego nic stworzył ideału – ten bowiem nie mógłby nigdy być ideałem dla innych, nic mówiąc już o wszystkich, wszystkich! – Kto jeszcze sądzi: "tak musi w tym wypadku czynić każdy", nie uczynił jeszcze ani pięciu kroków na drodze samopoznania: inaczej by wiedział, że nie ma ani jednakich czynności, ani ich być nie może – że każda czynność spełniona została spełniona w sposób zupełnie jedyny i niepowrotny i że tak samo rzecz będzie się miała z każdą czynnością przyszłą, że wszystkie przepisy działania stosują się tylko do grubej strony zewnętrznej (i nawet najwnętrzniesze i najsubtelniejsze przepisy wszystkich dotychczasowych moralności) – że z ich pomocą można osiągnąć pewien pozór tożsamości, lecz właśnie tylko pozór – że każda czynność, czy na nią patrzymy podczas jej przebiegu, czy po przebiegu, jest i zostanie rzeczą nieprzeniknioną – że nasze mniemania o "dobrym", "szlachetnym", "wielkim" nie mogą być nigdy dowiedzione naszymi czynnościami, ponieważ wszelka czynność jest niepoznawalna – że niezawodnie nasze mniemania, oceny wartości i tablice dóbr należą do najpotężniejszych dźwigni w kółkowej maszynierii naszych czynności, że jednak w każdym poszczególnym wypadku prawo ich mechaniki jest nie do wykazania. Ograniczmy się więc do oczyszczenia swych mniemań i ocen wartości i do stworzenia nowych własnych tablic dóbr – nie ślęczmy jednak dłużej "nad moralną wartością swych postępów"! Tak, przyjaciele moi! Do całego moralnego gadulstwa jednych o drugich czas poczuć wstręt! Sprawowanie sądów moralnych niech się naszemu sprzeciwia smakowi! Pozostawmy tę gadaninę i ten zły smak tym, którzy nie mają nic więcej do roboty, jak przeszłość o mały kawałek posuwać dalej w czasie, i którzy sami nigdy nie są terazniejszością – więc licznym, nazbyt licznym! My jednak bądźmy tym, czym jesteśmy – nowymi, jednokrotnymi, nieporównywalnymi, prawodawcami sobie samym, twórcami samych siebie! A na to trzeba nam być najlepszymi uczniami i odkrywcami wszelkiej prawności i konieczności w świecie; musimy być fizykami, byśmy w każdym znaczeniu twórcami być mogli – gdy tymczasem dotychczas wszelkie oceny wartości i ideały

zbudowane były na nieznajomości fizyki lub sprzeczności z nią. A przeto: górami fizyka! A bardziej górami jeszcze to, co do niej nas zmusza – nasza rzetelność!

336.

Skąpstwo natury. – Czemuż tak skąpa była natura względem ludzi, że nie pozwoliła im świecić, temu więcej, owemu mniej, stosownie do jego wewnętrznej pełni światła? Dlaczego wielcy ludzie nie sprawiają tak pięknego widoku, jak słońce o wschodzie i zachodzie? O ile mniej dwuznaczne byłoby wszelkie życie pośród ludzi!

337.

Przyszłe "człowieczeństwo". – Kiedy patrzę oczyma odległego stulecia na obecne, to nie umiem dopatrzeć się w teraźniejszym człowieku niczego godniejszego uwagi nad jego osobliwą młodość i chorobę zwaną "zmysłem historycznym". Jest to zaród czegoś zupełnie nowego i obcego w dziejach: gdyby dać temu ziarnu kilka stuleci i więcej, to by mogła z tego w końcu cudowna wyrósć roślina o równie cudownej woni, gwoli której milej by było mieszkać na naszej starej ziemi niż dotąd. My teraźniejsi zaczynamy właśnie tworzyć łańcuch przyszłego bardzo potężnego uczucia, ogniwo po ogniwo – nie wiemy prawie, co czynimy. Nieomal zda nam się, jak gdyby chodziło nie o nowe uczucie, lecz o ubywanie wszelkich starych uczuć – zmysł historyczny jest jeszcze czymś tak biednym i zimnym, a wielu opada on jakby mróz i jeszcze biedniejszymi, i zimniejszymi czyni. Innym wydaje się oznaką nadpełzającej starości, a planeta nasza uchodzi u nich za osmętniałego chorego, który, by zapomnieć o swojej chorobie, spisuje sobie dzieje swej młodości. Rzeczywiście jest to jedna barwa tego nowego uczucia: kto dzieje wszystkich ludzi odczuwać umie jako własne dzieje, ten odczuwa w ogromnym uogólnieniu całą ową zgryzotę chorego, który myśli o zdrowiu, starca, co sen młodości wspomina, kochanka, któremu porwano kochankę, męczennika, którego ideał w ruinach, bohatera w wieczór bitwy, która nie rozstrzygnęła niczego, a jednak przyprawiła go o rany i stratę przyjaciela – lecz dźwigać tę ogromną sumę zgryzoty wszelkiego rodzaju, moc dźwigać, a jednak jeszcze być tym bohaterem, który o brzasku następnego dnia bitwy wita jutrzeńkę i szczęście swoje, jako człowiek o widnokregu tysiącleci przed sobą i za sobą, jako spadkobierca wszelkiej dostojności, wszelkiego przeszłego ducha i spadkobierca wdzięczny, jako szlachectwem najwyższy z wszystkich dawnych szlachetnych i zarazem pierworodny nowej szlachty, jakiej podobnej nie widział dotąd i nie śnił czas żaden: wszystko to w jedną wziąć duszę, wszystko najstarsze i najnowsze, straty, nadzieje, zdobycze, zwycięstwa ludzkości; wszystko to w końcu w jedną wziąć dusze i w jedno ścisnąć uczucie – to musiałoby wytworzyć szczęście, jakiego dotąd nie znał jeszcze człowiek – szczęście Boga pełne mocy i miłości, pełne łez i śmiechu, szczęście, które, jak słońce wieczorem, ustawicznie ze swego niewyczerpanego bogactwa rozdarowuje i sypie w morze i jak ono, wówczas dopiero najbogatszym się czuje, gdy i najuboższy rybak złotym wiosłuje wiosłem! To boskie uczucie zwałoby się wówczas – człowieczeństwem!

338.

Żądza cierpienia i litościwi. – Czy jest dla was samych pożytkiem być przede wszystkim ludźmi litościwymi? I czy dla cierpiących jest to pożytkiem, gdy nimi jesteście? Lecz pozostawmy pierwsze pytanie na chwilę bez odpowiedzi. To, skutkiem czego najgłębiej i najosobiściej cierpimy, jest prawie dla wszystkich innych niezrozumiale i niedostępne; to ukryte jest w nas przed bliźnim, choćby nawet jadł z nami z jednego garnka. Powszechnie jednak, gdy nas za cierpiących uważają, płasko tłumaczą sobie nasze cierpienie; jest to właściwym istocie litościwej przychylności, że wyzuwa ona cudze cierpienie z właściwej mu osobistości – nasi "dobroczyńcy" są bardziej niż nasi wrogowie, umniejszycielami naszej wartości i woli. W najliczniejszych dobrodziejstwach wyświadczanych nieszczęśliwym leży coś oburzającego intelektualną płochością, z jaką litościwy odgrywa rolę przeznaczenia: nie wie on o całej wewnętrznej ciągłości i zawikłaniu, które zwie się nieszczęściem dla mnie lub dla ciebie. Cała ekonomia mojej duszy i jej wyrównanie przez "nieszczęście", wybuch nowych źródeł i potrzeb, zabliznienie starych ran, odtrącenie całych przeszłości – o nic podobnego, co wiązać się może z nieszczęściem, nie troszczy się ten pocziwy litościwiec: chce pomóc i nie myśli o tym, że istnieje osobista konieczność nieszczęścia, że mnie i tobie strach, niedostatek, ubożenie, północe, przygody, zuchwalstwa, pomyłki tak są potrzebne, jak ich przeciwieństwo, że – aby się mistycznie wyrazić – ścieżka do własnego nieba prowadzi zawsze przez rozkosz własnego piekła. Nie, on o tym nic nie wie: "religia litości" (lub "serce") nakazuje pomagać, a mniema się, że się najlepiej pomogło, jeśli się najszybciej pomogło! Jeśli wy, zwolennicy tej religii, jesteście rzeczywiście tak samo usposobieni także wobec siebie, jak wobec swych współbraci, jeśli nie chcecie swemu własnemu cierpieniu pozwolić spoczywać na was choćby godzinę i ustawicznie już z dali zapobiegacie wszelkiemu możliwemu nieszczęściu, jeśli cierpienie i przykreść w ogóle odczuwacie jako złe, nienawistne i zniszczenia godne, jako plamę na istnieniu: to wówczas, oprócz waszej religii litości, macie inną jeszcze religię w sercu, a ta jest może matką tamtej – religię wygody. Ach, jak mało wiecie o szczęściu człowieka, wy wygodni i dobroduszni! Bo szczęście i nieszczęście to dwoje rodzeństwa i bliźniąt, które wzrastają razem lub, jak u was, pozostają razem małymi! Lecz wróćmy teraz do pierwszego pytania. – Jak jest możliwe, pozostać na swojej drodze! Ustawicznie woła nas jakiś krzyk na bok; oko nasze widzi tu rzadko coś, wobec czego nie trzeba by porzucić natychmiast własnej sprawy i skoczyć na pomoc. Wiem to; jest sto przyzwoitych i chlubnych sposobów, bym się mógł zbic ze swojej drogi i zaprawdę, najbardziej "moralnych" sposobów. A nawet zapatrywanie dzisiejszych moralnych kaznodziejów litości dochodzi tak daleko, że właśnie to i tylko to jest jedynie moralne – w ten sposób zgubić swoją drogę i skoczyć bliźniemu na pomoc. Wiem to tak samo dohrze: trzeba tylko, bym się oddał widokowi rzeczywistej niedoli, a jestem zgubiony! I gdyby przyjaciel cierpiący rzekł do mnie: "Patrz, wkrótce umrę; przyrzeknij mi, że ze mną umrzesz" – to bym przyrzekł, tak samo, jak widok owego za wolność swą walczącego ludku górskiego przywiódłby mnie do oddania mu dłoni mej i życia mego: by z dobrych pobudek złe wybrać przykłady. Istnieje nawet pewna tajna pokusa w tym wszystkim, co wzbudza litość i wzywa pomocy: właśnie nasza "własna droga" jest rzeczą zbyt twardą i wymagającą, i zbyt daleką od miłości i wdzięczności innych – nie uciekamy od niej zbyt niechętnie, od niej i swego własnego sumienia i chronimy się pod skrzydło sumienia innych i we wnętrze miłej świątyni "religii litości". Skoro teraz jakaś wojna wybucha, to wybucha z nią też zawsze, i właśnie w najszlachetniejszych jakiegoś narodu, tajemnie oczywiście ukrywana uciecha: rzucają się z zachwytem w nowe niebezpieczeństwo śmierci, ponieważ sądzą, iż w poświęceniu się za ojczyznę znajdują wreszcie owo długo szukane pozwolenie – pozwolenie uchylecia się od swego celu – wojna jest dla nich manowcem ku samobójstwu, lecz manowcem z czystym sumieniem. I zamilczając tu niejedno – nie chcę jednak zamilczeć głosu swej moralności, która mi mówi: żyj w ukryciu, byś mógł żyć dla siebie! Żyj w niewiadomości tego, co twemu stuleciu zdaje się najważniejsze! Odgroź siebie od dnia dzisiejszego co

najmniej skórą trzech stuleci! A niech krzyk dnia dzisiejszego, zgiełk wojen i rewolucji będzie ci pomrukiem! Będiesz też szedł z pomocą: lecz tylko tym, których niedolę rozumieć będziesz, bo mają z tobą jeden ból i jedną nadzieję – przyjaciółom swoim: i tylko w ten sposób, jak sobie samemu przychodzisz z pomocą – chcę ich uczynić odważniejszymi, wytrzymalszymi, prostszymi, weselszymi! Chcę ich nauczyć tego, co umie dziś tak niewielu, a najmniej owi kaznodzieje współcierpienia – wspólnej radości!

339.

*Vita femina.* [życie (jako) kobieta] – By ujrzeć największe piękności jakiegoś dzieła – nie wystarczy żadna wiedza i żadna dobra wola; potrzeba najrzadszych szczęśliwych przypadków, by ustąpiła dla nas zasłona chmur z tych wierzchołków i jasne na nich zapłonęło słońce. By to widzieć, musimy nie tylko stać właśnie na należytych miejscach: właśnie nasza dusza sama winna zdjąć zasłonę ze swoich wyżyn i zapragnąć zewnętrznego wyrazu i obrazu, niejako by uzyskać oparcie i osiąść moc nad sobą. Wszystko to jednak zdarza się tak rzadko jednocześnie, iż jestem skłonny sądzić, że najwyższe wyżyny wszelkiego dobra, czy to jest dzieło, czyn, człowiek, natura, były dotychczas dla najliczniejszych, a nawet dla najlepszych, czymś ukrytym i zasłoniętym – co jednak nam się odsłania, odsłania nam się tylko raz! – Grecy modlili się: "wszystkiego, co piękne – dwa lub trzy razy!" – ach, mieli słuszny powód do wzywania bogów, bo nieboska rzeczywistość nie daje nam piękna wcale lub raz! Chcę rzec, że świat przepętny jest rzeczy pięknych, lecz mimo to ubogi, bardzo ubogi w piękne chwile i odsłonięcia tych rzeczy. Lecz może to jest najsilniejszym czarem życia: przetkana złotem zasłona pięknych możliwości spoczywa na nim obiecująca, oporna, wstydliva, szydercza, litosna, uwodna. Tak, życie jest kobietą!

340.

Umierający Sokrates. – Podziwiam dzielność i mądrość Sokratesa we wszystkim, co czynił, powiedział – i nie powiedział. Ten drwiący i zakochany potwór i łowca szczurów ateński, który w drzenie i łkanie wprawiał junaczych młodzieńców, był nie tylko najmędrszym gadułą, jaki istniał: tak samo wielki był w milczeniu. Chciałbym, by i w ostatnich chwilach życia był milczał – może należałby wówczas do wyższego jeszcze rzędu duchów. Czy to śmierć była, czy trucizna, czy pobożność czy złośliwość – coś rozwiązało mu w owej chwili język i rzekł: "O Krytonie, winienem Asklepiosowi koguta". To śmieszne i straszliwe "ostatnie słowo" znaczy dla tego, kto ma uszy: "O Krytonie, życie jest chorobą!". To możliwe! Człowiek, jak on, który żył pogodnie i przed oczami wszystkich jak żołnierz – był pesymistą! Nadrabiał tylko miną wobec życia i za życia ukrywał swój ostateczny sąd, swe najwnętrniejsze uczucie! Sokratesa, Sokratesa bolało życie! A on zemścił się jeszcze za to – owym tajemniczym, strasznym, pobożnym i bluźnierczym słowem! Musiałże i Sokrates mścić się jeszcze? Czy było o jeden grań wielkoduszności za mało w jego przebogatej cnotce? – Ach, przyjaciele! I Greków musimy przezwyciężyć!

341.

Największy ciężar. – A gdyby tak pewnego dnia lub nocy jakiś demon wpełznął za tobą w twą najsamotniejszą samotność i rzekł ci: "Życie to, tak jak je teraz przeżywasz i przeżywałeś, będziesz musiał przeżywać raz jeszcze i niezliczone jeszcze razy; i nie będzie nic w nim nowego, tylko każdy ból i każda rozkosz, i każda myśl, i westchnienie, i wszystko niewymownie małe i wielkie twego życia wrócić ci musi, i wszystko w tym samym porządku i następstwie – tak samo ten pająk i ten blask miesiąca pośród drzew i tak samo ta chwila i ja sam. Wieczna klepsydra istnienia odwraca się jeno – a ty z nią, pyłku z pyłu!". – Czy nie padłbyś na ziemię i nie zgrzytał zębami, i nie przeklął demona, który by tak mówił? Lub czy przeżyłeś kiedy ogromną chwilę, w której byś był mu rzekł: "Bogiem jesteś i nigdy nie słyszałem nie bardziej boskiego!". Gdyby myśl ta uzyskała moc nad tobą, zmieniłaby i zmiądzzyła może ciebie, jakim jesteś. Pytanie przy wszystkim i każdym szczególe: "czy chcesz tego jeszcze raz i jeszcze niezliczone razy?" leżałoby jak największy ciężar na postępkach twoich. Lub jakże musiałbyś kochać samego siebie i życie, by niczego więcej nie pogrążyć nad to ostateczne, wieczne poświadczanie i pieczętowanie? –

343.

*Incipit tragoedia.* – Gdy Zaratustra miał trzydzieści lat, opuścił swą ojczyznę i jezioro Urmi i poszedł w góry. Tu używał ducha swego i swej samotności i nie znużył się tym lat dziesięć. Wreszcie jednak przemieniło się serce jego – i pewnego rana wstał z jutrzeńką, stanął przed słońcem i tak doń rzekł: "O wielka gwiazdo! Czym byłoby twe szczęście, gdybyś tych nie miała, którym świeciłaś! Dziesięć lat wschodziłaś tu w górę ku mej jaskini: przesyciłaś się była światłem swym i drogą swą, beze mnie, mego orła i mego węża; lecz czekaliśmy ciebie każdego rana, odbieraliśmy ci nadmiar twój i błogosławili cię za to. Patrz! Obmierza mi mądrość moja, jako pszczoła, która miodu za wiele zebrała, pożąda rąk, co się wyciągają, chciałbym darowywać i obdzielać, aż mędrzy wśród ludzi znów staną się radzi szaleństwu swemu, a ubodzy swemu bogactwu. Na to w głąb zstąpić muszę: jak ty wieczorem czynisz, gdy poza morze schodzisz i światło jeszcze podziemiem niesiesz, o gwiazdo przebogata! – muszę, podobnie tobie, zająć, jak mówią ludzie, ku którym zejść chcę w dół. Błogosław mnie tedy, oko spokojne, które bez zawiści nawet na nadmiar szczęścia patrzeć możesz! Błogosław puchar, który przelać się pragnie, by złotem płynęła zeń woda i wszędzie odbłask twej rozkoszy niosła! Patrz! Puchar ten znowu opróżnić się pragnie, a Zaratustra znów chce być człowiekiem". – Tak począł się zachód Zaratustry.

## Wiedza radosna

### Księga piąta

#### *My nieustraszeni*

*Carcasse, tu trembles? Tu trem- blerai bien davantage, si tu savais, où je te mène.*

[Szkielecie, ty drżysz? Drżałbyś o wiele bardziej, gdybyś wiedział, dokąd cię prowadzę.]

343.

W sprawie naszej pogody. – Największe z nowych zdarzeń – że "Bóg umarł", że wiara w Boga chrześcijańskiego niewiarogodna się stała – poczyna już na Europę swe pierwsze rzucać cienie. Nielicznym przynajmniej, których spojrzenie, których podejrzliwe spojrzenie jest dość silne i bystre na to widowisko, zdaje się, że właśnie zaszło jakieś słońce, że jakaś stara głęboka ufność zmieniła się w wątpliwość: stary nasz świat musi zdać się im z dnia na dzień bardziej wieczorny, nieufniejszy, bardziej obcy, "starszy". W istocie jednak rzecz można: zdarzenie samo zbyt jest wielkie, zbyt dalekie, zbyt odległe od zdolności pojmowania wielu, by można powiedzieć, że choćby tylko wieść o nim już doszła; nie mówiąc już, by wielu wiedziało, co się właściwie przez to wydarzyło – i ile wszystkiego, po podkopaniu tej wiary, zapaść się musi, jako na niej zbudowane, na niej oparte, w nią wrosłe: na przykład cała nasza europejska moralność. Któż odgadnie dziś już na tyle ową nadchodzącą pełnię i łańcuch strat, zniszczenia, upadku, przewrotu, które nadciągają, by musiał stać się nauczycielem i zwiastunem tej potwornej logiki strachu, prorokiem sposepnienia i zaćmienia słońca, jakim równych nie było prawdopodobnie dotychczas na ziemi?... Nawet my, urodzeni odgadywacze zagadek, którzy jakby na górach czekamy, postawieni między "wczoraj" i jutrem i wprzęgnięci w sprzeczność między "dzisiaj" a jutrem, my pierwородni i za wcześniej urodzeni synowie nadchodzącego stulecia, którym właściwie cienie mające wkrótce spowić Europę już dziś winny były stać się widoczne: czym lo się dzieje, że nawet my wybiegamy wzrokiem na spotkanie tego nadciągającego sposepnienia bez należytego przejęcia się nim, przede wszystkim bez troski i obawy o siebie? Czy może zbyt jeszcze stoimy pośród najbliższych skutków tego zdarzenia – a te skutki najbliższe, skutki dla nas, nie są, przeciwnie, niżby może oczekiwać można – wcale smutne i zasepiające, są raczej nowym, niewysłownym rodzajem światła, szczęścia, ulgi, rozradowania, otuchy, brzasku... Rzeczywiście, my filozofowie i "duchy wolne" czujemy się na wieść, że "Bóg umarł", jakby opromienieni nową jutrenką; serce nasze przelewa się wdzięcznością, zdumieniem, przeczuciem, oczekiwaniem – w końcu ukazuje się nam widnokrąg znów wolny, chociażby nawet nie był jasny, wreszcie znów mogą wybiegać okręty nasze, naprzeciw niebezpieczeństwu każdemu wybiegać, każdy hazard poznającego jest znów dozwolony, morze, nasze morze znów stoi otworem, nigdy może nie było jeszcze tak "otwartego morza".

344.

O ile i my jeszcze bogobojni jesteśmy. – W nauce nie mają przekonania prawa obywatelstwa, tak mówi się słusznie: dopiero gdy zdecydują się one zniżyć się do skromności hipotezy, tymczasowego stanowiska doświadczalnego, regulatywnej fikcji, można im przyznać dostęp do królestwa poznania, a nawet pewną wartość w jego obrębie – co prawda z tym ograniczeniem, że muszą pozostać pod dozorem policyjnym, pod władzą policji nieufności. – Lecz, przyjrząwszy się dokładnie, nie znaczy to: że przekonanie dopiero wtedy osiągnąć może wstęp w obręb wiedzy, gdy przestanie być przekonaniem? Czyż karność naukowego ducha nie zaczyna się zabronieniem sobie wszelkich przekonań?... Tak jest prawdopodobnie: pozostaje tylko pytanie, czy, aby karność ta zacząć się mogła, nie

musi istnieć już przekonanie i to tak despotyczne i bezwzględne, że składa sobie w ofierze wszystkie inne przekonania. Widzimy, że i wiedza spoczywa na wierze, nie ma wcale żadnej wiedzy "nie uprzedzonej". Pytanie, czy prawda jest potrzebna, musi być już nie tylko z góry potwierdzone, lecz potwierdzone do tego stopnia, że twierdzenie, wiara, przekonanie dochodzą do wyrazu w tym: "niczego więcej nie potrzeba prócz prawdy i w stosunku do niej wszystko pozostałe ma wartość niższego rzędu". – Ta bezwzględna żądza prawdy: czymże jest ona? Jestże to postanowienie: by nie dać się ludzi? Jestże to postanowienie, by nie ludzi? Bo i w ten ostatni sposób da się interpretować żądza prawdy: pod warunkiem, że się pod uogólnienie "nie chcę ludzi" podciąga też poszczególny wypadek "nie chcę siebie ludzi". Lecz dlaczego nie ludzi? Lecz dlaczego nie dać się ludzi? – Zauważmy, że powody pierwszego leżą w zupełnie innej dziedzinie niż drugiego: nie chcemy dać się ludzi, ponieważ uważamy, że podleganie złudzeniu jest szkodliwe, niebezpieczne, fatalne – w tym znaczeniu byłaby wiedza długą roztropnością, ostrożnością, pożytecznością, której by jednak można słusznie zarzucić: jak to, jestże postanowienie, by nie dać się ludzi, mniej szkodliwe, mniej niebezpieczne, mniej złowrogie? Cóż wiecie z góry o charakterze istnienia, by móc rozstrzygnąć, czy większa korzyść jest po stronie bezwzględnej nieufności, czy bezwzględnej ufności? W razie jednak, gdyby jednej i drugiej miała być potrzeba, dużo ufności i dużo nieufności: skąd by wówczas wzięła wiedza swą bezwzględną wiarę, swe przekonanie, na którym spoczywa, że prawda ważniejsza jest niż jakakolwiek rzecz inna, a także niż każde inne przekonanie? Właśnie to przekonanie nie mogłoby było powstać, gdyby prawda i nieprawda okazywały się obie ustawicznie pożytecznymi: jak w tym wypadku. Więc – niezaprzeczalnie istniejąca już dziś wiara w wiedzę nie mogła urodzić się z takiego wyrachowania pożyteczności, lecz raczej mimo to, że ustawicznie wykazuje się jej bezpożyteczność i niebezpieczeństwo "żądzy prawdy", "prawdy za wszelką cenę". "Za wszelką cenę": o, rozumiemy to dość dobrze dopiero, gdyśmy jedną wiarę po drugiej na tym ołtarzu złożyli i zarznęli! – Przeto "żądza prawdy" nie oznacza "nie chcę się dać ludzi", jeno – nie pozostaje nic do wyboru – "nie chcę ludzi, także samego siebie nie chcę" – i oto jesteśmy na gruncie moralności. Bo zapytajcie się tylko gruntownie: "dlaczego nie chcesz ludzi?", mianowicie jeśliby istniały pozory – a istnieją pozory! – że życie zbudowane jest na pozorze, to znaczy na biedzie, oszukaństwie, przebraniu, oślepieniu, samooslepieniu, i gdyby z drugiej strony faktycznie wielka forma życia ukazywała się zawsze po stronie najmniej skrupulatnych πολυτροποι [Polytropoi (gr.) – określenie oznaczające ludzi, którzy wiele podróżowali; obcy w świecie, chytry, przebiegli]. Przedsięwzięcie takie mogłoby być może, łagodnie mówiąc, donkiszoterią, drobną marzycielską głupotą; mogłoby jednak być też jeszcze czymś gorszym, to jest wrogą życiu, niszczycielską zasadą... "Żądza prawdy" mogłaby być ukrytą żądzą śmierci. – W ten sposób pytanie: "po co nauka?" prowadzi na powrót do moralnego problemu: "po co w ogóle moralność", jeśli życie, natura, dzieje są "niemoralne"? Nie ulega wątpliwości, że wyznawca prawdy, w owym zuchwałym i ostatecznym znaczeniu, jak go pojmuje wiara w naukę, potwierdza w ten sposób świat inny, nie zaś świat życia, przyrody i dziejów; a jeżeli ów "inny świat" potwierdza – jak to? – czyż nie musi właśnie tym samym zaprzeczać jego przeciwieństwa, tego świata, naszego świata?... Jednak pojęliście już zapewne, do czego dążę, mianowicie, że to, na czym nasza wiara w naukę spoczywa, to wciąż jeszcze wiara metafizyczna – że i my poznający dzisiejsi, my bezbożni i antymetafizycy, także swój ogień jeszcze czerpiemy z pożaru, który wznieciła tysiące lat licząca wiara, owa wiara chrześcijańska, która była też wiarą Platona, że Bóg jest prawdą, że prawda jest boska... Lecz cóż, jeśli to właśnie coraz mniej wiarogodne się staje, jeśli nic więcej nie okazuje się boskim, oprócz błędu, ślepoty, kłamstwa – jeśli Bóg sam okazuje się naszym najdłużej trwającym kłamstwem?

Moralność jako problemat. – Brak osobistości mści się wszędzie: osłabiona, cienka, zgaszona, samej siebie zaprzeczająca i zapierająca się siebie osobistość nie przyda się już żadnej dobrej rzeczy – najmniej przydaje się filozofii. – "Bezosobistość" nie ma żadnej wartości w niebie ani na ziemi; wszystkie wielkie problemy wymagają wielkiej miłości, a zdolne do niej są tylko silne, zaokrąglone, pewne duchy, silnie na samych sobie oparte. Najważniejszą różnicą jest to, czy myśliciel znajduje się do swoich problemów w stosunku osobistym, tak że w nich spoczywa jego przeznaczenie, jego niedola, a także najlepsze jego szczęście, czy też w "mieosobistym" to jest, czy umie ich dotykać i ujmować je tylko mackami swej zimnej ciekawej myśli. W ostatnim wypadku nic z tego nie wyniknie, tyle można przyrzec: bo wielkie problemy, przypuszczając nawet, że się dadzą ująć, nie dadzą się utrzymać żabom i słabeuszom, taki jest smak ich od wieków – smak zresztą, który dzielą z żwawymi samcami. – Jakże się więc dzieje, że nie spotkałem dotychczas nikogo, nawet w książkach, kto by do moralności znajdował się w takim stosunku, jako osoba, kto by znał moralność jako problemat, a ten problemat, jako swoją, osobistą potrzebę, udrękę, rozkosz i namiętność? Widocznie moralność nie była dotąd wcale problematem, raczej tym, w czym po wszystkich nieufnościach, rozdwojeniach i sprzecznościach zgadzano się z sobą wzajem, uświęconym miejscem pokoju, gdzie myśliciel po sobie samym wypoczywał, oddychał, odżywał. Nie widzę nikogo, kto by ważył się na krytykę moralnych ocen wartości; nie znajduję w dziedzinie tej nawet usiłowań naukowej ciekawości, wybrednej i kusicielskiej wyobraźni psychologów i historyków, która łatwo problemat jakiś antycypuje i w locie chwytą, nie wiedząc dobrze, co chwyciła. Doszukałem się zaledwo kilku skąpych zarodków usiłujących doprowadzić do historii powstawania tych uczuć i ocen moralnych (co jest czymś innym niż ich krytyka i jeszcze raz czymś innym niż historia etycznych systematów): w pewnym poszczególnym wypadku uczyniłem wszystko, by otuchy dodać pewnej skłonności i zdolności do tego rodzaju historii – daremnie, jak dziś mi się zdaje. Ci historycy moralności (mianowicie Anglicy) niewiele warci: stoją oni zazwyczaj sami jeszcze prostodusznie pod rozkazami pewnej moralności i, nie wiedząc o tym, służą jej za giermków tarczonośnych i orszak; wyznają na przykład wciąż jeszcze tak wiernie powtarzany zabobon ludowy chrześcijańskiej Europy, że cecha charakterystyczna postępów moralnych leży w bezosobistości, zaparciu się siebie, poświęceniu siebie, lub we współczuciu, w litości. Ich zwyczajnym błędem w tym przypuszczeniu jest, że stwierdzają jakiś *consensus* narodów, przynajmniej oswojonych narodów, co do pewnych zasad moralności i stąd wysnuwają jej moc obowiązującą, tę samą dla mnie, jak dla ciebie; lub odwrotnie, gdy wzeszła ich oczom prawda, że u rozmaitych ludów oceny moralne są z konieczności inne, wyciągają wniosek o nieobowiązywaniu żadnej moralności: co w obu razach jest wielkim dzieciństwem. Błędem bystrzejszych pośród nich jest to, że odkrywają i krytykują niemądre może mniemania pewnego ludu o swojej moralności lub ludzi o wszelkiej ludzkiej moralności, więc mniemania o jej pochodzeniu, jej uświęceniu religijnym, o zabobonie wolnej woli i tym podobnych, i tym samym sądzą, że skrytykowali samą moralność. Lecz wartość przepisu "powinieneś" jest jeszcze zasadniczo różna i niezależna od takich mniemań o niej i od zielska błędu, którym zachwaszczony jest może: jak bezsprzecznie wartość lekarstwa dla chorego nie jest zgoła jeszcze zawisła od tego, czy chory myśli o medycynie naukowo, czy jak stara baba. Jakaś moralność wyrósć mogła nawet z błędu: nawet ten взгляд nie dotknąłby jeszcze problemu jej wartości – Nikt więc dotychczas nie badał jeszcze wartości owego z wszystkich najślawniejszego lekarstwa, zwanego moralnością: do czego przede wszystkim potrzeba, by ją wreszcie – podano w wątpliwość. Otóż! To właśnie jest dziełem naszym!

Nasz znak pytania. – Lecz wy nie rozumiecie tego? W rzeczy samej, trudno nas będzie rozumieć. Szukamy słów, szukamy też może uszu. Kimże jesteśmy przecie? Gdybyśmy chcieli po prostu, dawniejszym wyrazem, nazwać się bezbożnymi lub niewierzącymi lub też immoralistami, nie określilibyśmy się, naszym zdaniem, nawet w przybliżeniu: jesteśmy wszystkimi trzema, w za późnym stadium, aby pojęto, abyście wy pojąć mogli, moi panowie ciekawscy, jak nam jest przy tym na sercu. Nie, precz z goryczą i namiętnością wyzwoleńca, który nawet z niewiary swojej sporządzić sobie musi wiarę, cel, a nawet męczeństwo! Uwarzyliśmy się, a także zzimnieliśmy i stwardnieli w zrozumieniu, że na świecie nie dzieje się wcale po bosku, a nawet nie wedle ludzkiej miary rozumnie, miłosiernie lub sprawiedliwie: wiemy, że świat, w którym żyjemy, jest nieboski, niemoralny, "niehumaniczny" – zbyt długo wykładaliśmy go sobie fałszywie i kłamliwie, lecz wedle życzenia i woli swego uwielbienia, to znaczy wedle potrzeby. Bo człowiek jest wielbiącym zwierzęciem! Lecz jest także nieufnym: a że świat nie ma tej wartości, jakośmy wierzyli, to jest nieledwie najpewniejszą rzeczą, którą w końcu posiadała nieufność nasza. Ile nieufności, tyle filozofii. Wystrzegamy się mówić, że jest mniej wart: wydaje nam się dziś wprost śmiesznym, gdyby człowiek chciał mieć pretensję do wynalezienia wartości, które by przewyższały wartość rzeczywistego świata – porzuciliśmy to właśnie, jako wybudzące ludzkiej próżności i nierozumu zbłąkanie, którego długo za takie nie uważano. Miało ono ostatni swój wyraz w nowoczesnym pesymizmie, dawniejszy zaś i silniejszy w nauce Buddy; lecz tkwi też w chrześcijaństwie, oczywiście wątpliwiej i dwuznaczniej, lecz nie mniej przeto zwodniczo. Cała postawa: "człowiek przeciw światu", człowiek jako zasada "świata zaprzeczająca", człowiek jako miara wartości rzeczy, jako sędzia światów, który w końcu samo istnienie na szale wagi swej kładzie i zbyt lekkim znajduje – potworna niesmaczność tej postawy doszła nam, jako taka, do świadomości i obmierzała nam – śmiejemy się już, gdy spotkamy "człowieka i świat" zestawionych obok siebie, rozdzielonych wzniosłą zarozumiałością słówka "i"! Jakże jednak? Czyśmy przez to właśnie, jako śmiejący się, nie postąpili jeno o krok dalej w pogardzie człowieka? Więc i w pesymizmie, w pogardzie poznawalnego nam istnienia? Czy właśnie przez to nie popadliśmy w podejrzenie co do przeciwieństwa, przeciwieństwa świata, w którym dotąd czuliśmy się u siebie ze swymi uwielbieniami (gwoździem którym może wytrzymywaliśmy życie) i innego świata, którym my sami jesteśmy: w nieubłagane, zasadnicze, najgłębsze podejrzenie co do siebie samych, które nas Europejczyków coraz bardziej, coraz gorzej opanowuje i może łatwo postawić przyszłe pokolenie w obliczu straszliwego albo – albo: "albo pozbądźcie się swych uwielbień albo – siebie samych!". To ostatnie byłoby nihilizmem; lecz czyżby i pierwsze nie było nihilizmem? – Oto nasz znak pytania.

Wierzący i ich potrzeba wiary. – Jak wiele komuś potrzeba wiary, by mógł się rozwinąć, jak wiele "niewzruszoności", której wstrząsać nie pozwala, bo się jej trzyma – to jest miarą stopnia jego siły (lub mówiąc dokładniej jego słabości). Chrześcijaństwa potrzebują, jak mi się zdaje, w starej Europie i dziś jeszcze ci, których najwięcej: dlatego też znajduje ono jeszcze wiarę. Taki bowiem jest człowiek: jakąś zasadę wiary można mu zbić tysiącokrotnie, on jednak, jeśli mu jest potrzebna, uważać ją będzie ciągle za "prawdziwą" –

wedle owego sławnego "dowodu mocy", o którym Biblia prawi. Metafizyki potrzebuje jeszcze wielu; lecz także owa gwałtowna żądza pewności, która w sposób naukowo pozytywistyczny wyładowuje się dziś w szerokich masach, żądza aby chcieć jakiegoś pewnego posiadania (gdy tymczasem z powodu gorączki owej żądy postępuje się z uzasadnieniem tej pewności lżej i opieszalej), otóż i to jest jeszcze pożądaniem oparcia, podpory, słowem instynktem słabości, który religii, metafizyk, przekonań wszelkiego rodzaju wprawdzie nie tworzy, lecz – je zachowuje. W samej rzeczy te wszystkie pozytywistyczne systematy okłębia dym pewnego pesymistycznego sposepnienia, coś jak znużenie, fatalizm, zawód, obawa nowych zawodów – lub też wystawiana na pokaz zawziętość, niezadowolenie, oburzający się anarchizm i jakie tam jeszcze istnieją symptomy i maskarady uczucia słabości. Nawet zapalczywość, z jaką najroztropniejsi nasi współcześni gubią się w mizernych kątach i cieśniach, na przykład w ojczyźniactwie (tak nazywam to, co we Francji zwą *chauvinisme*, w Niemczech "niemieckością") lub w pokątnych wyznaniach estetycznych na sposób paryskiego naturalizmu (wydobywającego i obnażającego tę tylko przyrody część, która zarazem wstręt i zdumienie budzi – część tę zwą dziś chętnie *la verité vraie*) lub w nihilizmie wedle petersburskich wzorów (to znaczy w wierze w niewiarę, aż do męczeństwa za nią), nawet ona wykazuje zawsze przede wszystkim potrzebę wiary, podpory, kręgosłupa, oparcia... Wiary pożąda się zawsze tam najbardziej, tam potrzebuje się jej najgwałtowniej, gdzie zbywa na woli, bo wola, jako uczucie rozkazu, jest najbardziej rozstrzygającą oznaką własnej wielmożności i siły. To znaczy, im mniej kto rozkazywać umie, tym usilniej pożąda kogoś, kto rozkazuje, surowo rozkazuje, pożąda Boga, księcia, stanowiska, lekarza, spowiednika, dogmatu, sumienia partii. Skąd można by wysnuć, że obie wszechświatowe religie, buddyzm i chrześcijaństwo, zawdzięczają może swoje powstanie, a zwłaszcza swą gwałtownie udzielającą się zaraźliwość, ogromnej chorobie woli. I tak było w rzeczywistości: obie religie zostały do niedorzeczności przez chorobę woli wypiętrzone, do rozpaczę dochodzące pożądanie jakiegoś "powinieneś", obie religie były nauczycielkami fanatyzmu w czasach uśpienia woli i dawały przez to niezliczonym tłumom punkt oparcia, nową możliwość chcenia, rozkosz z chcenia. Fanatyzm jest bowiem jedyną "siłą woli", do której dojść mogą także słabi i niepewni, jako pewien rodzaj zahipnotyzowania całego zmysłowo-intelektualnego systemu na rzecz nadmiernego odżywienia (hipertrofii) pewnego poszczególnego punktu widzenia i czucia, który odtąd dominuje – chrześcijanin nazywa go swą wiarą. Gdzie człowiek dojdzie do zasadniczego przekonania, że muszą mu rozkazywać, tam staje się "wierzącym"; odwrotnie, można by sobie wyobrazić rozkosz i siłę władania sobą, wolność woli, w której duch rozbrat bierze z wszelką wiarą, z wszelkim pożądaniem pewności, wyćwiczon tak, że umie się trzymać na lekkich linach i możliwościach i tańczyć nawet nad bezdniami. Taki duch byłby duchem wolnym *par excellence*.

348.

O pochodzeniu uczonych. – Uczony wyrasta w Europie z wszelkiego rodzaju stanów i społecznych warunków, jako roślina, która nie wymaga żadnej specyficznej gleby; dlatego należy on, z istoty swej i poniewolnic, do podpór myśli demokratycznej. Lecz pochodzenie to zdradza się. Kto wyuczył nieco swój wzrok doszukiwania się (w uczonej książce lub naukowej rozprawie) intelektualnej idiosynkrazji uczonego – ma ją każdy uczoney – i do chwytania jej na uczynku, ten zobaczy prawie zawsze poza nią "pradzieje" uczonego, jego rodzinę, w szczególności jej rodzaje zajęć i rzemiosła. Gdzie do głosu dochodzi uczucie "to jest odtąd dowiedzione, z tym się załatwiłem", tam w krwi i instynkcie uczonego: tkwi zazwyczaj przodek, który ze swego kątką widzenia pochwała "zrobioną robotę" – wiara w

dowód jest tylko objawem tego, co w pracowitym rodzie od dawna uważano za "dobrą robotę". Przykład: synowie wszelkiego rodzaju rejestratorów i biurowych pisarzy, których głównym zadaniem było zawsze porządkowanie różnorodnego materiału, rozdzielanie na oddziały, w ogóle schematyzowanie, okazują, gdy uczonymi zostaną, szczególną do tego skłonność, iż uważają jakiś problemat za rozwiązany nieledwie tym, że go uschematyzowali. Są filozofowie, którzy w gruncie rzeczy są tylko schematycznymi głowami – formalność ojcowskiego rzemiosła stała się ich treścią. Talent do klasyfikacji, do tablic kategorii zdradza coś; nie jest się bezkarnie dzieckiem swych rodziców. Syn adwokata będzie też jako badacz musiał być adwokatem; w sprawie swej mieć będzie pierwszy wzgląd, by utrzymać się przy swym zdaniu, drugi może, by mieć słuszność. Synów protestanckich duchownych i nauczycieli szkolnych poznaje się po naiwnej pewności, z którą jako uczeni rzecz swą za dowiedzioną już uważają, kiedy ją właśnie dopiero tylko serdecznie i z ciepłem wygłosili: są bowiem zasadniczo przyzwyczajeni, że się im wierzy – to należało u ojców ich do "rzemiosła"! Żyd, przeciwnie, stosownie do zakresu zajęć i przeszłości swego narodu, przywykł właśnie najmniej do tego, by mu wierzono: przypatrzmy się pod tym względem uczonym żydowskim – wszyscy oni przywiązują wiele wagi do logiki, to jest do wymuszenia zgody przez uzasadnienia; wiedzą, że nimi zwyciężyć muszą, nawet tam, gdzie istnieje przeciw nim niechęć rasowa i klasowa, gdzie im się wierzy niechętnie. Nie ma bowiem nic demokratyczniejszego nad logikę: nie ogląda się ona na osoby, a także krzywe nosy uważa się za proste. (Mimochodem zaznaczmy: Europa właśnie ze względu na ułogicznienie, na czystsze nawyknięcia głowy, winna niemało wdzięczności Żydom; najpierw Niemcy, jako oplakanie bezrozumna rasa, której też dziś wciąż jeszcze nasamprzód "głowę zmywać" trzeba. Wszędzie, gdzie Żydzi doszli do wpływu, nauczyli bardziej drobiazgowo odróżniać, bystrzej wnioskować, jaśniej i przejrzystej pisać: zadaniem ich było zawsze jakiś naród "uczyć rozumu".)

349.

Jeszcze raz o pochodzeniu uczonych. – Chęć zachowania siebie samego przy życiu jest wyrazem krytycznego położenia, zacieśnienia właściwego zasadniczego popędu życiowego, który dąży do rozszerzenia mocy i w żądy tej podaje dość często w wątpliwość samozachowawczość i poświęca ją. Uważać należy za symptomat, że poszczególni filozofowie, jak na przykład suchotniczy Spinoza, właśnie tak zwany popęd samozachowawczy za rozstrzygający uważali, uważać musieli – byli to właśnie ludzie w krytycznym położeniu. Że nasze współczesne nauki przyrodnicze do tego stopnia uwikłały się w dogmacie Spinozy (w końcu jeszcze i najgrubiej w darwinizmie z jego nie do pojęcia jednostronną nauką o "walce o byt"), temu winno prawdopodobnie pochodzenie przeważnej liczby badaczy przyrody: należą w tym względzie do "ludu", przodkowie ich byli to ludzie ubodzy i skromni, którzy trudność utrzymania się znali nazbyt z bliska. Cały angielski darwinizm owiewa coś, jakby angielski zaduch z przeludnienia, jakby nędzarska woń biedy i ciasnoty. Lecz należałoby badaczom przyrody wyjść ze swego człowieczego kąta: a w naturze panuje nie niedostatek, lecz nadmiar, rozrzutność, aż do niedorzeczności nawet. Walka o byt jest tylko wyjątkiem, tymczasowym ograniczeniem żądy życia; wielka i mała walka toczy się wszędzie o przewagę, o rozrost i rozprzestrzenienie, o moc, stosownie do żądy mocy, którą jest właśnie żądza życia.

Ku czci *hominum religiosorum*. – Walka przeciw Kościołowi jest z wszelką pewnością między innymi – bo oznacza różne rzeczy – także walką natur pospolitych, bardziej zadowolonych, ufniejszych, powierzchowniejszych, przeciw panowaniu bardziej ważkich, głębszych, bardziej kontemplacyjnych, to znaczy gorszych i podejrzliwszych ludzi, którzy wraz z długotrwałym podejrzeniem co do wartości istnienia, dumali też nad własną wartością: pospolity instynkt ludu, jego wesołość zmysłów, jego "dobre serce" burzyły się przeciw nim. Cały rzymski Kościół spoczywa na południowej względem natury człowieka podejrzliwości, którą Północ zawsze fałszywie rozumie: z którą to podejrzliwością europejskie Południe wzięło w spadku głęboki Wschód, prastarą tajemniczą Azję i jej kontemplację. Już protestantyzm jest buntem ludu na rzecz poczciwców, prostodusznych, powierzchownych (Północ była zawsze dobroduszniejsza i bardziej płaska niż Południe); lecz dopiero rewolucja francuska dała berło zupełnie i uroczyście "dobrym ludziom" (owcy, osłu, gęsi i wszystkiemu, co jest nieuleczalnie płaskie i krzykackie, i dojrzałe do domu wariatów "idei nowoczesnych").

Ku czci natur kapłańskich. – Myślę o wszystkim, co tłum za mądrość uważa (a któż nie jest dziś "tłumem?"), o owym rozsądnym, krowim spokoju umysłu, o pobożności i plebańskiej łagodności, która leży na łące i przeżuwać, poważnie przygląda się życiu – że właśnie filozofowie czuli się zawsze najbardziej tego dalekimi, prawdopodobnie przeto, iż nie byli dość tłumem, nie dość proboszczami. Zapewne też oni właśnie najpóźniej nauczą się wierzyć, że tłum mógłby cośkolwiek zrozumieć z tego, co mu jest najdalsze, wielką namiętność poznającego, który ustawicznie żyje i żyć musi w chmurze brzemiennej burzą najwyższych problemów i najcięższych odpowiedzialności (więc wcale, wcale nie przypatrując się, poza wszystkim, obojętny, bezpieczny, przedmiotowy...). Tłum, wytwarzając sobie ideał "mędrca", czci zupełnie innego rodzaju człowieka i ma tysiącokrotne do tego prawo, właśnie tego rodzaju człowiekowi hołd składać w najlepszych słowach i czołobitnościach: są to łagodne, poważnie proste i czyste natury kapłańskie i im pokrewne – im to należy się pochwała, którą ludowa cześć oddaje mądrości. I komuż miałby tłum powód być wdzięczniejszy niż tym mężom, którzy do niego należą i z niego wychodzą, lecz jako poświęceni, wybrani, jego dobru ofiarowani – oni sami uważają się za ofiarowanych Bogu – mężom, przed którymi on, tłum, bezkarnie serce swe otworzyć może, przed którymi może się wyzbyć swoich tajemności, trosk i gorszych jeszcze rzeczy (bo człowiek, który się zwierza i "siebie udziela", pozbywa się siebie; a kto "wyznał", zapomina). Tu władza wielka potrzeba: albowiem i duchowemu plugastwu trzeba odpływowych rowów, a w nich czystych, czyszczących wód, trzeba bystrych strumieni miłości i silnych, pokornych, czystych serc, które gotowe są i ofiarują się takiej służbie niepublicznej ochrony zdrowia – bo to jest ofiara, kapłan jest i pozostanie ofiarą ludzi... W takich ofiarowanych, uciszonych, poważnych ludziach "wiary" lud odczuwa mędrców, to znaczy tych, którzy wiedzącymi się stali, odczuwa w nich ludzi "pewnych" w stosunku do własnej niepewności: któż by mógł mu odebrać to słowo i tę cześć? – Lecz, jak na odwrót jest słuszne, wśród filozofów uchodzi i kapłan zawsze jeszcze za "tłum" a nie za wiedzącego, przede wszystkim dlatego, że oni sami w "wiedzących" nie wierzą i że właśnie już w tej wierze i zabobonie węższą tłum. Skromność to wynalazła w Grecji słowo "filozof" i pyszną zuchwałość nazywania się

mądrym zostawiała aktorom ducha – skromność takich potworów dumy i wielmożności, jak Pitagoras, jak Platon.

352.

Jak dalece byłoby trudno obejść się bez moralności. – Człowiek nagi jest w ogóle haniebnym widokiem – mówię o nas Europejczykach (nawet nie o Europejkach). Przypuśćmy, że najweselsze u stołu towarzystwo ujrzałoby się nagle, dzięki złośliwości jakiego czarodzieja, obnażonym i rozebranych, a sędzę, że nie tylko znikłaby wesołość, lecz zniechęciłby się i najsilniejszy apetyt – zdaje się, że my Europejczycy nie moglibyśmy się zgoła obejść bez owej maskarady, która się zwie odzieniem. Lecz czyż nie miałyby mieć swoich tak samo słusznych powodów odzienie "ludzi moralnych", ich ukrycie pod moralnymi formami i pojęciami przystojności, całe to uprzejme chowanie swych postępów pod pojęciami obowiązku, cnoty, ducha obywatelskiego, uczciwości, zaparcia się siebie? Nie abym sądził jakoby tu maskować się miała ludzka złość i nikczemność, słowem złe, dzikie w nas zwierzę: myśl moja jest odwrotna, że właśnie, jako oswojone zwierzęta jesteśmy haniebnym widokiem i potrzebujemy moralnego przebrania – że europejski "człowiek wewnętrzny" właśnie od dawna już przestał być na tyle zły, żeby mógł "dać się oglądać" (by z tym był piękny). Europejczyk przebiera się w moralność, ponieważ stał się chorym, chorowitym, kalekim zwierzęciem, które ma słuszne powody być "łagodne", ponieważ jest prawie poronionym płodem, czymś połowicznym, słabym, niezdarnym... Nie straszliwość drapieżcy potrzebuje moralnego przebrania, lecz zwierzę stadne ze swą głęboką miernotą, trwogą i znudzeniem się sobą. Moralność przystraja człowieka – wyznajmy to – na coś dostojniejszego, znaczniejszego, okazalszego, na coś "boskiego".

353.

O źródle religii. – Właściwym wynalazkiem założycieli religii jest najpierw: nakaz określonego sposobu życia i codzienności obyczaju, który działa jako *disciplina voluntatis* i usuwa zarazem nudę; następnie: nadanie temu właśnie życiu interpretacji, dzięki której wydaje się ono opromienione najwyższą wartością tak, że staje się odtąd dobrem, za które się walczy, a w danym razie oddaje się życie. W rzeczywistości z tych dwu wynalazków ten drugi jest istotniejszy: pierwszy, sposób życia, istniał już zazwyczaj, lecz obok innych sposobów życia i bez świadomości tego, co za wartość w nim tkwi. Znaczenie, oryginalność założyciela religii objawia się zazwyczaj w tym, że go widzi, że go wybiera, że po raz pierwszy zgaduje, jak użyć go można, jak interpretować. Jezus (czy Paweł) zastał już w prowincji rzymskiej ludzi prowadzących biedne, skromne, cnotliwe, uciśnione życie; wyłożył je, włożył w nie najwyższą myśl i wartość – a przez to odwagę pogardzenia wszelkim innym życiem, cichy fanatyzm Herenhutów, tajemną podziemną ufność w siebie, która rośnie i rośnie i w końcu gotowa jest "świat przezwyciężyć" (to jest: Rzym i wyższe stany w całym państwie). Budda tak samo zastał ów rodzaj ludzi, i to rozsiany wśród wszystkich stanów i stopni społecznych swojego narodu, ludzi, którzy z lenistwa są dobrzy i dobrotliwi (przede wszystkim niezaczepni), którzy również z lenistwa żyją wstrzemięźliwie, nieledwie bez potrzeb: zrozumiał, jak taki rodzaj ludzi nieuchronnie, z całą *vis inertiae*, wpaść musi w wiarę, która obiecuje zapobiec powrotowi ziemskiego mozołu (to znaczy pracy, działania w ogóle) – to "zrozumienie" było jego geniuszem. Na założyciela religii potrzeba

psychologicznej nieomyślności w znajomości pewnego średniego rodzaju dusz, które nie poznały jeszcze, że należą do siebie. On to je zgromadza; założenie religii staje się o tyle zawsze długim świętem poznania się.

354.

O "geniuszu gatunku". – Problemata świadomości (właściwie, uświadomienia się sobie) występuje wówczas dopiero przed naszymi oczami, gdy zaczynamy pojmować, jak dalece moglibyśmy się bez niej obejść: a u tego początku pojmowania stawia nas teraz fizjologia i historia zwierząt (która więc potrzebowała dwóch stuleci, by dościsnąć wyprzedzające podejrzenie Leibniza). Moglibyśmy bowiem myśleć, czuć, chcieć, przypominać sobie, moglibyśmy również "działać" w każdym tego słowa znaczeniu, a mimo to nie potrzebowałyby to wszystko nam "dochodzić do świadomości" (jak mówi się obrazowo). Całe życie byłoby możliwe bez widzenia się niejako w zwierciadle: jak też istotnie i teraz jeszcze odgrywa się w nas bez tego odzwierciedlenia znacznie przeważająca część tego życia – a nawet naszego myślącego, czującego, chcącego życia, jakkolwiek by to dawniejszemu filozofowi obrażająco brzmieć mogło. Po co w ogóle świadomość, jeśli w gruncie rzeczy jest zbyteczna? – Otóż zdaje mi się – jeśli zechcecie dać posłuch mej odpowiedzi na to pytanie i jej wybujałemu może domysłowi – że bystrość i siła świadomości stoją zawsze w stosunku do zdolności powiadamiania się pewnego człowieka (lub zwierzęcia), zdolność powiadamiania się zaś w stosunku do potrzeby powiadamiania się: to ostatnie nie w tym znaczeniu, jakoby właśnie sam poszczególny człowiek, który jest właśnie mistrzem w powiadamianiu się i dawaniu do zrozumienia swych potrzeb, musiał też być zarazem zdany potrzebami swymi przeważnie na innych. Zdaje mi się jednak, że tak się rzecz ma z całymi rasami i łańcuchami pokoleń: gdzie potrzeba i niedola długo zmuszały ludzi do powiadamiania się, porozumiewania się wzajemnego szybko i bystro, tam zjawia się w końcu nadmiar tej siły i sztuki powiadamiania się, niejako bogactwo, gromadzące się stopniowo i czekające teraz spadkobiercy, który je rozrzutnie wyda (tak zwani artyści są tymi spadkobiercami, tak samo mówcy, kaznodzieje, pisarze: wszystko to ludzie, którzy zawsze zjawiają się u kresu długiego łańcucha, "późno urodzeni" każdym razem, w najlepszym tego słowa rozumieniu i, jak się rzekło, z natury swej rozrzutnicy). Jeśli przypuścimy, że spostrzeżenie to jest prawdziwe, więc mogę wyrazić domysł, że świadomość rozwinęła się w ogóle tylko pod naciskiem potrzeby powiadamiania się – że pierwotnie tylko między człowiekiem i człowiekiem (między rozkazującym i słuchającym w szczególności) była potrzebna, pożyteczna i rozwinęła się także tylko w stosunku do stopnia tej pożyteczności. Świadomość jest właściwie tylko siecią, łączącą człowieka z człowiekiem – tylko jako taka musiała się rozwijać: pustelniczy i drapieżny człowiek nie byłby jej potrzebował. Że nasze postępy, myśli, uczucia, poruszenia same dochodzą nam do świadomości – przynajmniej ich część – to skutek straszliwego, długiego "musu" władzącego nad człowiekiem: potrzebował on, jako najbardziej zagrożone zwierzę, pomocy, obrony, potrzebował równego sobie, musiał wyrazić swą potrzebę, umieć się wytłumaczyć – a na to wszystko potrzebował przede wszystkim "świadomości", więc sam "wiedzieć", czego mu brak, "wiedzieć", jak mu jest na duchu, "wiedzieć", co myśli. Bo aby rzecz raz jeszcze: człowiek, jak każde żyjące stworzenie, myśli ustawicznie, lecz o tym nic wie; świadome myślenie jest tylko najmniejszą tego częścią, powiedzmy: najpowierzchniejszą, najlichszą częścią – bo jedynie to myślenie świadome odbywa się w słowach, to znaczy w znakach powiadamiania się, przez co zdradza się samo świadomości pochodzenie. Słowem, rozwój mowy i rozwój świadomości (nie rozumu, lecz jedynie uświadomienia się

roзумu sobie) idą ręka w rękę. Dodajmy, że nie tylko mowa służy za most między człowiekiem i człowiekiem, lecz i spojrzenie, uścisk, gest; uświadamianie naszych wrażeń zmysłowych w nas samych, siła utrwalania ich i niejako stawiania poza obrębem siebie, wzrastała w miarę, jak rósł mus powiadomienia o nich innych przez znaki. Wynajdujący znaki człowiek jest zarazem zawsze bystrzej siebie samego świadomym człowiekiem; dopiero jako zwierzę społeczne nauczył się człowiek uświadamiać się sobie – czyni to jeszcze, czyni to coraz więcej. Myślą moją, jak widać, jest to: że świadomość nie przynależy właściwie do indywidualnej egzystencji człowieka, raczej do tego, co w nim jest naturą gromadną i stadną; że, jak z tego wynika, rozwinęła się ona subtelnie także tylko ze względu na gromadny i stadny pożytek i że w następstwie tego, każdy z nas, przy najlepszej woli rozumienia siebie samego najmożliwiej indywidualnie, "poznania siebie samego", będzie uświadamiał sobie jednak właśnie tylko to, co w nim jest nieindywidualnego, swoją "średniość" – że charakter naszej świadomości, władający w niej "geniusz gatunku", nawet myśl naszą ustawicznie niejako majoryzuje i cofa na powrót do perspektywy stadnej. Nie ulega wątpliwości, że postęпки nasze są w gruncie rzeczy wszystkie razem w sposób nieporównany osobiste, jedyne, nieograniczenie indywidualne; lecz skoro przetłumaczymy je na świadomość, zdają się przestawa być nimi... Oto właściwy fenomenalizm i perspektywizm, jak ja go rozumiem: tak chce natura świadomości zwierzęcej, że świat, który możemy sobie uświadomić, jest tylko światem powierzchni i znaków, światem uogólnionym, spopolitowanym – że wszystko, co się uświadamia, tym samym staje się płaskie, rozcieńczone, względnie głupie, ogólne, znakiem, pamięciowym znakiem stada, że z wszelkim uświadomieniem związane jest wielkie gruntowne spaczenie, sfalszowanie, upowierzchnienie, uogólnienie. Ostatecznie rosnąca świadomość jest niebezpieczeństwem; a kto wśród najświadomszych żyje Europejczyków, wie nawet, że jest ona chorobą. Zgadnicie, że chodzi mi tu nie o przeciwieństwo podmiotu i przedmiotu; rozróżnienie to pozostawiam teoretykom poznania, którzy utknęli w sidłach gramatyki (metafizyki ludowej). A zgoła już nie o przeciwieństwo "rzeczy samej w sobie" i zjawiska: bo "poznajemy" nazbyt mało, by choć tak tylko móc rozróżniać. Nie mamy właśnie zgoła żadnego organu do poznawania, do "prawdy": "wiemy" (lub wierzymy lub wyobrażamy to sobie) właśnie tak wiele, jak to w interesie człowieczego stada, gatunku może być pożyteczne: a nawet to, co tu "pożytecznością" się zowie, jest ostatecznie także tylko wiarą, wyobrażeniem i może właśnie ową najfatalniejszą głupotą, z której kiedyś zginiemy.

355.

Źródło naszego pojęcia "poznanie". – Biorę to wyjaśnienie z ulicy: słyszałem jak ktoś z tłumu rzekł "poznał mnie" – przy tym zapytałem: co rozumie właściwie tłum przez poznanie? Czego chce, jeśli chce "poznania"? Niczego więcej nad to: by coś obcego sprowadzić do czegoś znajomego. A my filozofowie – zrozumieliżemy właściwie więcej przez poznanie? Znajome, to znaczy: to, do czegośmy nawykli, tak że się już temu nie dziwimy, nasza codzienność, jakieś prawidło, w którym tkwimy, rzecz wszelka i każda, w której się czujemy w domu. – Co? Nie jestże nasza potrzeba poznawania właśnie tą potrzebą znajomości? Chęcią odkrywania we wszystkim, co obce, niezwykle, wątpliwe, czegoś, co nas już nie niepokoi? Czy to nie instynkt trwogi każe nam poznawać? Nie jestże radowanie się poznającego właśnie radowaniem się z osiągniętego znowu uczucia bezpieczeństwa?... Filozof ten mniemał, że "poznał" świat, gdy go sprowadził do idei: ach, czyż nie dlatego, że "idea" była mu tak znajoma, tak zwyczajna, że się już tak mało bał "idei"? – Och, ta niewymagalność poznających! Przypatrzcie się przecie pod tym względem ich zasadom i

rozwiązaniom zagadki świata! Gdy odnajdą w rzeczach, nad rzeczami, za rzeczami coś, co nam niestety jest bardzo dobrze znane, na przykład naszą tabliczkę mnożenia lub naszą logikę, lub nasze chcenie i pożądanie, jakże wnet są szczęśliwi! Bo "co znane, to poznane": w tym się zgadzają. Nawet najostrożniejsi wśród nich mniemają co najmniej, że rzecz znajoma jest łatwiejsza do poznania niż obca; że byłoby nam na przykład dla metody do zalecenia, wychodzić "ze świata wewnętrznego", z "faktów świadomości", ponieważ to świat lepiej nam znany! Błąd nad błędami! Znajome to to, do czego się nawykło; a to nawykłe jest najtrudniejsze do "poznania", to znaczy do spostrzegania, że tkwi w nim zagadnienie, czyli coś obcego, dalekiego, "zewnątrz nas"... Wielka pewność nauk przyrodniczych w stosunku do psychologii i krytyki elementów świadomości – nauk nienaturalnych, jak by prawie można powiedzieć – polega na tym, że biorą za przedmiot to, co obce: gdy tymczasem jest czymś prawie sprzecznym w sobie i niedorzecznym chcieć w ogóle brać za przedmiot to, co nie obce.

356.

Jak dalece dzać się będzie w Europie coraz artystyczniej. – Troska o życie zmusza i dziś jeszcze – w naszym czasie przejściowym, gdzie już tyle przestaje zmuszać – prawie wszystkich Europejczyków mężczyzn do oznaczonej roli, do ich tak zwanego powołania; niektórym pozostaje przy tym wolność, pozorna wolność wyboru tej roli, dla przeważnej liczby jest ona określona. Rzecz dziwna przy tym; prawie wszyscy Europejczycy utożsamiają siebie w pewnym późniejszym wieku ze swymi rolami, oni sami są ofiarami swej "dobrej gry" i oni sami zapomnieli, jak bardzo przypadek, humor, dowolność rządziły nimi wówczas, gdy się rozstrzygało ich "powołanie" – i jak wiele innych ról mogliby byli może odgrywać: bo teraz już za późno! Patrząc głębiej widzimy, że rola stała się rzeczywiście charakterem, sztuką naturą. Istniały stulecia, kiedy ze sztywną ufnością, nawet z bogobojnością wierzono w swoje przeznaczenie właśnie do tego zajęcia, właśnie do tego zarabiania na chleb i nie chciano wcale uznać w tym przypadku, roli, dowolności: stany, cechy, dziedziczne przywileje rzemieślnicze dokonały, z pomocą tej wiary, budowy owych olbrzymich szerokich wieżyc społecznych, które wyróżniają wieki średnie i którym w każdym razie jedno na chwałę przyznać można: trwałość (a trwałość jest na ziemi wartością najcenniejszą!)! Lecz istnieją odmienne stulecia, właściwie demokratyczne, gdzie się wiary tej coraz bardziej zapomina i gdzie na czoło występuje pewna zuchwała wiara i kąt widzenia przeciwny, owa wiara Ateńczyków, którą spostrzega się po raz pierwszy w epoce Peryklesa, owa wiara dzisiejszych Amerykanów, która coraz bardziej usiłuje stać się też wiarą Europejczyków: wiara, w której jednostka jest przekonana, że umie nieledwie wszystko, nieledwie do każdej dorasta roli, gdzie każdy siebie próbuje, improwizuje, na nowo próbuje, z rozkoszą próbuje, gdzie wszystko przestaje być naturą, a staje się sztuką... Grecy wszedłszy dopiero w tę wiarę w rolę – wiarę artystów jeśli chcecie – przeszli, jak wiadomo, krok za krokiem przedziwną i nie pod każdym względem naśladownia godną przemianę: stali się rzeczywiście aktorami; jako tacy oczarowali, przewyciężyli cały świat – i w końcu samą "zwycięzczynią świata" (bo *Graeculus histrio* zwyciężył Róme, a nie, jak naiwni mówić zwykli, kultura grecka). Lecz czego się boję, co dziś już staje się dotykalne, gdyby ochotę miano tknąć się tego – boję się, że my ludzie nowocześni jesteśmy całkiem już na takiej samej drodze: i każdym razem, gdy człowiek zacznie odkrywać, jak dalece gra jakąś rolę i o ile może być aktorem, staje się aktorem... Razem z tym wzrasta wtedy nowa flora i fauna ludzi, którzy w silniejszych, bardziej ograniczonych stuleciach wzrastać nie mogą lub ostają się "w dole" pod klątwą i podejrzeniem bezcześci – wraz z tym wynurzają się każdym

razem najbardziej zajmujące i najszałeńsze stulecia dziejów, w których "aktorzy", wszelkiego rodzaju aktorzy, są właściwymi panami. Właśnie przez to doznają coraz więcej krzywdy, w końcu niemożliwymi się stają innego rodzaju ludzie, przede wszystkim wielcy "budowniczo"; sztuka budownicza teraz chroma; otucha, planowanie na długie dale, zniechęca się; poczyna braknąć organizatorskich geniuszów: któż waży się teraz jeszcze przedsiębrać dzieła, których dokończenie trzeba by liczyć na tysiąclecia? Wymiera właśnie owa zasadnicza wiara, na której podstawie ktoś może liczyć, obiecywać, antycypować w planie przyszłość, składać ją swemu planowi w ofierze, wiara, że człowiek o tyle tylko ma wartość, znaczenie, o ile jest kamieniem w wielkiej budowie: do czego nasamprzód silnym być musi, "kamieniem" być musi... Przede wszystkim nie aktorem! Krótko mówiąc – ach, dość długo jeszcze będą to przemilczać! – to czego się odtąd nie buduje, co zbudowanym być nie może – to społeczność w dawnym rozumieniu tego słowa: do budowania tej budowy brak wszystkiego, najpierw materiału. My wszyscy nie jesteśmy już wcale materiałem do społeczności: oto prawda, którą czas wyrzec! Zda mi się obojętne, że obecnie jeszcze ludzie najkrótkowzroczniejsi, może najuczciwsi, w każdym razie najhałaśliwsi ludzie, jacy dziś istnieją, nasi panowie socjaliści, nieomal w przeciwieństwo wierzą, pokładają w nim nadzieję, marzą o nim, przede wszystkim piszą i piszą: nawet czytać już można ich słowo przyszłości: "wolna społeczność" na wszystkich stołach i ścianach. Wolna społeczność? Tak! Tak! Lecz czyż wiecie, panowie, z czego się ją buduje? Z drewnianego żelaza! Ze sławnego drewnianego żelaza! I nawet jeszcze nie z drewnianego...

357.

W sprawie starego problemu: "co jest niemieckie?". – Policzcie w sobie właściwe zdobyte myśli filozoficznej, które zawdzięcza się głowom niemieckim: czy w jakimkolwiek dozwolonym znaczeniu można je też zaliczyć na rachunek całej rasy? Czy możemy powiedzieć: są one zarazem dziełem "duszy niemieckiej", a przynajmniej jej symptomatem, w znaczeniu, w jakim ideomanię Platona, jego religijny prawie obłęd form zwykliśmy uważać zarazem za wytwór i świadectwo "duszy greckiej"? Lub czy odwrotnie byłoby prawdą? Czy też są one właśnie tak indywidualne, tak bardzo wyjątkowe w duchu rasy, jak było na przykład Goethego pogaństwo z czystym sumieniem? Lub jak nim jest wśród Niemców Bismarckowy makiawelizm z czystym sumieniem, tak zwana "polityka realna"? Czy może filozofowie nasi nawet przeczą potrzebie "duszy niemieckiej"? Słowem, czy filozofowie niemieccy byli rzeczywiście Niemcami filozofującymi? – Przypominam trzy wypadki. Przede wszystkim nieporównaną myśl Leibniza, z którą utrzymał się nie tylko wobec Kartezjusza, lecz w ogóle wobec wszystkiego, co dotąd wyfilozofowano – że świadomość jest tylko *accidens* [przypadłość, przypadkowość] wyobrażenia, a nie jego koniecznym i istotnym atrybutem, że więc to, co nazywamy świadomością, jest tylko stanem naszego duchowego i dusznego świata (może stanem chorobliwym), a wcale jeszcze nie nim samym – jestże w tej myśli, której głąb i dziś jeszcze nie jest wyczerpana, co niemieckiego? Czy istnieje powód do przypuszczenia, że Łacinnik nie mógłby wpaść łatwo na to samo odwrócenie oczywistości? – bo jest to odwrócenie. Przypomnijmy sobie po wtóre Kanta i ogromny znak zapytania, który wypisał przy pojęciu "przyczynowości" – nie żeby jak Hume w ogóle podał w wątpliwość jego słuszność: począł raczej ostrożnie zakreślać granice królestwa, w którego obrębie pojęcie to w ogóle ma sens (do dziś jeszcze nie uporano się z tym wytykaniem granic). Weźmy po trzecie zdumiewające ujęcie rzeczy Hegla, który przetrząsnął nim wszystkie logiczne nawyki i

nałogi, gdy odważył się nauczać, że pojęcia rodzajów rozwijają się jedne z drugich: które to twierdzenie przysposobiło ducha Europy do ostatniego wielkiego ruchu naukowego, do darwinizmu – bo bez Hegla nie ma Darwina. Czy jest w tej Hegłowskiej nowości, która pierwsza wprowadziła do nauki pojęcie "rozwoju", coś niemieckiego? – Tak, bez żadnej wątpliwości w tych wszystkich trzech wypadkach czujemy jakąś część siebie samych "odkrytą", odgadnioną i wdzięczni jesteśmy za to, i zaskoczeni zarazem; każde z tych trzech twierdzeń jest uwagi godną częścią niemieckiego poznania siebie, doświadczenia na sobie, ujęcia siebie. "Nasz świat wewnętrzny jest o wiele bogatszy, obszerniejszy, skrytszy", tak czujemy jak Leibniz, i jako Niemcy wątpimy jak Kant o ostatecznej wartościowej wadze przyrodniczych poznań i o wszystkim w ogóle, co się *causaliter* [w sposób przyczynowy, zgodnie z przyczyną] poznać daje: poznawalne wydaje się nam już jako takie mniej wartościowym. My Niemcy bylibyśmy heglistami, nawet choćby żaden Hegel nie był istniał, o ile (w przeciwieństwie do Łacinników) przypisujemy stawaniu się, rozwojowi instynktownie głębsze znaczenie i bogatszą wartość niż temu, co "jest" – ledwie wierzymy w uprawnienie pojęcia "być"; również, o ile nie jesteśmy skłonni przyznać swej ludzkiej logice, jakoby była logiką samą w sobie, jedynym rodzajem logiki (chcielibyśmy raczej wmówić w siebie, że jest tylko przypadkiem specjalnym, i może jednym z najdziwaczniejszych i najgłupszych). Czwartym pytaniem byłoby, czy i Schopenhauer ze swym pesymizmem, to znaczy z problematem wartości istnienia, także Niemcem być musiał. Sądzę, że nie. Wydarzenie, po którym problematu tego z całą pewnością można było oczekiwać, tak że astronom duszy mógłby był obliczyć dlań dzień i godzinę, upadek wiary w Boga chrześcijańskiego, zwycięstwo naukowego ateizmu jest powszechnym wydarzeniem europejskim, w którym wszystkie rasy winny mieć swój udział zasługi i chwały. Przeciwnie, właśnie Niemcom należałoby przypisać – owym Niemcom, z którymi Schopenhauer żył współcześnie – że to zwycięstwo ateizmu najdłużej i najniebezpieczniej odwlekali; Hegel mianowicie był jego odwłóczycielem *par excellence*, zgodnie ze swym wspaniałym usiłowaniem wmówienia w nas ostatecznie jeszcze z pomocą naszego szóstego zmysłu, "zmysłu historycznego", boskości istnienia. Schopenhauer był jako filozof pierwszym przyznającym się i nieugiętym ateuszem, jakiegośmy Niemcy mieli: jego wrogość względem Hegla na tym tle powstała. Nieboskość istnienia była dla niego czymś danym, uchwytnym, nieroztrząsalnym; tracił za każdym razem swój spokój filozoficzny i wpadał w gniew, gdy widział, że ktoś tu ociąga się i kołuje. W tym tkwi cała jego rzetelność: bezwzględny uczciwy ateizm jest właśnie założeniem jego postawienia problemu, jako nareszcie ciężko osiągnięte zwycięstwo europejskiego sumienia, jako najbogatszy w skutki akt dwutysiącletniego wychowania do prawdy, które w końcu zabrania sobie kłamstwa wiary w Boga... Widać, co właściwie odniosło nad Bogiem chrześcijańskim zwycięstwo: sama moralność chrześcijańska, coraz surowiej brane pojęcie prawdziwości, spowiednicza drobiazgowość sumienia chrześcijańskiego, przeniesiona i wyniesiona do godności sumienia naukowego, do czystości intelektualnej za wszelką cenę. Patrzenie na naturę, jak gdyby była dowodem dobroci i opieki jakiegoś boga; tłumaczenie dziejów ku czci rozumu boskiego, jako ustawiczne świadectwo moralnego porządku świata i moralnych celów ostatecznych; wykładanie własnych wydarzeń przeżytych, jak je bogobojni ludzie dość długo wykładali, jak gdyby wszystko było zrzędzeniem, wszystko znakiem, wszystko ku zbawieniu duszy wymyślone i zesłane: to już teraz minęło, to ma sumienie przeciw sobie, to wydaje się każdemu wytworniejszemu sumieniu nieprzyzwoitością, nieuczciwością, łgarstwem, zniewieściałością, słabością, tchórzostwem – jeśli przez co, to dzięki tej surowości jesteśmy dobrymi Europejczykami i spadkobiercami najdłuższego i najdzielniejszego samoprzezwyciężenia Europy. Odrącając od siebie w ten sposób interpretację chrześcijańską i osądzając jej "sens" jako "fałszowanie monet", potracamy natychmiast w sposób straszliwy o Schopenhauerowskie pytanie: czyż istnienie ma w ogóle sens? – owo

pytanie, które potrzebować będzie kilku stuleci, by być zupełnie i z wszystkich swych głębi słyszany. Co Schopenhauer sam na pytanie to odpowiedział, było – wybaczone mi to – czymś przedczesnym, młodzieńczym, odprawą tylko, utknięciem i ugrzęźnięciem właśnie w chrześcijańsko-ascetycznych moralnych perspektywach, którym wraz z wiarą w Boga odmówiło się wiary... Lecz postawił pytanie – jako dobry Europejczyk, jak się rzekło, a nie Niemiec. Lub czy też Niemcy przynajmniej w sposobie, w jaki jęli się Schopenhauerowskiego pytania, dowiedli swej wewnętrznej przynależności i pokrewieństwa, swego przygotowania, iż potrzebują jego problemu? Że po Schopenhauerze także w Niemczech – zresztą dość późno! – o postawionym przezeń problemacie myślano i drukowano, to nie wystarcza z pewnością do rozstrzygnięcia na rzecz tej bliższej przynależności: można by nawet powołać się przeciw temu na osobliwą niezręczność tego postschopenhauerowskiego pesymizmu. – Najwidoczniej, że Niemcy nie zachowywali się tu jak w swoim żywiole. Nie piję tutaj wcale a wcale do [Edwarda von Hartmanna](#); przeciwnie, nie cofnąłem i dziś jeszcze swego podejrzenia, że jest dla nas za z r e c z n y, chcę powiedzieć, że jako chytry frant nie tylko od początku drwił sobie może z niemieckiego pesymizmu – że nawet może w końcu mógłby Niemcom testamentem przekazać, jak dalece można było ich samych, w wieku uzasadnień, za nos wodzić. Lecz pytam: czy można może Niemcom za chlubę poczytać starego baka [Bahnsena](#), który przez całe swoje życie kręcił się z rozkoszą około swej realno-dialektycznej biedy i "osobistego nieszczęścia" – czyżby to właśnie było niemieckie (polecam przy tym jego pisma jako anty-pesymistyczny pokarm, jako którego ich sam używałem, a to gwoli jego elegancie *psychologicae*, którymi, jak mi się zdaje, pomóc można nawet najbardziej zatkanemu ciału i umysłowi)? Lub czy należy zaliczyć do prawdziwych Niemców takich dyletantów i takie stare panny, jak słodkawego apostoła dziewiczości [Mainländera](#)? W końcu musiał to być Żyd (wszyscy Żydzi stają się słodkawi, kiedy moralizują). Ani Bahnsen ani Mainlander, ani nawet Edward von Hartmann nie dają pewnej ręką co do pytania, czy pesymizm Schopenhauera, jego przerażone spojrzenie w odarty z Boga, głupi, ślepy, obłąkany i wątpliwy świat, jego r z e t e l n e przerażenie... nie było tylko wyjątkowym wypadkiem wśród Niemców, lecz niemieckim wydarzeniem: gdy tymczasem wszystko, co zresztą na pierwszym stoi planie, nasza dzielna polityka, nasze ojczyźniactwo, które dość stanowczo zapatruje się na wszystkie rzeczy ze stanowiska mało filozoficznej zasady (*Deutschland, Deutschland aber alles*), więc *sub specie speciei* [z punktu widzenia (konkretnego) gatunku], to jest niemieckiej *species*, wszystko to wykazuje z wielką wyrazistością coś przeciwnego. Nic! Niemcy dzisiejsi nie są wcale pesymistami! A Schopenhauer był pesymistą, jeszcze raz mówię, jako dobry Europejczyk, a nie jako Niemiec.

358.

Chłopski bunt ducha. – My Europejczycy znajdujemy się w obliczu olbrzymiego świata zwalisk, gdzie niejedno jeszcze w górę strzela, niejedno stoi zbutwiałe i nieprzytulne, największa część jednak już leży na ziemi, dość malowniczo – gdzie istniały kiedy piękniejsze ruiny? – i obrosłe wielkim i małym chwastem. Kościół jest tym miastem w upadku: widzimy, że społeczność religijną chrześcijaństwa wstrząśnięto do najgłębszych posad – wiara w Boga obalona, wiara w chrześcijańsko-ascetyczny ideał toczy właśnie jeszcze swój bój ostatni. Takie długo i gruntownie budowane dzieło, jak chrześcijaństwo – była to ostatnia budowa Rzymian! – nie mogło oczywiście paść w gruzy od jednego ciosu; rozmaitego rodzaju trzęsienie ziemi musiało tu wstrząsać; rozmaitego rodzaju duchy, które wiercą, grzebią, toczą, wilgocią, musiały tu pomagać. Lecz co najdziwniejsze: ci, którzy

najbardziej trudzili się nad tym, by chrześcijaństwo podtrzymać, utrzymać, stali się właśnie najlepszymi jego burzycielami – Niemcy. Zda się, że Niemcy nie rozumieją istoty Kościoła. Czy są na to nie dość uduchowieni? Nie dość nieufni? Budowa Kościoła spoczywa w każdym razie na południowej wolności i wolnomyślności ducha i tak samo pewnej południowej podejrzliwości względem natury, człowieka i ducha – spoczywa na zupełnie innej znajomości człowieka, doświadczalnej znajomości człowieka, innej jak miała Północ. Lutrova reformacja była w całej swej rozciągłości oburzeniem prostoty na coś "różnorodnego", by rzecz ostrożnie, grubym, pocziwym niezrozumieniem, któremu wiele można wybaczyć – nie pojmowano wyrazu zwyczajnego Kościoła i widziano tylko zepsucie, nie rozumiano dostojnego sceptycyzmu, owego zbytku sceptycyzmu i tolerancji, na który pozwala sobie każda zwyczajka, pewna siebie potęga... Widać dziś dosyć dobrze, jak Luter we wszystkich głównych zagadnieniach mocy był z natury krótkowzroczny, powierzchowny, nieostrożny, przede wszystkim jako człowiek z ludu, któremu zbywało na wszelkim dziedzictwie kasty panującej, na wielkim popędzie mocy: tak że dzieło jego, jego żądza przywrócenia owego dzieła Rzymian, była, mimo woli jego i wiedzy, tylko początkiem dzieła zniszczenia. Targał i burzył, z uczciwą namiętnością, wszędzie, gdzie stary pajak tkął najpilniej i najdłużej. Wydał księgi święte w ręce wszystkich – przeto wpadły w końcu w ręce filologów, to znaczy niszczycieli wiary, która spoczywa na księgach. Zburzył pojęcie "Kościoła", odrzucając wiarę w natchnienie soborów. Bo tylko dzięki przekonaniu, że duch darzący natchnieniem, który założył Kościół, jeszcze w nim żyje, jeszcze buduje, nie ustaje domu swego budować, tylko dzięki temu pojęcie "Kościoła" zachowuje moc. Przywrócił kapłanowi obcowanie płciowe z kobietą: lecz trzy ćwierci czci, do której zdolny jest lud, przede wszystkim kobiety z ludu, spoczywa na wierze, że wyjątkowy pod tym względem człowiek będzie i pod innym względem człowiekiem wyjątkowym – wiara ludu w coś nadludzkiego w człowieku, w cud, w zbawiającego Boga w człowieku, ma tu właśnie swego najsprytniejszego, najchytrzejszego rzecznika. Dawszy kapłanowi kobietę, musiał mu Luter odebrać spowiedź uszną, to było psychologicznie trafne: lecz tym samym został w gruncie rzeczy usunięty sam kapłan chrześcijański, którego najgłębszą pożytecznością było to, że był uchem świętym, studnią milczącą, grobem tajemnic. "Każdy swym własnym kapłanem" – za takimi formułami i ich chłopską chytrą kryła się u Lutra bezdenne nienawiść do "ludzi wyższych" i do panowania "człowieka wyższego" jak go w pojęciu swym stworzył Kościół – rozbił on ideał, którego nie umiał osiągnąć, gdy tymczasem zdawał się zwalczać i zohydzać zwyrodnienie tego ideału. W samej rzeczy niemożliwy ten mnich odtrącił od siebie panowanie *hominum religiosorum*; czynił więc sam to samo w obrębie kościelnego porządku społecznego, co tak nietolerancyjnie zwalczał, o ile to dotyczyło porządku obywatelskiego – "bunt chłopski". Cokolwiek potem z reformacji jego wyrosło, dobrego i złego, i dziś prawie obliczone być może – któż byłby tak naiwny, by Lutra dla wszystkich tych skutków po prostu chwalić lub ganić? On nie winien niczemu, nie wiedział, co czynił. Spłylenie ducha europejskiego, mianowicie na Północy, jego udobroduszenie, jeśli się woli określenie słowem moralnym, postąpiło z Lutrową reformacją o tęgi krok naprzód, nie ma wątpliwości; i tak samo urosła przez nią ruchliwość i niespokojność ducha, jego pragnienie niezawisłości, jego wiara w prawo do wolności, jego "naturalność". Jeśli w ostatnim względzie pragnie się przyznać jej tę wartość, że przygotowała i przysposobiła to, co dziś czcimy jako "wiedzę nowoczesną", to trzeba oczywiście dodać, że jest współwinna zwyrodnieniu nowoczesnego uczonego, jego braku czci, wstydu i głębi, całej naiwnej serdeczności i pocziwości w rzeczach poznania, słowem winna plebeizmowi ducha, który cechuje ostatnie dwa stulecia i od którego też dotychczasowy pesymizm jeszcze nas wcale nie wyzwolił – także "idee nowoczesne" należą jeszcze do tego chłopskiego buntu Północy przeciw ziemniejszemu, dwuznaczniejszemu, nieufniejszemu duchowi Południa, który Kościołem chrześcijańskim największy wznosił sobie pomnik. Nie zapomnijmy też w końcu, czym jesi Kościół, a

zwłaszcza w przeciwieństwie do każdego "państwa": Kościół jest przede wszystkim utworem władczym, który ludziom bardziej uduchowionym zapewnia najwyższy stopień i tak dalece w potęgę duchowości wierzy, że wzbrania sobie wszystkich grubszych środków władzy – tym tylko jest Kościół w każdym razie dostojniejszą instytucją niż państwo.

359.

Zemsta na duchu i inne tła moralności. – Jak myślicie, gdzie ma najniebezpieczniejszych, najupartszych swych rzeczników – moralność?... Oto człowiek nieudany, który nie dość ma ducha, by móc się nim cieszyć, a właśnie dość wykształcenia, by to wiedzieć; znudzony, markotny, gardzący sobą; przez odrobinę odziedziczonego mienia ograbiony niestety z ostatniej jeszcze pociechy, z "błogosławieństwa pracy", z zapomnienia o sobie wśród "roboty codziennej"; taki, który w gruncie wstydy się swego istnienia – może mieści w sobie nadto kilka małych występków – a nie może z drugiej strony nie rozpieszczać się coraz gorzej i stawać się próżno-drażliwym, przez złe książki, do których żadnego nie ma prawa i towarzystwa bardziej uduchowione, niż to strawić może: taki na wskroś zatruty człowiek – bo duch staje się trucizną, wykształcenie trucizną, posiadanie trucizną, samotność trucizną u takich nieudanych – popada ostatecznie z przyzwyczajenia w stan zemsty, żądy zemsty... czegoż, jak wam się zdaje, potrzebuje on, bezwarunkowo potrzebuje, by sobie w oczach własnych nadać pozór wyższości nad bardziej duchowymi ludźmi, by stworzyć sobie rozkosz dokonanej zemsty, przynajmniej w wyobraźni? Zawsze moralności, założyć się można, zawsze wielkich słów moralnych, zawsze bum-bum sprawiedliwości, mądrości, świętości, cnoty, zawsze stoicyzmu gestu (jak dobrze ukrywa stoicyzm to, czego ktoś nie ma!...), zawsze płaszcza mądrego milczenia, życzliwości dla ludzi, łagodności i jak też tam zwą się te wszystkie idealistów płaszczyki, w których chadzają ludzie nieuleczalnie gardzący sobą, a także nieuleczalnie próżni. Nie rozumiejcie mnie fałszywie: z takich urodzonych wrogów ducha powstaje czasem ów rzadki okaz ludzkości, który lud czei pod nazwą świętego, mędrca; z takich ludzi pochodzą owe potwory moralności, które zgiełk czynią, historię czynią – święty Augustyn do nich należy. Strach przed duchem, zemsta na duchu – o, jak często stają się te siłorodne występkę już korzeniami cnót! Nawet cnotą! A pytając między nami, nie byłaż nawet owa pretensja filozofów do mądrości, którą szerzono sobie tu i ówdzie na ziemi, najgłupsza i najnieskromniejsza pretensja – nie byłaż ona zawsze dotąd, w Indiach czy Grecji, przede wszystkim kryjówką? Czasem może z punktu widzenia wychowawczego, uświęcającego tak wiele kłamstw, jako delikatny wzgląd na stawanie się, na wzrost, na uczniów, których często trzeba wiarą w osobę (błędem) bronić przeciw nim samym... W częstszych wypadkach jednak kryjówką filozofa, do której chroni się przed znużeniem, starością, ostudzeniem, stwardnieniem, jako uczucie bliskiego końca, jako roztropność owego instynktu, który zwierzęta mają przed śmiercią – idą w ustronie, stają się ciche, wybierają samotność, chowają się w nory, stają się mądre... Jak to? Mądrość kryjówką filozofa przed – duchem?

360.

Dwa rodzaje przyczyn, które się miesza. – Wydaje mi się to jednym z najistotniejszych moich kroków i postępów: nauczyłem się odróżniać przyczynę postępowania od przyczyny postępowania tak i tak, postępowania w tym kierunku, ze

względu na ten cel. Pierwszy rodzaj przyczyn jest pewnym *quantum* natłoczonej siły, która czeka, by jakkolwiek, na cokolwiek została użyta; drugi rodzaj jest natomiast w porównaniu z tą siłą czymś nieznacznym, najczęściej drobnym przypadkiem, wedle którego owo *quantum* "wydziela" się odtąd w jeden i oznaczony sposób: jest zapalką w stosunku do beczki prochu. Do tych przypadków i zapalek zaliczam wszystkie tak zwane "cele", zarówno owe jeszcze bardziej tak zwane "powołania życiowe": są one względnie dowolne, upodobane, prawie obojętne w stosunku do owego ogromnego *quantum* siły, które się napiera, jak się rzekło, by zostać w jakikolwiek sposób zużyte. Pospolicie zapatrują się na to inaczej: zwykło się właśnie w celu (powołaniu, przeznaczeniu itd.) widzieć siłę pędzącą, wedle starego błędu – lecz jest to tylko siła kierująca, pomieniano przy tym sternika i parę. A nawet nie zawsze jeszcze sternika, siłę kierującą... Nie jestże "cel", "przeznaczenie" dość często tylko upiększającym pozorem, dodatkowym samoołnieniem się próżności, która nie chce przyznać się, że okręt idzie z prądem, w który wpadł przypadkowo? Że dokąś "chce", ponieważ tam iść – musi? Że wprowadzić ma kierunek, lecz nie ma wcale a wcale – sternika? – Potrzebna jest jeszcze krytyka pojęcia "cel".

361.

O problemacie aktora. – Problemat aktora niepokoił mnie najdłużej i pozostawałem w niepewności co do tego (i tkwię w niej czasem teraz jeszcze), czy nie zdołamy, wychodząc z tego punktu, poradzić sobie z niebezpiecznym pojęciem "artysta" – pojęciem traktowanym dotąd z dobroduszością nie do darowania. Fałsz z czystym sumieniem, rozkosz maskowania się, wybuchająca jako siła, usuwająca na bok tak zwany "charakter", zatapiająca go, czasem gasząca; wewnętrzne pożądanie wejścia w rolę i maskę, w złudę; nadwyżka zdolności przystosowawczych wszelkiego rodzaju, które już nie umieją się zadowolić w służbie najbliższego, najdawniejszego pożytku: wszystko to jest może nie tylko istotą aktora?... Taki instynkt wytworzy się zapewne najłatwiej w rodzinach z niższych warstw ludowych, które musiały wieść życie w kolejnej zmianie ucisku i musu, w głębokiej zależności, które musiały zawsze nakłaniać się do swych warunków, coraz do nowych stosować okoliczności, coraz inaczej naginać się i układać, pozyskując stopniowo zdolność wieszania płaszczka wedle każdego wiatru i stając się same prawie przez to płaszczem, mistrzami owej wcielonej i w krew wsiąkłej sztuki wiecznej gry w chowanego, która u zwierząt zowie się mimiery: aż w końcu cała ta z pokolenia w pokolenie gromadzona zdolność staje się władczą, nierozumną, niepowściągniętą, jako instynkt uczy się rządzić innymi instynktami i wytwarza aktora, "artystę" (najpierw błazna, opowiadacza kłamstw, pajaca, trefnisia, kłowna, także klasycznego sługę, Gila Blasa: bo w takich typach tkwią pradzieje artyści, dość często nawet "geniusza"). I w wyższych towarzyskich warunkach wyrasta też pod podobnym uciskiem podobny rodzaj ludzi: lecz wtedy przeważnie właśnie jakiś inny instynkt dzierży w karchach instynkt aktorski, na przykład u "dyplomatów" – wierzę zresztą, że dobry dyplomata mógłby każdej chwili do woli być dobrym aktorem scenicznym, pod warunkiem właśnie, gdyby mu to było pozostawione "do woli". Co się tyczy Żydów, owego narodu sztuki przystosowawczej *par excellence*, to by można, idąc za tokiem tej myśli, upatrywać w nich niejako rozpowszechnioną w dziejach całego świata instytucję do wychowywania aktorów, właściwą wylęgarnię aktorów; i w samej rzeczy czas jest postawić pytanie: któryż dobry aktor nie jest dziś Żydem? Także Żyd jako urodzony literat, jako faktycznie ten, który opanował prasę europejską, wywiera tę moc swoją na podstawie swej zdolności aktorskiej, bo literat jest w gruncie rzeczy aktorem – odgrywa "rzeczoznawcę", "zawodowca". – W końcu kobiety: zastanówmy się nad całą historią kobiet – nie musząż one przede wszystkim i ponad

wszystkim być aktorkami? Posłuchajmy lekarzy, którzy hipnotyzowali kobiety, wreszcie kochajmy je – dajmy się im "hipnotyzować"! Cóż okazuje się zawsze przy tym? Że "udają", nawet wówczas, gdy się oddają... Kobieta jest tak bardzo artystką...

362.

Nasza wiara w zamięszanie Europy. – Zawdzięcza się Napoleonowi (a wcale nie francuskiej rewolucji, która dążyła do "braterstwa" ludów i ogólnej wymiany serc, niby kwiatów), że będzie teraz mogło nastąpić po sobie kilka wojennych stuleci, którym nic podobnego nie było w dziejach, słowem, że wstąpiliśmy w klasyczny okres wojny, uczonej a razem narodowej wojny na największą miarę (środków, uzdolnień, karność), na którą przyszłe stulecia spoglądać będą, jako na okaz doskonałości, z zazdrością i czcią – bo ruch narodowy, z którego ta chwała wojenna wyrośnie, jest tylko reakcją przeciw Napoleonowi i nie istniałby bez Napoleona. Jemu więc kiedyś można będzie przypisać, że mąż w Europie znów zapanuje nad kupcem i filistrem; może nawet nad "kobietą", którą rozważyło chrześcijaństwo i marzycielski duch osiemnastego wieku, jeszcze bardziej "idee nowoczesne". Napoleon, który w ideach nowoczesnych i wprost w cywilizacji widział jakby osobistą nieprzyjaciółkę, okazał się tą wrogością jednym z największych kontynuatorów odrodzenia: wydzwignął w górę cały odłam antycznej istoty, odłam granitu, rozstrzygający może. I kto wie, czy ten odłam antycznej istoty nie zapanuje też w końcu znowu nad ruchem narodowym i nie stanie się w znaczeniu potwierdzającym spadkobiercą i kontynuatorem Napoleona – który chciał jednej Europy, jak wiadomo, a tej jako pani ziemi.

363.

Jak każda płeć ma swój przesąd co do miłości. – Mimo wszystko, co gotów jestem przyznać przesądowi monogamicznemu, nie zgodzę się jednak na to nigdy, żeby mówiono o jednakich prawach w miłości mężczyzn i kobiet: tych nie ma. To znaczy, że mężczyzna i kobieta rozumieją miłość każde po swojemu – i należy to do warunków miłości u obu płci, że jedna płeć nie przypuszcza u drugiej płci jednakiego uczucia, jednakiego pojęcia "miłości". Co kobieta rozumie przez miłość, jest jasne: zupełne zdanie się (nie tylko oddanie) duszą i ciałem, bez żadnego względu, żadnego zastrzeżenia, z wstydem i strachem raczej przed myślą o uwarunkowanym, z zastrzeżeniami związanym oddaniu. W tym braku zawarowań jest właśnie jej miłość wiara: kobieta nie ma innej. – Mężczyzna, kochając kobietę, żąda od niej właśnie takiej miłości, jest przeto co do własnej osoby jak najbardziej daleki od założenia miłości kobiecej; gdybyśmy przypuścili jednak, że istnieją mężczyźni, którym by z ich strony nie było obce pożądanie zupełnego oddania się, to nie są to właśnie mężczyźni. Mężczyzna, który kocha jak kobieta, staje się przez to niewolnikiem; kobieta zaś, która kocha jak kobieta, staje się tym doskonałą kobietą... Namiętność kobiety, w swym bezwzględnym zrzeczeniu się praw własnych, przyjmuje właśnie w założeniu, że po drugiej stronie nie ma takiego samego patosu, takiej samej chęci zrzeczenia się siebie: bo gdyby oboje zrzekli się siebie z miłości, to powstałoby z tego – otóż nie wiem co, może pusta przestrzeń? Kobieta chce być wzięta, przyjęta jako posiadanie, chce zaniknąć w pojęciu "posiadania", "własności"; przeto pragnie kogoś, kto bierze, który samego siebie nie daje, nie rozdaje, który przeciwnie raczej winien stać się właśnie bogatszy w "siebie" – przez przyrost siły, szczęścia, wiary, jako który kobieta daje mu samą siebie. Kobieta darowuje się,

mężczyzna przyjmuje – sędzę, że żadne społeczne umowy, ani też najlepsza wola na punkcie sprawiedliwości nie pokonają tego przeciwieństwa natury: jakkolwiekby też życzyć sobie można, by nie stawiano sobie ustawicznie przed oczami srogości, straszliwości, zagadkowości, niemoralności tego antagonizmu. Bo miłość, cała, wielka, w pełni pomyślana, jest naturą, a jako natura po wieki wieków czymś "niemoralnym". – Wierność odpowiednio do tego włącza się w miłość kobiety, wypływa z jej definicji; u mężczyzny może ona łatwo powstać w orszaku jego miłości, może jako wdzięczność lub jako idiosynkrazja smaku i tak zwanego pokrewieństwa z wyboru, lecz nie jest ona właściwa istocie jego miłości – tak że można prawie mówić z pewną słusnością o naturalnym przeciwnictwie między miłością i wiernością u mężczyzny: która to miłość jest właśnie chęcią mienia, a nie zrzekaniem się i wydawaniem; zaś chęć mienia kończy się zawsze z chwilą, gdy się ma... Rzeczywiście subtelniejsze i podejrzliwsze pragnienie posiadania w mężczyźnie rzadko i późno przyznaje się przed sobą do tego posiadania, co sprawia, iż miłość jego trwa dalej; o tyle jest nawet możliwe, że rośnie ona jeszcze po oddaniu się, – nie przypuszcza on łatwo, że kobieta nie ma mu już nic więcej do "oddania"...

364.

Pustelnik mówi. – Sztuka postępowania z ludźmi polega w gruncie rzeczy na zręczności (której warunkiem jest długie ćwiczenie) przyjmowania, spożywania jadła, do którego przyrządzenia nie ma się zaufania. Przypuszczając, że się przychodzi do stołu z wilczym apetytem, wszystko jest łatwe ("najgorsze towarzystwo pozwala ci czuć", jak mówi Mefistofeles); lecz nie ma się go, tego wilczego głodu, gdy się go potrzebuje! Ach, jak ciężcy są bliźni do strawienia! Pierwsza zasada: jak w nieszczęściu dodać sobie serca, sięgać dzielnie, samego siebie przy tym podziwiać, odrazę swą wziąć między zęby, przełknąć swój wstręt. Druga zasada: współbrata swego "polepszyć", na przykład pochwałą, tak że zaczyna wypacać swe szczęście z samego siebie; lub chwycić koniuszek jego dobrych lub "zajmujących" właściwości i ciągnąć zań, aż się całą wydobędzie cnotę i można bliźniego wetknąć w jej fałdy. Trzecia zasada: autohipnoza. Wlepić wzrok w przedmiot swego obcowania, jak w guzik szklany, aż się przestanie przy tym odczuwać rozkosz i przykrość i zaśnie się niepostrzeżenie, stężeje się, nabierze postawy niechwiejnej: środek domowy z zakresu małżeństwa i przyjaźni, wypróbowany obficie, wychwalany jako niezbędny, lecz naukowo jeszcze niesformułowany. Popularna nazwa jego – cierpliwość.

365.

Pustelnik mówi raz jeszcze. – I my obcujemy z ludźmi i my wdziewamy skromnie suknię, w której (jako którą) nas znają, poważają, szukają, i udajemy się w niej do towarzystwa, to znaczy między przebranych, którzy tak zwać się nie chcą; i my postępujemy jak wszystkie roztropne maski i każdą ciekawość, która nie "sukni" naszej dotyczy, wypraszamy w sposób uprzejmy za drzwi. Są jednak jeszcze inne sposoby i sztuczki, by z ludźmi, wśród ludzi "obcować": na przykład jako upiór – co pożyteczne jest bardzo, jeśli chce się ich pozbyć prędko i przejąc strachem. Próba: chwytają nas i nie mogą nas ująć. To przestrasza. Lub: wchodzimy przez zamknięte drzwi. Lub: gdy wszystkie światła zgaszone. Lub: gdyśmy już umarli. To ostatnie jest sztuczką ludzi pośmiertnych par excellence. ("Cóż myślicie, rzekł raz taki człowiek niecierpliwie, że mielibyśmy byli ochotę

wytrzymywać tę obcość, ziąb, ciszę grobową wkoło siebie, tę całą podziemną, utajoną, niemą, niewykrytą samotność, która u nas zwie się życiem, a równie dobrze zwać by się mogła śmiercią, gdybyśmy nie wiedzieli, co z nas będzie – i że po śmierci dopiero dojdziemy do swego życia i żywi będziemy. Och! Jak żywi! My ludzie pośmiertni!")

366.

W obliczu uczonej książki. – Nie należymy do tych, którzy dopiero wśród książek, pod bodźcem książek do myśli swych dochodzą – zwyczajem naszym jest myśleć na wolnym powietrzu, idąc, skacząc, wspinając się, tańcząc, najchętniej na górach samotnych lub w pobliżu morza, tu gdzie nawet drogi rozmyślają. Nasze pierwsze pytania co do wartości, pod względem książki, człowieka, muzyki, brzmią: "Umie on chodzić? Co więcej, umie on tańczyć?"... Czytamy rzadko, czytamy przeto niezgorzej – och, jak szybko odgadujemy, jak ktoś do myśli swych doszedł, czy siedząc przed kałamarzem, ze zgniecionym brzuchem, z głową schyloną nad papierem: och, jak szybko też załatwiamy się z jego książką! Zgniecione wnętrzości zdradzą się, można iść o zakład, tak samo zdradzi się powietrze pokoju, pułap pokoju, ciasnota pokoju. – Takie były me myśli, gdy zamknąłem właśnie rzetelnie uczoną książkę, wdzięczny, bardzo wdzięczny, lecz też z ulgą... W książce uczonego jest prawie zawsze też coś tłoczącego, przytłoczonego: zawsze gdzieś wyłazi "specjalista", jego gorliwość, jego powaga, jego zawziętość, jego przecenienie kąta, w którym siedzi i tka, jego garb – każdy specjalista ma swój garb. Książka uczonego odzwierciedla też zawsze wykrzywioną duszę: wszelkie rzemiosło wykrzywia. Zobaczcie swych przyjaciół, z którymi byliście młodzi, odkąd umiejętność swą wzięli w posiadanie: ach, jak też zawsze przeciwnie się dzieje, ach, jakże ona teraz na zawsze ich posiadała i obsiadła! W swój kąt wrośnięci, zgnieceni do niepoznania, bezwolni, pozbawieni równowagi, wychudli i kanciąści wszędzie, tylko w jednym punkcie wybornie okrągli – czuje się wzruszenie i milczy się, gdy ich się odnajdzie takimi. Każde rzemiosło, choćby nawet złotą miało podłogę, ma nad sobą też ołowiany pułap, który duszę tłoczy i tłoczy, aż ją wycudaczy i pokrzywi. Nic tu nie da się zmienić. Nie sądźcie też, że można uniknąć tego wypaczenia przez jakieś sztuki wychowania. Każdy rodzaj mistrzostwa trzeba drogo opłacić na ziemi, gdzie może wszystko opłaca się za drogo; jest się mężem swego zawodu za cenę, że się jest też zawodu swego ofiarą. Lecz wy chcecie, by inaczej było – "taniej", przede wszystkim wygodniej – nieprawdaż, moi panowie współcześni? Dobrze więc! Lecz otóż i macie natychmiast coś innego, mianowicie miast rzemieślnika i majstra – literata, obrotnego, "wielozwrotnego" literata, któremu oczywiście brak garbu – nie licząc owego, w który przed wami się zgina jako kramarz ducha i "dźwigar" wykształcenia – literata, który właściwie nie jest niczym, lecz prawie wszystko "reprezentuje", który rzeczoznawcę odgrywa i "zastępuje", który też z całą skromnością podejmuje się wyrobić sobie w jego zastępstwie zapłatę, cześć i hołdy. – Nie, moi uczeni przyjaciele! Błogosławię was nawet jeszcze za wasz garb! I za to, że równie, jak ja, darzycie pogardą literatów i pasożytów wykształcenia! I że nie umiecie kupczyć duchem! I macie same takie mniemania, których nie można wyrazić wartością pieniężną! I że nie przedstawiacie niczego, czym nie jesteście! A waszą jedyną żądzą jest stać się mistrzami i rzemieślnikami, w czci dla wszelkiego rodzaju mistrzostwa i dzielności, i z najbezwzględniejszym odparciem wszystkiego, co pozorne, na pół rzetelne, wystrojone, wirtuozowskie, demagogiczne, aktorskie *in litteris et artibus* [w literaturze i sztukach] – wszystkiego, co nie może się przed wami wykazać bezwzględną uczciwością karności i przygotowania! (Nawet geniusz nie pomoże na takie braki, chociażby nie wiem jak umiał je zamydlić: pojmuje się to, jeśli się kiedy z bliska przyglądało naszym najbardziej uposażonym malarzom i muzykom – którzy

wszyscy, prawie bez wyjątku, dzięki pewnej chytrej wynalazczości sposobów i środków pomocnych w potrzebie, nawet zasad, umieli sobie sztucznie i dodatkowo przyswoić pozór owej uczciwości, owej spoistości wyszkolenia i kultury, oczywiście nie oszukawszy co do tego siebie samych, nie zmusiwszy do trwałego milczenia własnego nieczystego sumienia. Bo – czy wiecie o tym? – wszyscy wielcy artyści nowocześni cierpią na nieczyste sumienie...)

367.

Co trzeba przede wszystkim rozróżnić w dziełach sztuki. – Wszystko, co się myśli, tworzy w poezji, maluje, komponuje, nawet buduje i rzeźbi, należy albo do sztuki monologicznej, albo do sztuki wobec świadków. Do ostatniej zaliczyć też jeszcze należy ową pozorną monologiczną sztukę, która zamyka w sobie wiarę w Boga, całą lirykę modlitwy: bo dla pobożnego nie ma jeszcze samotności – ten wynalazek uczyniliśmy dopiero my, bezbożni. Nie znam żadnej głębszej różnicy w dziedzinie całej optyki artysty nad tę: czy patrzy ku swemu stającemu się dziełu sztuki (ku "sobie") ze stanowiska oka świadka, czy też "zapomniał o świecie": jest to istota każdej sztuki monologicznej – polega ona na zapomnieniu, jest muzyką zapomnienia.

368.

Cynik mówi. – Zarzuty moje przeciw muzyce Wagnera są zarzutami fizjologicznymi: po cóż je wprawdzie jeszcze w estetyczne przebierać formuły? Moim "faktem" jest, że przestają oddychać lekko, gdy tylko muzyka ta na mnie działać zaczyna: że wnet noga moja gniewa się na nią i buntuje się – odczuwa ona potrzebę taktu, tańca, pochodu, wymaga od muzyki przede wszystkim zachwyty, które polegają na dobrym chodzie, stąpieniu, skakaniu, tańcu. – Czyż nie protestuje jednak i mój żołądek? Moje serce? Mój obieg krwi? Moje wnętrza? Czyż nie chrypnę przy tym niepostrzeżenie? – I oto pytam się: czego żąda całe moje ciało od muzyki w ogóle? Sądzę, że ulgi: tak jakby lekkie, śmiałe, swawolne, pewne siebie rytmy miały przyspieszać wszystkie funkcje zwierzęce: tak jakby złote, dobre, łagodne harmonie pozłacać miały spiżowe, ołowiane życie. Melancholia moja pragnie wypocząć w kryjówkach i otchłaniach doskonałości: na to mi trzeba muzyki. Co mnie obchodzi dramat! Co spazmy jego moralnych ekstaz, w których tłum znajduje sobie zadośćuczynienie! Co to całe hokuspokus gestów aktora!... Zgadnicie, że jestem usposobiony z gruntu antyteatralnie – lecz Wagner był przeciwnie z gruntu teatralny i aktor, najbardziej zapalony mimoman, jaki istniał, nawet jeszcze jako muzyk!... I mówiąc nawiasem: jeśli teorią Wagnera było, że "dramat jest celem, muzyka zawsze tylko jego środkiem" – to praktyką jego natomiast było, od początku aż do końca, że "postawa jest celem, dramat, także muzyka, jest zawsze tylko jej środkiem". Muzyka jako środek wyrażenia, wzmocnienia, uwewnętrznienia dramatycznego gestu i aktorskiej naoczności; a dramat Wagnerowski tylko sposobnością do wielu dramatycznych postaw! Miał on obok wszystkich innych instynktów rozkazodawcze instynkty wielkiego aktora, w ogóle i w każdym szczególe; i jak się rzekło także jako muzyk. – Wyłuszczyłem to niegdyś pewnemu uczciwemu wagnerzyście, z niemałym trudem; a miałem powody dodać jeszcze: "Bądź pan przecie nieco uczciwszy względem samego siebie: nie jesteśmy przecie w teatrze! W teatrze jest się uczciwym tylko jako tłum; jako jednostka kłamie się, okłamuje się siebie. Zostawia się siebie w domu, idąc do teatru, zrzeka się prawa do własnego języka i wyboru, do swego smaku, nawet do swej dzielności, jaką się ma i z jaką się postępuje wśród

własnych czterech ścian wobec Boga i człowieka. Do teatru nie przynosi nikt swoich najwytworniejszych zmysłów, nawet artysta, który pracuje w teatrze: tam jest się tłumem, publicznością, trzodą, kobietą, faryzeuszem, bydłem wyborczym, demokratą, bliźnim, współbratem, tu nawet najosobistsze sumienie ulega niwelującemu czarowi »większości«, tu działa głupota jako lubieżność i zaraźliwość, tu rządzi »sąsiad«, tu człowiek staje się sąsiadem...". (Zapomniałem opowiedzieć, co mi mój świątły wagnerzysta odrzekł na fizjologiczne zarzuty: "Więc jesteś pan właściwie tylko nie dość zdrowy do naszej muzyki?".)

369.

Jedno obok drugiego. – Czyż nie musimy, my artyści, przyznać się przed sobą, że jest w nas niesamowita różnorodność, że nasz smak, a z drugiej strony nasza siła twórcza, istnieją od siebie niezależnie, zatrzymują się na pewnym punkcie niezależnie i niezależnie wzrastają – mam na myśli rozmaite stopnie i tempa starości, młodości, dojrzałości, prześcigłości, zgniłości? Tak że na przykład muzyk mógłby przez całe życie tworzyć rzeczy, które sprzeciwiają się temu, co jego rozpieszczone ucho słuchacza, serce słuchacza ceni, w czym smakuje, co woli – mógłby nawet nie wiedzieć o tej sprzeczności! Można, jak to prawie męcząco-prawidłowe doświadczenie wykazuje, łatwo wyrósć smakiem swoim ponad smak swej siły, nie obezwładniając przeto tej ostatniej i bez przeszkody dla jej wydajności; może się jednak zdarzyć też coś odwrotnego – i oto na to właśnie chciałbym zwrócić uwagę artystów. Ustawicznie tworzący, człowiek "matka" w wysokim tego słowa znaczeniu, który o niczym nie wie i nie słyszy, tylko o ciężach i połogach swego ducha, który nie ma czasu siebie i dzieła swego rozważyć i porównać, który też nie ma już ochoty posługiwać się smakiem, lecz o nim po prostu zapomina, to jest nie troszczy się on wcale – może taki wyda w końcu dzieła, do których sądem swoim od dawna już nie dorasta: tak że o nich i o sobie głupstwa mówi, mówi i myśli. To zda mi się u płodnych artystów prawie normalnym stanem rzeczy – nikt nie zna gorzej dziecka niż rodzice – a stosuje się to nawet, by olbrzymi wziąć przykład, do całego greckiego świata poetów i artystów: nie "wiedział" nigdy, co czynił.

370.

Co to jest romantyka. – Może żyje pamięć, przynajmniej wśród przyjaciół moich, że w stosunku moim do tego całego świata nowoczesnego było kilka grubych błędów i przecenień, że w każdym razie odnosiłem się doń jako ktoś, który się spodziewa. Rozumiałem – kto wie, z powodu jakich doświadczeń osobistych – pesymizm filozoficzny dziewiętnastego stulecia, jako symptomat wyższej siły myśli, zuchwalszej dzielności, tryumfalniejszej pełni życia, niż to właściwe było wiekowi osiemnastemu, stuleciu Hume'a, Kanta, Condillaca i sensualistów: tak że tragiczne poznanie wydawało mi się właściwym zbytkiem naszej kultury, jej najcenniejszym, najdosłojniejszym, najniebezpieczniejszym rodzajem marnotrawstwa, lecz zawsze na podstawie nadmiaru bogactwa, jej zbytkiem dozwolonym. Podobnie tłumaczyłem sobie muzykę niemiecką, jako wyraz dionizyjskiej tężyny duszy niemieckiej. Zdawało mi się, że słyszę w niej trzęsienie ziemi, w którym z dawien dawna natłoczona prasiła wydziera się na wolność – obojętna natomiast rzecz, czy wszystko, co się zresztą zwie kulturą, drży przy tym. Widzicie, że nie rozumiałem wówczas, tak samo w pesymizmie filozoficznym, jak w muzyce niemieckiej, tego, co stanowi jej właściwy

charakter – jej romantyki. Co to jest romantyka? Każda sztuka, każda filozofia może być uważana jako środek leczniczy i pomocny w służbie rosnącego, walczącego życia: przypuszczają one zawsze z góry cierpienie i cierpiących. Lecz są dwojakiego rodzaju cierpiący, naprzód ci, którzy cierpią na nadmiar życia, którzy pragną sztuki dionizyjskiej i tak samo tragicznego poglądu i rozumienia życia – a potem ci, którzy cierpią na ubożenie życia, którzy szukają spokoju, ciszy, gładkiego morza, wyzwolenia się od siebie przez sztukę i poznanie lub też przez oszołomienie, spazm, ogłuszenie, obłąd. Podwójnej potrzebie ostatnich odpowiada wszelka romantyka w sztukach i naukach, im odpowiadał (i odpowiada) tak samo Schopenhauer jak i Ryszard Wagner, by wymienić owych najślawniejszych i najwyraźniejszych romantyków, których wówczas źle rozumiałem – zresztą nie z ich szkodą, jak mi każdy z wszelką słuszością przyznać może. Najbogatszy w pełni życia, dionizyjski bóg i człowiek, może sobie pozwolić nie tylko na widok tego, co straszliwe i niebezpieczne, lecz nawet na straszliwy czyn i wszelki zbytek zniszczenia, rozkładu, zaprzeczenia; u niego zda się zło, nedorzecznosc, brzydota niejako dozwoloną, skutek pewnej nadwyżki płodzących, zapładniających sił, nadwyżki zdolnej z każdej pustyni stworzyć jeszcze bujną, urodzajną krainę. Odwrotnie najbardziej cierpiący, najuboższy w życiu, potrzebowałby najbardziej łagodności, spokoju, dobroci, w myśleniu i działaniu, potrzebowałby wszędzie, gdzie to tylko możliwe, Boga, który by był właściwie Bogiem chorych, wybawcą; tak samo też logiki pojęciowej zrozumiałości istnienia – bo logika uspakaja, darzy zaufaniem – słowem pewnej ciepłej, odpędzającej trwożę cieśni i zamknięcia w optymistycznych widnokęgach. W ten sposób nauczyłem się stopniowo pojmować Epikura, przeciwstawienie dionizyjskiego pesymisty, zarówno "chrześcijanina", który w sednie rzeczy jest tylko rodzajem epikurejczyka i, podobnie jemu, w istocie swej romantykiem – a spojrzenie moje zaostrzało się coraz bardziej na owe najtrudniejsze i najzdradliwsze formy wstecznego wnioskowania, w którym popełnia się największą ilość błędów – wstecznego wnioskowania z dzieła o twórcy, z czynu o sprawcy, z ideału o tym, który go potrzebuje, z każdego sposobu myślenia i oceny o kierowniczej poza nimi potrzebie. – W stosunku do wszystkich estetycznych wartości posługuję się teraz tym zasadniczym rozróżnieniem: pytam w każdym poszczególnym wypadku "czy twórczy jest tu głód czy nadmiar?". Z góry zdawałoby się zalecać bardziej inne rozróżnienie – jest ono o wiele naoczniejsze – to jest wzgląd na to, czy przyczyną tworzenia jest pożądanie stężenia, uwiecznienia, bytu, czy też pożądanie tworzenia, zmiany, nowości, przyszłości, stawania się. Lecz oba te rodzaje pożądanie, po głębszym przypatrzeniu się im, okazują się jeszcze dwuznaczne, natomiast wytłumaczalne wedle owego właśnie na pierwszym miejscu postawionego i słusznego, jak mi się zdaje, przekładanego nad inne schematu. Żądza zniszczenia, zmiany, stawania się może być wyrazem przepęłej, brzemiennej przyszłością siły (mym terminem na to, jak wiadomo, jest słowo "dionizyjski"), lecz może to być także nienawiść nieudaności, niedostatku, upośledzenia, nienawiść, która niszczy, niszczyć musi, bo to, co trwa, wszelkie trwanie, nawet wszelkie istnienie oburza ją i drażni – by uczucie to rozumieć, należy się przypatrzeć z bliska naszym anarchistom. Żądza uwieczniania wymaga również podwójnej interpretacji. Może ona pochodzić najprzód z wdzięczności i miłości – sztuka z tego źródła będzie zawsze sztuką apoteozową, dytyrambiczną może u Rubensa, pogodnie drwiącą u Hafisa, jasną i dobrotliwą u Goethego, i będzie rozpościerać na wszystkich rzeczach homeryczny blask światła i glorii. Może też jednak być ową tyrańską żądzą ciężko cierpiącego, walczącego, torturowanego, który by chciał to, co najosobistsze, najbardziej jednostkowe, najciaśniejsze, właściwą idiosynkrazję swego cierpienia nacechować pieczęcią obowiązującego prawa i przymusu i który na wszystkich rzeczach mści się niejako tym, że wyciska na nich, wmusza w nie, wpala swój obraz, obraz swojej tortury. To ostatnie to pesymizm romantyczny w swej najpełniejszej wyrazu formie, czy to jako Schopenhauerowska filozofia woli, czy jako Wagnerowska

muzyka – pesymizm romantyczny, ostatnie wielkie wydarzenie w losach naszej kultury. (Że istnieć może jeszcze zupełnie inny pesymizm, klasyczny – przecucie i wizja tego należą do mnie, jako nieodłączne ode mnie, jako moje *proprium* [właściwość, mienie] i *ipsissimum* [tożsamość]: jeno że uszom moim wstrętne jest słowo "klasyczny", stało się nazbyt zużyte, za okrągłe i odmienione nie do poznania. Nazywam ten pesymizm przyszłości – bo przyjdzie, widzę, że już nadchodzi! – pesymizmem dionizyjским.)

371.

My niezrozumiani. – Czyśmy się kiedykolwiek skarżyli na to, że nas się nie rozumie, nie uznaje, bierze za coś innego, oczernia, nie słucha i słuchem omija? To właśnie jest nasz los – och, na długo jeszcze! – powiedzmy, by być skromnym, do roku 1901. Jest to też nasze wyszczególnienie; mielibyśmy sami mniej czci dla siebie, gdybyśmy czego innego pragnęli. Biorą nas za co innego – to znaczy, że my sami rośniemy, zmieniamy się ustawicznie, odrzucamy stare kory, linimy się jeszcze z każdą wiosną, stajemy się coraz młodsi, bardziej przyszli, wyżsi, silniejsi, zapuszczamy korzenie coraz bardziej w głąb – w zło – obejmując tymczasem ramionami niebiosa coraz miłośniej, coraz szerzej i ssąc światłość ich coraz chciwiej wszystkimi gałęzmi i liśćmi. Rośniemy jak drzewa – trudno to zrozumieć, jak wszelkie życie! – nie na jednym miejscu, lecz wszędzie, nie w jednym kierunku, lecz w górę, na zewnątrz, jak na wewnątrz i w dół – siła nasza strzela od razu pniem, gałęzmi i korzeniami, już nie jest w naszej mocy, czynić coś prostego, być czymś prostym... Taki jest nasz los, jak się rzekło; rośniemy wzwyż; a choćby to nawet było naszym fatalizmem – bo coraz bliżej mieszkamy błyskawic! – dobrze, czcimy to przeto niemniej, pozostanie to tym, czego nie chcemy dzielić, udzielać, fatalizmem wyży, naszym fatalizmem...

372.

Czemu nie jesteśmy idealistami. – Niegdyś bali się zmysłów filozofowie: czyśmy może – nazbyt tej oduczuli się trwogi? Jesteśmy dziś wszyscy razem sensualistami, my terażniejsi i przyszli w filozofii, nie z teorii, lecz z praktyki... Tamci natomiast mniemali, że zmysły wywabiają ich z ich świata, z zimnego królestwa "idei" na niebezpieczną południową wyspę: gdzie, jak się lękali, ich filozoficzne cnoty stopniałyby na nic, jak śnieg w słońcu. "Wosk w uszach" był wówczas prawie warunkiem filozofowania; prawdziwy filozof nie słyszał już życia, o ile życie jest muzyką, zaprzeczał muzyce życia – jest to stary zabobon filozofów, że wszelka muzyka jest muzyką syrenią. – Dziś byśmy byli skłonni wyrokować właśnie przeciwnie (co mogłoby w sobie tak samo być jeszcze fałszywe): to jest, że idee są gorszymi zwodzicielkami niż zmysły, mimo cały swój zimny, anemiczny wygląd i nawet nie mimo ten wygląd – karmiły się one zawsze "krwią" filozofa, wycieńczyły zawsze jego zmysły, a nawet, jeśli nam wierzyć chcecie, jego "serce". Ci starzy filozofowie byli bez serca: filozofowanie było zawsze rodzajem wampiryzmu. Czy nie czujecie w takich postaciach, jak jeszcze postać Spinozy, czegoś głęboko zagadkowego i niesamowitego? Czy nie widzicie tego widowiska, które się tu odgrywa, ustawicznego blednięcia – coraz idealniej wykładanego odzmysłowienia? Nie przeczuwacie poza tym jakiejś od dawna ukrytej wysączycielki krwi, która, zaczawszy od zmysłów, pozostawia w końcu i ostawia kości i klekot? – Mam na myśli kategorie, formuły, słowa (bo, wybaczone mi, co pozostało po Spinozie, *amor intellectualis dei* [rozumowa miłość Boga], jest klekotem, niczym więcej!

Czym jest *amor*, czym *deus*, jeśli brak im nawet kropli krwi?...). *In summa*: wszelki idealizm filozoficzny był dotychczas czymś jakby chorobą, wszędzie, gdzie nie był, jak w wypadku Platona, ostrożnością przebogatego i niebezpiecznego zdrowia, obawą przed przemożnymi zmysłami, mądrością mądrego Sokratyka. – Może my współcześni nie jesteśmy jeno dość zdrowi, by potrzebować idealizmu Platona? A nie boimy się zmysłów, bo –

373.

"Wiedza" jako przesąd. – Wynika z praw hierarchii, że uczonym, o ile należą do duchowego stanu średniego, nie może być dane widzenie właściwych wielkich problematów i znaków zapytania; nie sięga tak daleko ich odwaga ni ich spojrzenie – przede wszystkim ich potrzeba, która do badań ich skłania, ich wewnętrzne uprzedzenie i pragnienie, by tak a tak rzeczy się miały, ich obawa i nadzieja osiąga zbyt prędko spokój i zadowolenie. To, co na przykład pedantycznego Anglika Herberta Spencera do marzenia na jego sposób pobudza i każe mu zakreślać linię nadziei, widnokrag pożądaności, owo końcowe pojednanie "egoizmu i altruizmu", o którym baje, to budzi w każdym z nas nieomal wstręt – ludzkość o takich spencerowskich perspektywach, jako perspektywach ostatecznych, zdawałaby się nam godna pogardy i zagłady. Lecz już to, że dla jego uczucia najwyższą nadzieją musi być coś, co inni jedynie za wstrętną możliwość uznają i uznawać mogą, jest już znakiem zapytania, którego by Spencer nie był mógł przewidzieć... Tak samo ma się rzecz z ową wiarą, którą zadowala się teraz tak wielu materialistycznych badaczy przyrody, z wiarą w świat, który ma posiadać równowagę i miarę w ludzkim myśleniu, w ludzkich pojęciach wartości, w "świat prawdy", do której ostatecznie zbliżyć się można z pomocą naszego kanciastego małego ludzkiego rozumu – jak to? – chcemyż rzeczywiście pozwolić, by nam w ten sposób znizono w godności istnienie do ćwiczenia pomocników rachunkowych i piecuchostwa matematyków? Nie powinno się przede wszystkim chcieć zdzierać z niego jego wieloznacznego charakteru: tego żąda dobry smak, moi panowie, smak czci dla wszystkiego, co poza widnokrag nasz sięga! Że uprawniona jest jedynie interpretacja świata, przy której wy siebie uprawniacie, przy której można naukowo po waszej myśli (macie na myśli właściwie mechanicznie?) badać i dalej pracować, taka, która prócz liczenia, rachowania, ważenia, patrzenia i dotykania nic więcej nie dopuszcza, to niezgrabność i naiwność, przypuściwszy, że nie choroba umysłowa ni idiotyzm. Czy nie byłoby przeciwnie bardzo prawdopodobne, że właśnie to, co najpowierzchniejsze i najzewnątrzniejsze w istnieniu – jego największa pozorność, naskórek i uzmysłowienie – najprędzej da się ująć? "Naukowa" interpretacja świata, jak wy ją rozumiecie, mogłaby skutkiem tego być zawsze jeszcze jedną z najgłupszych, to znaczy najmniej znaczenia mających z wszystkich możliwych interpretacji świata: to mówiąc w ucho i sumienie panom mechanikom, którzy dzisiaj chętnie zachodzą między filozofów i zgoła mniemają, że mechanika jest nauką o pierwszych i ostatecznych prawach, na których, jak na słupach, zbudowane być musi wszelkie istnienie. Lecz esencjonalnie mechaniczny świat byłby esencjonalnie bezmyślnym światem! Przypuściwszy, że oceniano by wartość jakiejś muzyki wedle tego, ile z niej można obliczyć, porachować, ująć w formułki – jakże niedorzeczna byłaby taka "naukowa" ocena muzyki! Cóż by z niej pojęto, zrozumiano, poznano! Nic, właśnie nic z tego, co w niej właściwie jest "muzyką"!...

374.

Nasza nowa nieskończoność. – Jak daleko sięga perspektywiczny charakter istnienia lub czy posiada ono jeszcze jakiś inny charakter, czy też istnienie bez wyłożenia, bez "sensu" nie staje się właśnie "nonsensem", czy, z drugiej strony, wszelkie istnienie nie jest esencjonalnie istnieniem tłumaczącym – tego, jak słuszna, nie rozwiąże nawet najpilniejsza i męcząco-sumienna analiza i samobadanie intelektu: ponieważ intelekt ludzki przy analizie tej nie jest zdolny widzieć samego siebie w swych perspektywicznych formach i tylko w nich się widzieć. Nie możemy wyjrzeć poza swój kąt: jest to beznadziejna ciekawość chcieć wiedzieć, co za inne rodzaje intelektu i perspektywy istnieć by mogły: na przykład czy jakieś istoty mogą odczuwać czas w kierunku wstecznym lub na przemian w kierunku naprzód i wstecz (czym byłby dany inny kierunek życia i inne pojęcie przyczyny i skutku). Lecz zdaje mi się, że dziś przynajmniej jesteśmy dalecy od śmiesznej nieskromności wyrokowania z naszego kąta, że tylko z tego kąta można mieć perspektywę. Świat stał nam się raczej raz jeszcze "nieskończony": o ile nie możemy odeprzeć możliwości, że zawiera w sobie nieskończone interpretacje. Raz jeszcze zdejmuje nas wielki dreszcz grozy – lecz któż miałby ochotę tę potworność nieznanego świata natychmiast znów wedle starej ubóstwić modły? I może nieznanie uwielbić jeszcze jako "Nieznanego"? Ach, zbyt wiele nieboskich możliwości interpretacji mieści to nieznanie, zbyt wiele diabelstwa, głupoty, błazeństwa interpretacji – nawet naszą własną ludzką, nazbyt ludzką, którą znamy...

375.

Czemu wydajemy się epikurejczykami. – My ludzie nowocześni jesteśmy ostrożni względem ostatecznych przekonań: nasza nieufność stoi na czatach przeciw czarowaniu i podchodzeniu sumienia, tkwiącym w każdej silnej wierze, w każdym bezwarunkowym tak lub nie: czym to się tłumaczy? Może tym, że wolno w tym widzieć w wielkiej części przezorność "poparzonego dziecka", rozczarowanego idealisty, w innej jednak i jeszcze większej części także radosną ciekawość dawnego pokątnika, który kątem swym do rozpaczki doprowadzony pławi się teraz w przeciwieństwie kąta i marzy, w bezgraniczności, w "wolności w sobie". Wytwarza się przez to pewien nieomal epikurejski pociąg do poznania, który nie wypuści z rąk za byle co zagadkowego charakteru rzeczy; zarazem pewna odraza do wielkich słów i gestów moralnych, smak, który odpiera wszystkie niezgrabne i niezdarne przeciwieństwa i z dumą świadom jest swej umiejętności i zastrzeżeń. Bo to stanowi dumę naszą, to lekkie zawściąganie cugli w naszym grzmiącym ku pewności pędzie, to panowanie nad sobą jeźdźca wśród jego jazd najdzikszych: bo ciągle mamy ogniste pod sobą rumaki, a jeśli się ociągamy, to do ociągania się skłania nas najmniej niebezpieczeństwo.

376.

Nasze powolne czasy. – Tak odczuwają wszyscy artyści i ludzie "dzieł", macierzyński rodzaj ludzi: wierzą oni zawsze, w każdym swego życia okresie – którego zamknięciem jest zawsze dzieło, że są już u samego celu, zawsze przyjęliby cierpliwie śmierć, z uczuciem: "dojrzelismy już do niej". Nie jest to wyraz znużenia, raczej pewnej jesiennej słoneczności i łagodności, którą każdym razem w twórcy zostawia samo dzieło, dojrzewanie dzieła. Wtedy zwalnia się tempo życia i staje się gęste i miodopływne – wolniej aż do długich [fermat](#), aż do wiary w długą Fermatę.

My bez ojczyzny. – Nie zbywa wśród dzisiejszych Europejczyków na takich, którzy mają prawo zwać się w pewnym wyszczególniającym i zaszczytnym znaczeniu bejojczystymi – tym właśnie niech wyraźnie do serca przemówi moja tajna mądrość i *gaya scienza*. Bo los ich jest twardy, nadzieja niepewna, sztuką jest wynaleźć dla nich pociechę – lecz cóż to pomoże! My dzieci przyszłości, jakże moglibyśmy w tym "dziś" czuć się u siebie! Jesteśmy niechętni wszystkiemu ideałom, gwoli którym niejeden nawet w tym kruchym pokruszonym czasie przejściowym mógłby się swojsko czuć jeszcze; co jednak ich "realności" dotyczy, to nie wierzymy, aby miały trwałość. Lód, który nas dziś dźwiga jeszcze, stał się już bardzo cienki: odwilż zawiewa, my sami, my bez ojczyzny, jesteśmy czymś, co łamie lód i zbyt cienkie "realności". Nie "zachowujemy" niczego, nie chcemy też powrotu w żadną przeszłość, nie jesteśmy wcale a wcale "liberalni", nie pracujemy dla "postępu", nie musimy dopiero ucha swego zatykać wobec jarmarcznych syren przyszłości – to, co śpiewają, "równość praw", "wolna społeczność", "żadnych już panów i żadnych sług", to nas nie wabi! – nie uważamy wprost za życzenia godne, by założono na ziemi królestwo sprawiedliwości i jedynomyślności (bo stałoby się w każdym razie królestwem najgłębszej średniości i chińszczyzny), cieszymy się wszystkimi, którzy podobnie nam kochają niebezpieczeństwo, wojnę i przygodę, którzy nie dają się odprawić, ująć, pojednać i przykroić, zaliczamy samych siebie do zdobywców, rozmyślamy o konieczności nowego ładu, nowego też niewolnictwa – bo do każdego wzmocnienia i podwyższenia typu człowieka potrzeba też pewnego rodzaju uniewolnienia – nieprawdaż? – z tym wszystkim nie musi nam być swojo w stuleciu, które lubi rościć sobie prawo do chwały zwania się najbardziej ludzkim, najłagodniejszym, najsprawiedliwszym stuleciem, jakie istniało dotychczas pod słońcem? Dość źle, że właśnie przy tych pięknych słowach nachodzą nas tym brzydsze myśli uboczne! Że widzimy w tym tylko wyraz – i maskaradę głębokiego osłabienia, znużenia, starości, upadającej siły! Cóż nam zależeć może na tym, w jakie piórka chory stroi słabość swoją! Niech ją jako cnotę wystawia na pokaz – nie ulega żadnej wątpliwości, że słabość czyni łagodnym, ach, tak łagodnym, tak sprawiedliwym, tak niezaczepnym, tak ludzkim! – "Religia litości", do której chciano by nas namówić – och, znamy dość tych histerycznych samców i samice, którzy dziś tej właśnie religii potrzebują dla zasłony i ozdoby! Nie jesteśmy humanitariuszami; nie wazylibyśmy się nigdy pozwolić sobie mówić o swej "miłości dla ludzkości" – na to żaden z nas nie jest dosyć aktorem! Lub nie dość sensymonistą, nie dość Francuzem! Trzeba już być obarczonym galickim nadmiarem erotycznej pobudliwości i zakochanej niecierpliwości, by się nawet jeszcze do ludzkości w sposób rzetelny z żarem swym zbliżyć... Do ludzkości! Istniałaż kiedykolwiek obrzydliwsza jeszcze stara baba wśród wszystkich starych bab? (Musi nią chyba być "prawda": pytanie dla filozofów.) Nie, my nie kochamy ludzkości; z drugiej strony jednak jesteśmy też o wiele za mało "Niemcami", jak dziś to słowo "niemiecki" w powszechnym jest użyciu, by przemawiać za nacjonalizmem i nienawiścią rasową, by móc się radować z tych narodowych dźgań w serce i zatrucia krwi, z powodu których teraz w Europie odgranicza się naród od narodu i zamyka kwarantannami. Na to mamy za mało uprzedzeń, jesteśmy zbyt złośliwi, zbyt rozpieszczeni w smaku; także za dobrze wyuczeni i w podróży "bywali": dlatego wolimy o wiele bardziej żyć w górach, na uboczu, "niewcześnie", w minionych lub przyszłych stuleciach, by przez to oszczędzić sobie cichej wściekłości, na którą byśmy byli skazani, jako naoczni świadkowie polityki wyjaławiającej ducha niemieckiego, czyniącej go próżnym i będącej nadto małą polityką – nie musiż ona, by twór własny uchronić od natychmiastowego rozsypania się, sadzać go między dwie śmiertelne nienawiści? Czy nie musi chcieć uwiecznienia

drobnopañstewkowości Europy?... My bez ojczyzny, jesteśmy z rasy i pochodzenia zbyt wieloracy i mieszani, jako "ludzie nowocześni", i skutkiem tego mało nas kusi uczestnictwo w tym łgarskim rasowym samopodziwie i chamstwie, które dziś wystawia się w Niemczech na pokaz, jako oznakę niemieckich zasad i które u ludu "zmysłu historycznego" wygląda podwójnie fałszywie i nieprzystojnie. Jesteśmy słowem – a niech to będzie chlubą naszą! – dobrymi Europejczykami, spadkobiercami Europy, bogatymi, zbyt skądinąd wyposażonymi, lecz i nadmiernie zobowiązanymi spadkobiercami stuleci europejskiego ducha i jako tacy też wyrosliśmy już z chrześcijaństwa, nieprzyjaźni jemu, a to właśnie ponieważ wzrosliśmy z niego, ponieważ nasi przodkowie byli chrześcijanami o bezwzględnej rzetelności chrześcijaństwa, którzy swej wierze chętnie na ofiarę składali swe mienie i krew, stan i ojczyznę. My – czynimy to samo. Za co jednak? Za swą niewiarę? Za wszelkiego rodzaju niewiarę? Nie, wiecie to lepiej, przyjaciele moi! Ukryte w was "Tak" silniejsze jest nad wszystkie "nie" i "może", na które wraz z czasem swoim chorujecie; a jeśli coś gna was na morze, wy wychodźcy, to zmusza i was do tego – w i a r a !...

378.

"I znów się rozjaśniamy". – My hojni i bogacze ducha, którzy podobni otwartym krynicom stoimy przy drodze i nikomu wzbraniać nie chcemy, aby z nas czerpał: nie umiemy się bronić, niestety, gdzie byśmy bronić się chcieli, nie możemy niczym przeszkodzić temu, że nas mącą, zaciemniają – że czas, w którym żyjemy, rzuca w nas swoje aktualności, jego brudne ptaki swą niechlujność, chłopaکی swe rupiecie, a wyczerpani, wypoczywający przy nas wędrowcy swą małą i wielką nędzę. Lecz czynimy, jak zawsze czynili: przyjmujemy, co tylko w nas rzucają, w głąb naszą – bo jesteśmy głębcy, nie zapominamy – i znów się rozjaśniamy.

379.

Błazen wtrąca swe zdanie. – To nie mizantrop pisał tę książkę: nienawiść ludzi opłaca się dziś zbyt drogo. By nienawidzić, jak niegdyś nienawidzono człowieka, tymonicznie [Tymon, szlachcic ateński (V w. p.n.e.); znana była jego nienawiść do ludzi, gdy po tym jak stracił cały majątek na prezenty i przyjęcia dla przyjaciół, oni opuścili go w biedzie], w całości, bez ujmowania, z pełnego serca, z całej miłości nienawiści – na to by trzeba wyrzec się pogardy – a ileż przedniej radości, ileż cierpliwości, ileż nawet dobroci zawdzięczamy właśnie swej pogardzie! Nadto jesteśmy w tym "wybrańcami Boga": wytworna pogarda jest naszym smakiem i przywilejem, naszą sztuką, naszą cnotą może, najnowocześniejszych wśród nowoczesnych!... Nienawiść natomiast stawia na równi, stawia naprzeciw, w nienawiści tkwi cześć, w końcu: w nienawiści tkwi strach, wielka, porządna porcja strachu. My nieustraszeni jednak, my bardziej duchowi ludzie stulecia, dość dobrze znamy swoje korzystne położenie, by właśnie jako bardziej duchowi żyć w stosunku do tego czasu bez trwogi. Nie skazą nas na ścienie, ni na więzienie, ni na wygnanie; książek naszych nie zabronią nawet, ani nie spalą. Stulecie to kocha ducha, kocha nas i potrzebuje, nawet gdybyśmy dać mu mieli do zrozumienia, że jesteśmy artystami w pogardzie; że każde obcowanie z człowiekiem dreszczem nas lekkim przejmuje; że mimo całą swą łagodność, cierpliwość, życzliwość i uprzejmość nie możemy przekonać swego nosa, by pozbył się przesądu, który żywi względem bliskości człowieka; że kochamy naturę im mniej się po

ludzku w niej dzieje i sztukę, jeśli jest ucieczką artysty przed człowiekiem lub szyderstwem artysty z człowieka, lub szyderstwem artysty z samego siebie...

380.

"Wędrowiec" mówi. – By przypatrzeć się raz z oddali naszej europejskiej moralności, by ją zmierzyć wedle innych, dawniejszych lub przyszłych moralności, na to postąpić trzeba, jak postępuje wędrowiec, który chce wiedzieć, jak wysokie są wieże jakiegoś miasta: w tym celu opuszcza miasto. "Myśli o przesądach moralnych", jeśli nie mają być "przesądami o przesądach", wymagają stanowiska poza obrębem moralności, jakiegoś poza dobrem i złem, ku któremu trzeba się dźwigać, wspinać, lecieć – i w danym wypadku, zawsze jakiegoś poza naszym dobrem i złem, wyzwolenia od całej "Europy", rozumianej jako suma rządzących ocen wartości, które nam w krew przeszły i w ciało. Że się właśnie chce dojść tam na zewnątrz, tam w górę, jest to może małym szaleństwem, dziwacznym, nierozsądnym "musisz" – bo i my poznający mamy swoje idiosynkrazje "niewolnej woli" – pytanie czy rzeczywiście dojść tam można. To może zależeć od wielu warunków; w gruncie rzeczy jest to pytanie, dotyczące tego, jak lekcy jesteśmy lub jak ważcy, problemat naszego "ciężaru gatunkowego". Trzeba być bardzo lekkim, by swą żądzę poznania wzbić aż w taką dal i zarazem ponad swój czas, by stworzyć sobie oczy do patrzenia poprzez wieki, a do tego jeszcze czyste w tych oczach niebo! Trzeba się wyzwolić od niejednego, co właśnie nas Europejczyków dzisiejszych uciska, pęta, przytrzymuje i obciąża. Człowiek takiego pozaobrębu, który chce dostrzec najwyższe nawet mierniki wartości swego czasu, musi przede wszystkim czas ten w sobie samym "przewyciężyć" – jest to próba jego siły – a dalej nie tylko swój czas, lecz i swój dotychczasowy wstręt i sprzeczność z tym czasem, swoje cierpienie z powodu niego, swoją "niewczesność", swoją romantyczność...

381.

Z zagadnienia niezrozumiałości. – Chce się nie tylko być rozumianym, gdy się pisze, lecz z pewnością tak samo także nierozumianym. Nie jest to jeszcze zgoła zarzutem przeciw książce, jeśli ją ktoś niezrozumiałą znajduje: może to było w zamyśle jej pisarza – nie chciał być przez "kogo bądź" rozumiany. Każdy dostojniejszy duch i smak, jeśli się chce udzielić, wybiera sobie swych słuchaczy; a wybierając ich, zakreśla zarazem granice "innym". Wszystkie subtelniejsze prawa stylu z tego wywodzą się źródła; trzymają zarazem z dala, stwarzają odległość, wzbraniają "wstępu", zrozumienia, jak się rzekło – otwierając tymczasem uszy tym, którzy są nam uszami pokrewni. I mówiąc między nami i w moim wypadku – nie chcę ani niewiadomości swej, ani zwawości temperamentu swego pozwolić, by mi przeszkadzały być dla was zrozumiałym, przyjaciele moi: zwawości, jakkolwiek też bardzo mnie zmusza, chyżo jakiejś rzeczy nadołać, by jej w ogóle podolać. Bo z głębokimi problematami postępuję, jak z zimną kąpielą – szybko wejść, szybko wyjść. Że w ten sposób nie dochodzi się w głąb, nie dość głęboko w dół, to przesąd bojących się wody, nieprzyjaciół zimnej wody: mówią bez doświadczenia. Och! Wielkie zimno dodaje chyżości! – I pytam mimochodem: czy rzeczywiście dlatego nie zrozumieliśmy, nie poznaliśmy jakiejś rzeczy, żeśmy ją tylko w locie tknęli, musnęli spojrzeniem, oczu błyskawicą? Trzebaż koniecznie dopiero mocno jej przysiąść? Wysiadywać ją jak jaja? *Diu noctuque incubando* [przez wysiadywanie dniem i nocą], jak rzekł o sobie samym Newton? Co najmniej istnieją prawdy

o szczególnej płochliwości i łaskotliwości, których nie pochwycić inaczej jak nagle – które trzeba zaskoczyć lub ostawić... Ostatecznie krótkość moja ma inną jeszcze wartość: w zakresie takich pytań, które mnie zajmują, muszę niejedno mówić krótko, by było jeszcze krócej słyszane. Jako immoraliście bowiem trzeba mi się strzec, by nie psuć niewinności, mam na myśli osłów i stare panny obojga płci, którym życie nie dało nic kromia niewinności; więcej jeszcze, pisma me winny je zapalać, podnosić, zachęcać do cnoty. Nie znam nic na ziemi, co by ucieszniesze było, niż widzieć stare osły i panny, które wzrusza słodkie uczucie cnoty: a "to widziałem" – tak rzekł Zaratustra. Tyle co do krótkości: gorzej ma się rzecz z tą niewiadomością, z której sam przed sobą nie czynię tajemnicy. Są godziny, w których się jej wstydzę; oczywiście tak samo godziny, w których się wstydzę tego wstydu. Może jesteśmy dziś, wszyscy filozofowie razem, na zły z wiedzą stopie: wiedza rośnie, naj uczeńsi z nas bliscy są odkrycia, że wiedzą za mało. Lecz zawsze jeszcze byłoby gorzej, gdyby inaczej rzecz się miała – gdybyśmy za dużo wiedzieli; zadaniem naszym jest i pozostanie przede wszystkim nie mieszać siebie z drugimi. My jesteśmy czymś innym jak uczeni: choć nie można tego ominąć, że jesteśmy też, między innymi, uczonymi. Mamy inne potrzeby, inny rozwój, inne trawienie: potrzebujemy więcej, potrzebujemy też mniej. Ile potrzebuje duch jakiś do swego wyżywienia, na to nie ma żadnej formuły; jeśli jednak smak jego zwraca się ku niezawisłości, ku szybkiemu przychodzeniu i odchodzeniu, ku wędrowaniu, ku przygodom może, do których najszybsi jeno dorośli, to żyje on raczej wolny z skąpą karmą niż niewolny a napchany. Nie tłuszczu, lecz gibkości i siły żąda tancerz od swego pokarmu, a nie wiem, czym by bardziej życzył sobie być duch filozofa niż dobrym tancerzem. Taniec bowiem jest jego ideałem, i sztuką jego, ostatecznie też jego jedyną bogobojnością i "służbą bożą"...

382.

Wielkie zdrowie. – My nowi, bezimienni trudno zrozumieli, my przedwczesne płody niedowiedzianej jeszcze przyszłości – potrzebujemy do nowego celu także nowego środka, to jest nowego zdrowia, silniejszego, szczwańszego, giętszego, zuchwalszego, weselszego, niż dotąd wszystkie były zdrowia. Czyja dusza pożąda przeżyć cały obszar dotychczasowych wartości i pożądaności i objechać wszystkie pobrzeża tego idealnego "morza śródziemnego"; kto wiedzieć chce z przygód własnego doświadczenia, co czuje zwycięzca i odkrywca ideału, tak samo artysta, święty, prawodawca, mędrzec, uczony, pobożny, wróżbita i stroniący od Boga, temu potrzeba na to przede wszystkim wielkiego zdrowia – takiego, które nie tylko się ma, lecz które się nieustannie zdobywa i zdobywać może, ponieważ wiecznie się je poświęca, poświęcać musi!... I oto skorośmy długo w ten sposób wędrowali, my argonauci ideału, odważniejsi może niż to roztropnie było, i dość często doznając rozbicia i szkody, lecz jak się rzekło zdrowsi, niżby nam na to pozwolono, niebezpiecznie zdrowi, ciągle na nowo zdrowi – to zdaje nam się wtedy, jakbyśmy w nagrodę za to mieli przed sobą ład nieodkryty jeszcze, którego granic nikt jeszcze nie przejrzał, jakiś pozaobrzeb wszystkich dotychczasowych łądów i zakątków ideału, świat tak przebogaty w to, co piękne, obce, pytania godne, straszliwe i boskie, że nasza ciekawość, tak samo jak nasza żądza posiadania, wypadły z równowagi – ach, że nic nas odtąd już nasycić nie może! Jakże moglibyśmy się, po takich widokach i wobec takiej zachłanności w rzeczach sumienia i wiedzy, zadowolić jeszcze człowiekiem terażniejszym? To dość źle: lecz nieuniknione jest, że najzaciejszym jego celom i nadziejom przyglądamy się tylko ze źle podtrzymywaną powagą i nie przyglądamy się już nawet. Inny mamy przed sobą ideał, cudowny, kuszący, pełen niebezpieczeństw ideał, do którego byśmy nie nakłaniali nikogo, ponieważ nie przyznajemy nikomu tak łatwo prawa do niego: ideał ducha, który naiwnie, to jest mimowolnie i z przelewnej pełni i mocy igra z

wszystkim, co dotąd świętym, dobrym, nietykalnym, boskim zwano; dla którego to, co najwyższe, to, w czym tłum słusznie widzi swą wartości miarę, znaczy prawie tyle, co niebezpieczeństwo, upadek, poniżenie, lub co najmniej odpoczynek, ślepotą, czasowe zapomnienie o sobie; ideał ludzko-nadludzkiego zdrowia i życzliwości, który często nieludzkim zdawać się może, na przykład gdy stanie obok całej dotychczasowej ziemskiej powagi, obok wszelkiego rodzaju uroczystości w ruchu, słowie, dźwięku, spojrzeniu, moralności i żądaniu, jako wcielona mimowolna parodia – i z którym, mimo to wszystko, zaczyna się może właśnie dopiero wielka powaga, staje właściwy znak pytania, odwraca się przeznaczenie duszy, cofa wskazówka, z a c z y n a tragedia...

383.

Epilog. – Lecz właśnie kiedy jeszcze z wolna, z wolna zdążam do końca tego posępnego znaku pytania i pragnę przywołać czytelnikom swoim na pamięć cnoty właściwego czytania – ach, jakże zapomniane i nieznane cnoty! – rozlega się nagle wkoło mnie najzłośliwszy, najweselszy, koboldowy śmiech: same duchy mojej książki opadają mnie, ciągną mnie za uszy i przywołują do porządku. "Nie wytrzymamy już dłużej – wołają do mnie – ciągle, ciągle ta kruczo czarna muzyka. Czyż nie otacza nas jasne przedpołudnie? Zielona, miękka ziemia i murawa, królestwo tańca? Czyż była kiedy lepsza godzina, by się weselić? Któż nam zaśpiewa pieśń, pieśń przedpołudnia, tak słoneczną, tak lekką, tak polotną, że nie spłoszy chimery – że raczej zaprosi chimery, by razem śpiewały, razem tańczyły? Raczej jeszcze prosta chłopska kobza niż taka tajemnicza lutnia, takie ropusze rehoty, głosy grobowe i gwizdy świstacze, którymiś nas pan dotąd w dziczy swej raczył, mój panie pustelniku i muzyku przyszłości! Nie! Nie takich dźwięków! Lecz pozwólcie nam przyjemniejsze i radośniejsze zanucić!" – Podoba wam się tak, moi niecierpliwi przyjaciele? Dobrze więc! Któż by wam nie był po woli? Kobza moja już czeka, gardło me także, może dźwięczec będzie nieco szorstko, nie gardźcie! – za to jesteśmy w górach. Lecz to, co usłyszycie, jest przynajmniej nowe; a jeśli nie zrozumiecie, jeśli źle zrozumiecie śpiewaka, to obojętne! Taka już "klątwa śpiewaka". Tym wyraźniej słyszeć możecie jego muzykę i zwrotkę, tym lepiej też podług jego pieszczalki – tańczyć. Chcecie tego?...

## Wiedza radosna

### Dodatek. Pieśni Księcia Lekko ducha

#### DO GOETHEGO

To Coś, co nie przemija, W przenośni twej ma  
władztwo! Bóg, co nas w sieć owija, Poetów to matactwo! Świat, mknący wirem  
koła, Za celem cel przebywa; Konieczność – gniewny woła, Błazen to – grą  
nazywa... Igrzysko świata, dzielne, Ułudę miesza z bytem. Błazeństwo  
nieśmiertelne I n a s w to miesza przy tem.

## POWOŁANIE POETY

Gdym pod zieloną kiedyś drzew powalą Spoczywał w  
cieniu chłonać chłodu czar, Tykanie ucha mego doleciało, Równe, jak gdyby wedle  
taktu miar. Więc brwi ściągnąłem, rozgniewany przeto – Jednak wnet w sercu  
złagodniałem swym, Aż i sam w końcu, jakbym był poetą, Zacząłem mówić w takt z  
tykaniem tym. I gdy tak oto wśród robienia wierszy Zgłoska po zgłosce biegła ku  
mnie w płas, Śmiech mnie znienacka porwał, śmiech najszczęszy I mną przez cały  
długi kwadrans trząśł. Co, tyś poetą? Ty jesteś poetą? Czyli już z głową twoją  
źle aż tak? – "Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą" Dziecioł, szyderczy  
natrząsa się ptak. Czego tu szukam w drzew cienistym mroku? Na kogo czyham,  
czatuję jak zbój? Czy na przypowieść? Czy na obraz? W skoku Już się do niego rym  
przyczepił mój. Co się nawinie, przemknie, to czy nie to, Poeta chwyta, wietrząc  
wiersza smak. – "Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą" Dziecioł, szyderczy  
natrząsa się ptak. Rymy to strzały, sądzę, rym to strzałka? Iak to trzepoce,  
drga i skacze – ot, Gdy niespodzianie w jaszczurczego ciała Szlachetnej części  
utkwi lotny grot. Konacie z tego lub jak win podniętą Pjane, padacie, niebogi,  
na wznak! – "Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą" Dziecioł, szyderczy natrząsa  
się ptak. Te przypowiadki kręte w spiesznym pędzie, Pijane słówka – tłoczą się  
w mój wór! Wnet wiersz przy wierszu wszystko wisieć będzie Na tykający nanizane  
sznur. Jest szajka, którą cieszy to? Czy przeto Żli są poeci? Czy to złości  
znak? – "Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą" Dziecioł, szyderczy natrząsa się  
ptak. Żartujesz, ptaku? Czy drwisz jak szyderce? Czyż tak źle moja ma się głowa?  
Zacz O wiele gorzej ma się moje serce? Aby nie sięgnął ciebie gniew mój, bacz!  
Jednak poeta z swych rymów kaletą, Jest nawet w gniewie zły i dobry wszak. –  
"Tak, tak, mój panie, pan jesteś poetą" Dziecioł, szyderczy natrząsa się ptak.

## NA POŁUDNIU

Oto na krzywej gałęzi tu wiszę Kołysząc senność swą  
na wiewu fali. Ptak mnie zaprosił gościem w swe zacisze, Oto w ptaszęcym  
gnieździe się kołyszę. Kędyż to jestem? Ach, w dali! Ach, w dali! Biała toń  
morza snem ujęta leży. Szkarłatny żagiel pali się na niebie. Skała, figowce,  
przystań, igła wieży, Sielanka wkoło, bek owiec skądś bieży Wchłoń mnie,  
Południa niewinności, w siebie. To nie jest życie – ciągle krok za krokiem  
Stapać, to czyni Niemcem, ciężkim żmudnie. Kazałem wichrom nieść się nad  
obłokiem, Latać uczyłem się z ptactwem wysokim – I poleciałem wzwyż mórz na  
Południe, Rozsądek! Sprawa przykra aż niemiło! Nazbyt nas szybko to wiedzie do  
celu! W lociem nauczył się, co mnie mamiło Już czuję soki nowe, krew wraz z  
siłą Ku gry, ku życia nowemu weselu. Samotnie myśleć – to mądrością mienię, Ale  
samotnie śpiewać jest głupotą! Słuchajcie pieśni na swoje uczczenie, Usiądźcie  
wkoło, nastrójcie milczenie, Ptaszki niedobre, ptaszęca niecnoto! Młode fałszywe  
tak i tak szalone Li do kochania zdacie się stworzone I do zabawy pięknej w swym  
powabie? Tam na Północy – wyznać muszę szczerze Niewiastem kochał, starą aż  
dreszcz bierze: "Prawda" na imię było owej babie.

## BOGOBOJNA BEPPA

Póki me ciałko w krasy kwiecie, Być bogobojną  
się opłaci. Kobiетки kocha Bóg, jak wiecie, Ładna tym bardziej nic nie traci.  
Snadź Bóg nie wzgardzi biednym mniszkiem. Ni ciśnie nań potępień głazem, Że, jak  
z niejednym jest braciszkiem, Bardzo być lubi ze mną razem. Nie ma z suchego nic  
proboszcza! Jest lic rumianych, urodziwy, Często się w żądzach rozzadzroszcza,

Jak rzadko który kocur siwy. Staruszków ja nie kocham wcale, On się staruszek kochać lęka: Jakże to mądrze, jak wspaniale Zrządziła wszystko boża ręka. Kościół wie, jako żyć potrzeba, Na twarz spogląda, w serce patrzy. Wždy mi przebacza w imię nieba Bo któż mi czego nie przebaczy! Trochę poszepce się półsłowy I mknie, dyg strojąc i uśmieszek, I przez spełniony grzeszek nowy Zmazuje się dawniejszy grzeszek. Bądź pochwalony Bóg na ziemi, Który dziewczątek ród miłuje, Wine, co stąd się w sercu plemi, Sam sobie chętnie darowuje. Póki me ciało w krasie kwiecie, Być bogobojną się opłaci: Gdy mnie, babinę, wiek przygniecie, Niech diabeł głowę dla mnie traci!

### ŁÓDŹ TAJEMNICZA

Wczorajszej nocy, kiedy wszystko spało, I kiedy ledwo trwożne wiatru tchnienie Wśród cichych ulic wdychało nieśmiało. Snu mi poduszki nie dały, ni cienie, Ani mak, ani to, co na noc całą Daje głęboki sen – czyste sumienie. Wreszcie wyrzekłem się snu i makowca I ku wybrzeżu pośpieszyłem w biegu. Księżyc osrebrzał brzeg – u wód manowca Znalazłem człeka i łódź na noclegu, Na ciepłym piasku. Senni: pasterz, owca Sennie łódź moja odbiła od brzegu. Przeszła godzina, a może dwie, czyli Rok cały przebiegł nad duszą bezwiedną? – Nagle istota ma całą się chyli, Myśl ma zapada w jakieś wieczne Jedno, W krąg się bezbrzeżne otwarło bezedno I wszystko w jednej skończyło się chwili. – Zaświtał ranek: na czarnych wód fali Spoczywa łódka, nad wodną rozłogą... Co to się stało? – stugłosem wołali: Co to się działo? Przelanoż krew drogą? Nic się nie stało! Myśmy spali, spali W s z y s c y – ach, błogo! Ach, przedziwnie błogo!

### OŚWIADCZYNY MIŁOSNE (przy których jednak poeta wpadł w dół)

Cud!

Jeszcze wyżej pnie się? Wzbija się, a spoczywa jego skrzydeł biel? Co dźwiga go i niesie? Cóż mu jest drogą? Kędy wędziło i cel? Rówiennik gwiazd, wieczności, Żyje w wyżach, gdzie życia nie dolata pył, Litosny i zazdrości – Kto jego lot choć widzi, wysoko się wzbił! O ptaku albatrosie! Pęd wieczysty w wyżyny mnie żenie i rwie. Wspomniałem cię: i w rosie Łez skąpały się oczy me – ja kocham cię!

### PIEŚŃ TEOKRYTOWEGO PASTERZA KÓZ

Tu leżę na żołądek chory –

Pluskwy mnie żrą i łechcą. Naprzeciw światło do tej pory! Gwar: tańczą, przestać nie chcą... Miała tu o tej przyjść godzinie, Przyjść chyłkiem i po cichu. Ja jak pies tutaj czekam ninie A o niej ani słychnię. A krzyża znak, gdy przyrzekała? Czyż zdolna łąć bez zgrozy? – Czyżby za każdym biegać miała, Jak za mną moje kozy? Skąd jedwab w szatkach jej szeleszcze? O, dumna czarnobrewo? Czyżby niejednen kozioł jeszcze Na owe skakał drzewo? – Jak czyni jadowitym kwaśnie Czekanie w noc miłosną! W ogrodzie w duszną noc tak właśnie Trujące grzyby rosną. W miłości więję się i trawię. Ach, siedmiorakie bóle – I jeść już nic nie mogę prawie. Żegnajcie me cebule! Księżyc utonął w morskiej fali I gwiazdy mdleją smętnie, Nadpełza szary dzień z oddali Jakżeby umarł chętnie.

### "NA NIEPEWNE OWE DUSZE"

Na niepewne owe dusze Gniew mię chwytą

zły jak zębów zgrzyt. Wszelka cześć ich to katusze, Ich pochwała – zgryzota i wstyd. Że to nie u ich powroza Ciągnę przez ten czas i przez ten świat, Wita mnie zawistna groza, Ich rozpacznych ócz słodkawy jad. Niech jad klątw z ich ust się toczy, Niechaj kręcą nosem wszyscy wraz. Szukające owe oczy W każdy na mnie zawiodą się czas.

#### BŁAZEN W ROZPRCZY

Tak! Com popisał na stole i ścianie Błazeńską ręką i błazeńską duszą, Miałoż mi zdobić stół i ścianę całą? Lecz w y mówicie: "To blazna bazgranie, A stół i ściana obtarte być muszą, By ni jednego śladu nie zostało?" Pozwólcie! Własną pomogę wam ręką – Bo jako krytyk, wodnik – należycie Miotłą i gąbką umiem wodzić miękka, Jednak, gdy pracę swoją ukończycie, Zobaczę chętnie, przemądrych senacie, Jak stół i ścianę mądrością obs.....

#### *RIMUS REMEDIUM* (Czyli: jak pocieszają się chorzy poeci)

Z

ust twoich płyną, Kapią godziny w kropel powolności, O czasie, więdźmo, co ociekasz śliną, Daremnie cały wstręt mój krzyczy w mdłości: Klątwa-ć, głębino Wieczności!" Świat – twardy spiż: Ognisty cielec, co nie słyszy łkań. Noże boleści ryją pośród cisz W mych kości tkają: "Świat nie ma serca, słysz. Głupstwem się gniewać za to nań". Sok maków lej, Gorączko, jady lej mi w mózg i w serce! Zbyt długo patrzysz już ku dłoni mej. "Co dam – w nagrodę?" Pytasz, jak szydercę? – Ha! Klątwa ścierce I urągom jej! Nie! Wróć! Jak stać Na dworze? Zimno tam, padają deszcze – Winien bym czulej przywitać cię snadź? – Masz złoto! Błaskiem jego cię upieszczę! – "Szczęściem" cię zwać? Gorączkę błogosławić jeszcze? Od wiatru tchu Drzwi pękły! W łożu deszcz siecz kroplami! Wiatr zgasił świecę – nędza nad nędzami! – I kto by teraz nie miał r y m ó w stu, O zakład z wami, Zginałby tu!

#### "SZCZĘŚCIE ME!"

Gołębie na San Marco znów widzę szczęśliwe: Plac cichy, przedpołudnie legło na nim w sen. W słodkim chłodzie wysyłam swe pieśni leniwe, Niby gołębi stada, w błękity bez den – I znów z powrotem nęcę, wabię je, By im rym jeszcze jeden wetknąć w pierze siwe – O szczęście! Szczęście me! Pod cichym, modroświelnym nieb jedwabiem goszczę, Otulającym pieczę tych budowli kwiat, Który kocham i trwożę się go i z a z d r o s z c z ę, O zaprawdę, że duszę wypiłbym zeń rad! Czyżbym ją oddał kiedy znowu? Nie! Cicho, biesiada cudna ócz, słodsza nad moszcze! – O szczęście! Szczęście me! Surowa wieżo, która naporem lwiej siły Zwycięsko, lekko wdarłaś się wzwyż! Szczyt twój brzmi I przelewa nad placem dźwięk głębią opity Po francusku byś była dlań *accent aigu*? Gdybym podobnie tobie ostał się, Wiem, jakie by mnie więzów jedwabie zmusiły... – O szczęście! Szczęście me! Precz, gędźbo! Niech zmrocznieją wprzód naloty cienia, Niech zgęstnieją w brunatnej, letniej nocy głusz! Na dźwięk za dnia za wcześniej i jeszcze złocenia Ozdób nie zaiskrzyły się przepychem róż, Wiele dnia jeszcze zostało na grę Snucia wierszy, skradania się chyłkiem, mrużenia – O szczęście! Szczęście me!

#### NA MOWĘ MORZA

Tam – chcę; i wierzę w swą prawicę,  
Co dźwierży steru kierownicę; Przede mną toń, ku niebios zbrzeży Ma genueńska  
łódka bieży. Wszystko mi nowym, nowszym zda się, Południe śpi w przestrzeni,  
czasie Jeno t w ój pełen potworności Wzrok ściga mnie,  
nieskończoności!

#### SILS – MARIA

Tu siedziałem, czekając, czekając – lecz na nic,  
Poza dobrem i poza złem, światłem bez granic. To cieniem się radując, cały grą  
jedynie, Falą, południem, czasem, co bez celu płynie. Wtem, przyjaciółko, jedno  
dwojgiem stało się – I Zaratustra przeszedł mimo obok mnie...

#### DO MISTRALA (Pieśń taneczna)

Wietrze Mistralu, obłoków łowcze,  
Morderco smętków, co runa owcze Chmur zmiatasz, jakże ja kocham cię! Czyż nie z  
jednego my pierworody Łona, na losu jednego gody Znaczeni kędyś w wieczności  
mgłę? Tu na wyżynnych ścieżyn zawrocie Naprzeciw ciebie biegnę w polocie,  
Tańcząc, jak ty mi gwizdzesz i grasz, Co bez okrętu, żagli i wiosł, Jak  
najwolniejszy wolności poseł, Ponad dzikimi morzami gnasz. Ledwom się zbudził,  
słyszając twe bliźnie Hasło, pomknąłem ku wysoczyźnie, Na rudych złomów nadmorski  
mur. Cześć! Tyś już ciągnął, jako naj czystsze Strugi iskrzące i rwące bystrze,  
Zwycięsko gnałeś hen z ponad gór. Po równym stepie niebieskich szlaków Widziałem  
gony twoich rumaków I rydwan, który niesie cię het, Widziałem rękę, co drży, gdy  
z biczy Błyskawicami strzela, i ćwiczy Rumaki, razy sypiąc na grzbiet Jam ciebie  
widział, jak z wozuś skoczył I ku dołowi w pęd się potoczył, Jakoś się w strzałę  
zmienił przez skrót I prostopadłeś padł w głąb topieli, Jak promień, który krzak  
róż przestrzeli, Gdy pierwsza jutrznia zróżowi wschód. Więc tańcz na grzbietach  
stu i stu wałach. Na morskich wałach, na morskich szałach Cześć ci, coś nowy tan  
stworzył, cześć! Niech tan nasz tysiąc sposobów szuka, Wolną – niech  
n a s z a zowie się sztuka, Radosną – n a s z a wiedza i  
wieść! Z każdego kwiecica w tanecznym szale Rwijmy liść jeden sobie ku chwale I  
jeszcze dwoje liści na wian! Jak trubadurzy tańczmy w poszumie, Tańczmy w  
nierządnic i świętych tłumie Pomiędzy Bogiem i światem tan. Kto tańczyć z  
wichrem nic umie nijak, Kto się owijać musi w powijak, Zawsze na pasku, zdechłak  
i dziad. Kto jest, jak błazny świętoszki ckliwe, Jak cne kołtuny, gęsi cnotliwe,  
Z tym precz z naszego raj, precz w świat! Wzbijmy uliczny kurz w tuman tęgi Pod  
nos wam, chorzy i niedołęgi, Przegnać, przepędzić chuchraków miot! Oczyszcmy  
brzezi tej naszej dziczy Od spojrzeń trwogi, tchu suchotniczej Piersi, precz  
chore koty za płot! Precz ci, co mącą niebios topiele, Tkacze chmur, światów  
oczerniciele, Rozświećmy niebo, oczyszcmy z chmur! Szummy... o duchu wszech  
wolnych duchów, Z tobą we dwoje, w złączeniu druhów Szumi me  
szczęście, jak burzy wtór! – I aby szczęście takie wieczyście Pamięć chowała,  
weź uroczycie Ten wieniec, porwij go w pęd swych jazd! I nieś go w  
oddal, hen ku wyżynie, Pędzać ku górze po nieb drabinie I tam go zawieś u  
ćwieków wiazd!